

WYDAWNICTWO
otwarte



BOHDAN
SMOLEŃ
ANNA
KAROLINA KŁYS
NIESTETY
WSZYSCY SIĘ ZNAMY

Niestety wszyscy się znamy

Bohdan Smoleń, Anna Karolina Kłys

Wydawnictwo Otwarte

*Pamięci mojej żony Tereski
i syna Piotrka*

Książka ta powstała dzięki cierpliwości i pomocy osób, które zamęczałam pytaniami na temat przeszłości. I tej odległej, i tej niezbyt odległej, ale zdecydowanie bardziej skomplikowanej, sprzed czterdziestu, trzydziestu lat. Dziękuję za pomoc wszystkim: Barbarze Łoś, Ilonie Smoleń, Ninie Czajkowskiej, Andrzejowi Czerskiemu, Aleksandrowi Andersohnowi, Aleksandrowi Gołębiowskiemu, Maciejowi Frajtakowi, prof. Arturowi Kijasowi, Lucjanowi Morosowi, Krzysztofowi Jaślarowi, Grzegorzowi Reklińskiemu, Katarzynie Tobolewskiej, a przede wszystkim Pawłowi Kopczyńskiemu.

Ze wszystkich opowieści, wspomnień, dokumentów i zdjęć, do których dotarłam, powstały, mam nadzieję, wierne rekonstrukcje wydarzeń, często zaskakujących, nawet dla bohatera tej książki - Bohdana Smolenia.

Bohdan Smoleń urodził się 9 czerwca 1947 roku w Bielsku.

W 1965 zdał maturę w bielskim liceum.

W latach 1968-75 studiował na wydziale zootechniki w Wyższej Szkole Rolniczej w Krakowie.

W roku 1969 powstał Kabaret "Pod Budą", w którym Bohdan działał do roku 1977.

W latach 1974-77 współpracował z Estradą Lubelską, występował w programach objazdowych Kolory, kolory.

W roku 1977 Bohdan przenosi się do Poznania i zaczyna pracę w kabarecie "Tey" (Estrada Poznańska).

W latach 1990-2003 wspólnie z Krzysztofem Deszczyńskim prowadzi firmę Smoleń-Deszczyński. W ramach tego projektu zrealizowano: Chirurgię zakaźną, Hurtownię Polską i Kabaret Bohdana Smolenia.

W roku 2007 Bohdan zakłada Fundację Stworzenia Pana Smolenia, która organizuje zajęcia hipoterapii dla dzieci dysfunkcyjnych z małych miasteczek i wsi.

Rozmowa I

A co dziwnego w tym, że w styczniu jest mróz, śnieg i lód?! Kilkanaście lat temu, kilkadziesiąt, zima trwała od listopada do marca i nie było żadnego gadania, wydziwiania nad zmianą klimatu, globalnym ociepleniem czy nowym zlodowaceniem. Chodziło się w kozakach, czapkach, rękawiczkach i ciepłych płaszczach. Niezmiennie - zima zaskakiwała drogowców, a samochody jeździły powolutku albo lądowały w rowie. No ale ile było tych samochodów?!

Jadę do Baranówka, jest tak ślisko, że zaraz zsikam się ze strachu. Czyli poddać się i założyć zimowe opony? Wystarczyło parę łagodnych zim i proszę - wszyscy jesteśmy bezradni jak dzieci. Bo trzeba liczyć tonę węgla na miesiąc, zmieniać opony, odśnieżać, nakładać kalesony... bo zimno, bo ślisko...

Śnieg pada i śnieg zawiewa z pól. Naprawdę nie widać, gdzie kończy się droga, a gdzie zaczyna pole.

Jadę tak sobie, jadę i rozmyślam - o czym będziemy rozmawiać? Co jest najciekawszego w przeszłości Bohdana Smolenia? Ja znam go jako człowieka, który mieszka na maleńkiej podpoznańskiej wsi, pod lasem, w otoczeniu psów i koni, jako współtwórce fundacji zajmującej się hipoterapią niepełnosprawnych dzieci. A przecież dla większości ludzi to zupełnie ktoś inny. Co interesuje tych wszystkich, dla których Smoleń jest kimś, kogo cytują na co dzień? Nie Bohdana mówiącego jako Bohdan, tylko tę postać, która z tyłu sklepu robi pomidory z ziemniaków, która w chusteczce na głowie opowiada o ojcu wiszącym za zakładem albo która zblazowanym tonem nakazuje: "A tam, cicho być".

Dziś spróbujemy porozmawiać poważnie. Pogrzebać w przeszłości. Pomysł na rozmowy o przeszłości po raz pierwszy pojawił się latem. Ale wtedy na wsi jest tyle roboty. Teraz, zimą, pomysł wrócił, zdeterminowani okolicznościami przyrody, biało-czarnym krajobrazem i minus dwadzieścia - postaramy się poszukać drogi, poczuć, czy "to" się pojawia, czy nasze rozmowy mają jakiś sens.

Bohdan jest zmęczony. Nie jest przecież jeszcze stary, ale choruje - miał już trzy spektakularne epizody niewydolności oddechowej, miał wylew. Mimo tego jest, czy raczej bywa, w znakomitej formie. Prawie każdy, kto go widzi - od starych znajomych po przypadkowych przechodniów - strwożony jego wyglądem pyta: "Jak się pan czuje?". Ten zmarnowany wygląd jest trochę na wyrost - w środku siedzi ten sam Bohdan, który na pytanie pani Danusi: "Jak zdróweczko?", odpowiada: "Dziękuję, do dupeczki".

Dojeżdżam do Baranówka, prześlizguję się między zwałami śniegu. Psy szczekają, konie na wybiegu znudzone zimą wpatrują się we mnie z nadzieją - może zrobię coś śmiesznego, może chociaż wywinę orła i walnę potylicą w podjazd?

Na pagórku drewniany dom, w środku, w centralnym pokoju naprzeciw kominka kanapa, na niej pod grubym, wełnianym kocem drobna postać. Postać ogląda TVN24 i komentuje brzydkim słowem wysoką komisję śledczą, ordynuje, co chce na śniadanie, i zapala papierosa. Pali, ale się nie zaciąga.

Czy problem palenia papierosów przez Bohdana Smoleńca jest problemem ciekawym? Może *menu* śniadaniowe? A może "stan posiadania" zwierzyny i hektarów? Ano nie jest ciekawy. Ani jakie ma auto, ani z kim do lasu chodzi, ani czy po rosie nago biega - jeśli biega. O tym nie będziemy rozmawiać. Ulubione tematy bulwarówek i dodatków weekendowych zostawimy specjalistom od grzebania w cudzym życiu.

Wyciągam dyktafon. Po krótkiej analizie przyrzędu ustalamy, że technika w ostatnich latach poszła znacząco do przodu, i zaczynamy...

Anna Karolina Kłys: Kiedy ludzie cię spotykają, mają wobec ciebie jasno określone oczekiwania: żebyś ich rozśmieszał, żebyś był dowcipny, żeby były jaja. A czego ty oczekujesz od ludzi?

Bohdan Smoleń: Spokoju. Jeśli się znamy, to trzeba po pierwsze powiedzieć: "Dzień dobry". Zwyczajne, proste "dzień dobry". Potem można się pytać o różne inne rzeczy. A nie od razu wykrzykiwać: "O, idzie siwy! Ten chuj od Laskowika!".

Spokoju... Myślisz o spokoju-szacunku czy o spokoju: "Dajcie mi spokój!"?

O spokoju, zwyczajnym spokoju.

Mnie matka uczyła, że pierwszą rzeczą, jaką trzeba zrobić, kiedy spotka się innego człowieka, to powiedzieć: "Dzień dobry". W windzie, w tramwaju czy po drodze do sklepu. Żeby można było jakoś wyrazić to, że się kogoś zobaczyło. A kim ten człowiek jest, to już najmniej ważne. Znajomy. Ja sobie nie wyobrażam, że przyjdę do znajomego, na przykład kowala czy ślusarza, i zaraz będę leciał za nim, żeby mi konia podkuł. To jest kowal-znajomy, więc mówię do niego: Dzień dobry, kowalu, czy: Dzień dobry, ślusarzu. I nie oczekuję, że natychmiast śrubkę mi wkreśli. W coś.

Hmm... Jakoś nie widzę przesady w okazywaniu braterstwa ze strony wielbicieli, więcej - wydaje mi się, że wywołujesz pozytywne emocje. Jeśli odczuwasz tak mocno "popularkę", to pewnie dlatego, że nigdy nie występowałeś w maskach, przebraniach. Występowałeś sauté, taki, jaki jesteś. A masz twarz człowieka, który sporo przeszedł. I fizycznie, i psychicznie. Zapracowałeś ciężko na taką twarz, która zapada w pamięć i której

nie da się pomylić z żadną inną.

A szkoda. Jedynie czasem "pan Laskowik" na mnie mówią. Każdy chce być popularny. Zwłaszcza jeśli pracuje w zawodzie aktora, to o tym marzy. W końcu dla ludzi się to robi.

A później przeciąga się strunę, balonik się nadyma tak, że masz przesyt. Czy koniecznie każdego, kogo się widzi, trzeba poklepać po ramieniu? Mnie każdy musi. I najlepiej jeszcze przez zaskoczenie. Nawet kiedy w restauracji jadłem szybko, w trasie, zupę pomidorową, potrafili mnie od tyłu zająć.

Są dużo więksi ode mnie ludzie na świecie, którzy poklepani zniecka zaraz by oddali. I mieliby święty spokój. Żałuję czasem, że nie jestem dwie głowy wyższy, bobym przylał tak, że aż by zajęczało. W stosunku do małego sobie na więcej pozwalają, a do dużego - nie...

Korzenie, korzonki i odrosty

Pradziadkowie Bohdana Smolenia ze strony mamy to wiedenka i Włoch¹. Jakimiś kolejami losu dotarli do Budapesztu. Tam zamieszkali i tam na świat przyszyli ich dzieci: Gizela, Elwira, Etelka i jedyny syn Berics.

Nazywali się Turry - podobnie jak gmina na Sardynii. Państwo Turry zmarli młodo. Gdy zabrakło rodziców, rolę matki przejęła najstarsza córka - Gizela. Znała kilka języków, miała bardzo dobry słuch i piękny głos, czytała w niemieckim gotyku. Śpiewała w chórze w Filharmonii Budapeszteńskiej, gdzie poznała flecistę - Władka Czecha, Polaka. Flecistę nie było jakiego, skoro do swojego zespołu zaprosił go sam dyrektor Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach i dyrygent Grzegorz Fitelberg. To dużo później, najpierw Gizela i Władysław pokochali się, pobrali i zamieszkali w Budapeszcie. Wielki kryzys światowy lat dwudziestych nie oszczędził artystów - na Węgrzech nie było łatwo o pracę dla muzyka. Opery, filharmonie i orkiestry miały coraz większe problemy, zwalniały ludzi, zamykały podwoje. Władek pochodził z Bielska (dzisiejszego Bielska-Białej), w poszukiwaniu pracy wrócił więc do Polski. Przeszedł przesłuchania i dostał się do orkiestry w Krakowie. Ściągnął rodzinę - Gizelę z córkami: Iloną, zwaną w domu Mausi, i Elwirką, nazywaną Bobi.

Ale Gizela oprócz dzieci miała pod opieką również rodzeństwo. Bardzo ambitnie podchodziła do ich wykształcenia. Najmłodszy Berics ukończył budapeszteńskie konserwatorium. Prowadził bogate życie artystyczne i osobiste - miał ponoć trzy żony. Całe

życie spędził w Budapeszcie, zatrudniony w tamtejszej Orkiestrze Filharmoniczej. Jeszcze w latach trzydziestych Gizela z siostrami i dziećmi słuchały w Krakowie, z wielkim przejęciem, na słuchawkach Detefonu (jeden z pierwszych polskich odbiorników radiowych) ledwo słyszalnego wśród trzasków i pisków nadawanego z Budapesztu koncertu dyrygowanego przez Bericsa Turryego.

Kiedy kryzys dotarł do Polski, Władysław znów stracił pracę. "Przebranżowił się" i z muzyka klasycznego stał się jazzmanem. Nauczył się grać na saksofonie i przeprowadził wraz z całą rodziną do Zakopanego, gdzie dostał *engagement* w zespole orkiestrowym. Na dancingu w "Bristolu" grywał do białego świtu. Umiał "śmiać się" na saksofonie, czym zjednywał sobie publiczność. Kiedy wracał o 5 rano do domu, zabierał pozostałe z zimnego bufetu szynki, auszpiki i marynaty, po czym zachodził do piekarni. Budził dziewczynki okrzykami: "Ciepłe bułeczki! Trzeba jeść póki gorące!". Gizela oponowała: "Władziu... przecież one idą do szkoły!". "Władziu", ponieważ nie wymawiała "ł". Mówiła: "Podaj mi, proszę, ta igła", a kiedy była zdenerwowana, mieszała słowa, często wtrącała coś po węgiersku. I jeszcze jedno - nie umiała modlić się po polsku. Zawsze po węgiersku. Na Wigilii, ku uciechu dzieci, a później i wnuków, modliła się głośno. Mówiła, że to najpiękniejsza modlitwa na świecie:

Mi Atyánk, aki a mennyekben vagy, (Ojciec nasz, któryś jest w niebie...)

szenteltessék meg a te neved, jöjjön el a te országod,

legyen meg a te akaratod,

amint a mennyben, úgy a földön is, Mindennapi kenyerünket add meg nekünk ma

és bocsásd meg vétkeinket,

miképpen mi is megbocsátunk

az ellenünk vétkezőknek. És ne vigy minket kísértésbe,

de szabadíts meg a gonosztól. Amen.

Młodsza siostrę Elwirę Gizela wysłała do szkoły krawieckiej na Ukrainę. Elwira była zdolna, miała zmysł artystyczny, a kiedy skończyła szkołę, Gizela ściągnęła ją do Krakowa. Elwira przyjechała z mężem Józefem Barkanem, bogatym przemysłowcem. Jego pieniądze i jej umiejętności pozwoliły na odważne decyzje: Elwira założyła znakomity zakład krawiecki, zatrudniła około dwudziestu szwaczek. Jej klientkami zostały najszykowniejsze damy, szyla bowiem niepowtarzalne suknie. Józef miał własne interesy, jakąś fabrykę w Łodzi, zajmował się handlem tekstyliami. Pracownia Elwiry była olbrzymia, zajmowała parter narożnej kamienicy blisko Rynku Głównego. Przygotowywano tam całe wyprawy dla pań. Od bielizny pościelowej, przez obrusy, ręczniki, kapy, aż po chusteczki - wszystko z haftowanymi monogramami. Elwira była ponoć jedną z najpiękniej

ubranych kobiet w Krakowie, wiodła prym w małżeństwie. Życie Barkanów układało się znakomicie, dochowali się córeczki Elżbietki, nazywanej pieszczotliwie Lalą. Uwielbiali ją i rozpieszczali do przesady, mała Lala (późniejsza matka Bohdana) żyła jak prawdziwa królowa. Rodzice starali się zabezpieczyć jej przyszłość na wszelkie sposoby. Ubezpieczyli ją na różne okoliczności: na zakończenie szkoły, na studia, na zamążpójście. Po wojnie dorosła Lala mawiała: "Z tych moich ubezpieczeń to tylko zbrojenia były finansowane".

W tym samym czasie, gdy Elwira urodziła córkę, Gizela i Władek zostali niespodziewanie rodzicami po raz trzeci. Na świat przyszła młodsza o ponad dziesięć lat od siostr Danusia. Niestety, umarła jako pięcioletka na zapalenie opon mózgowych.

Gizela chce mieć wszystkie siostry przy sobie. Sprowadza do Krakowa także Etelkę. Etelka jest pianistką, ona także poznaje Polaka, skrzypka Józefa Wachaltera, i zostaje jego żoną. Być może z powodu nieleczonej jaskry, być może z zupełnie innych przyczyn, Etelka traci wzrok. We wrześniu 1939 roku żegna się z Józefem idącym na wojnę. Nigdy się już nie spotkają.

Ich jedyny syn Ryszard zdążył jeszcze przed wojną zdać na architekturę. W lipcu 1940 roku utonął w Wiśle. Matka szukała ciała syna przez wiele miesięcy, pochowała go dopiero w 1941 roku.

Etelka uwielbiała swego syna Rysia. Był przystojny, dowcipny i muzykalny. No i kochał mamę. A mama była kobietą nieszczęśliwą. Może Wachalter nie był zbyt wiernym mężem? Może był zbyt apodyktyczny? Etelka nosiła w sobie wielki smutek. Po wojnie mieszkała w Krakowie sama, reszta rodziny była w Bielsku. Etelka została. Bliżej cmentarza, na którym leżał Rysiek. Dzięki rzadkim rozmowom telefonicznym z Gizelą wiedziała, co dzieje się u siostrzenic i ciotecznych wnuków. Jeździła też do Bielska, choć nie była to dla niej łatwa wyprawa. Miała opiekunkę, panią Marię - osobę z poważną wadą wzroku. I tak obie: niewidoma i ledwo widząca, podróżowały na trasie Kraków-Bielsko. Spotkania siostr - Gizeli i Etelki, były atrakcją dla dzieciaków: obie mówiły zabawnie po polsku, myliły słowa i były przekochane.

Etelka z Gizelą rozmawiały po węgiersku, Maudi, Bobi i Lala też świetnie znały ten język, ale swoich dzieci już nie nauczyły ojczystej mowy. Etelka, kiedy przyjeżdżała do Bielska, witała się po polsku z dziećmi, dawała im po prince polo, a później nic nie można było zrozumieć. Siostry chciały się nagadać na zapas.

Prześmiewca Broniek (mąż Lali) namawiał ciotkę Etelkę, żeby śpiewała dzieciom piosenki:

Hu! Hu! Ha! Nasza zima zła! Szczypie w nosy, szczypie w uszy, Mroźnym śniegiem

w oczy prószy. *Hu! Hu! Ha! Nasza zima zła!* Etelka, muzykalna i obdarzona dobrym głosem, śpiewała chętnie:

Huhuha, nasa žyma zła,

cipi w noszy, cipi w usy, huhuha..... czym rozśmieszała Bronka do łez. A w święta Etelka śpiewała najgłośniej ze wszystkich kolędy: "A szłowo ciałem sze stało i mieskało między nami!!!". Najlepiej po polsku mówiła Gizela, ale i ona miała problem z odmianą. Język węgierski nie ma deklinacji i koniugacji, stąd zawilości odmiany języka polskiego sprawiały jej trudności do końca życia: "Proszę mi podać dwa bulke".

Etelka, taka eteryczna i utalentowana muzycznie, jako niewidoma, po wojnie została zatrudniona w spółdzielni inwalidów. Robiła pinezki.

W 1942 Józef Barkan trafił z ulicznej łapanki do obozu w Auschwitz. Tam zginął tragicznie, na rozkaz SS-manów zdeptany przez współwięźniów, gdy wycieńczony i prawie zamrznięty upadł na ziemię. Było to 25 stycznia 1943 roku.

W Krakowie w swoim zakładzie krawieckim Elwira nadal szyła suknie i bluzki, tylko że wtedy już dla bogatych Niemek. Robiła to świetnie, klientki były zachwycone, jej sytuacja była nie najgorsza. Może stała się zbyt pewna siebie, może jej wrażliwość nie pozwalała na obojętność. Ukrywała żydowską dziewczynkę, prawdopodobnie córkę przedwojennej klientki.

Szukała dojść, żeby wyciągnąć męża z obozu, także poprzez swoje klientki, żony niemieckich oficerów. Szyła im suknie za darmo, próbowała znaleźć protekcję. Niestety, ktoś, może któraś ze szwaczek, doniósł, że Elwira przechowuje żydowskie dziecko.

W 1943 roku do mieszkania wpadło Gestapo. Siedemnastoletnia Elżbieta właśnie wracała po zajęciach do domu. Ktoś chwycił ją za ramiona i zakazał iść do mieszkania. Nie wiadomo, kto i gdzie ją ukrywał. Być może jakaś zaprzyjaźniona krakowska rodzina? Nie miała żadnych pamiątek z domu rodzinnego. Uciekała tak jak stała, z jakąś torebką. Po wojnie z majątku nie zostało nic.

Jako więźniarka polityczna Elwira trafia do Ravensbrück. Jej córka i żydowska dziewczynka będą ukrywane do końca wojny. Obie przeżyją.

Elwira dotrwała w obozie do końca, do kwietnia 1945 roku. Spodziewano się jej lada moment w domu. Nigdy tam nie dotarła. Po wojnie Lala odszukała przez Czerwony Krzyż współwięźniarkę matki z Ravensbrück. Ta opowiedziała, jak wyglądało ich życie w obozie i ostatnie wspólne chwile. Przez lata obozowego koszmaru zaprzyjaźniły się. Elwira, kochająca szaleńczo córkę, miała jeden cel: przeżyć i wrócić do dziecka. Za wszelką cenę! Ale tuż przed wyzwoleniem obie - Elwira i jej koleżanka - zaraziły się tyfusem. Obie zostały

wytypowane do transportu do Szwecji. Czerwony Krzyż dostał pozwolenie na przewóz wycieńczonych, schorowanych więźniów do szwedzkich szpitali. Czekać na transport, śmiertelnie zmęczona koleżanka na chwilę zasnęła, a kiedy się obudziła, Elwiry nie było. Tu ślad się urywa. Elwira nie dotarła do Szwecji, nie ma jej na liście zamordowanych w Ravensbrück.

O żydowskiej dziewczynce wiadomo tyle, że po wojnie zamieszkała w Meksyku.

Jeszcze przed wojną Gizela i Władysław przeprowadzili się z córkami z Zakopanego do Bielska.

Władzio, obdarzony wrażliwością artysty, doceniał piękno polskich dziewcząt. Kiedy Gizela najmowała dziewczynę do sprzątanego, mówiła: "Władziu, ja cię błagam, ty nie klep jej po pupie, bo znowu służbę stracimy". Nowej panny do pomocy trzeba było szukać mniej więcej co pół roku.

Władysław miał też wielkie serce, oprócz żony i córek znalazła w nim miejsce także panna Poczynkówna. Piękna ponoć nie była, ale kochanką Władysława została na długie lata. Gizela zaś była mądra na tyle, że kochankę tolerowała, choć w ramach reperkusji "nie uległa" mężowi już do końca małżeństwa. Po śmierci Władzia Gizela prowadziła dom najstarszej z córek - Bobi. Kiedy Bobi wyprawiała się z Bielska, wzięła ze sobą do Katowic matkę. Przed wyjazdem Gizela zdecydowała się odwiedzić Poczynkównę. Panna Poczynkówna otworzyła drzwi i mało nie zemdląca. Na przeciw niej stała żona jej kochanka. Gizela bez zbędnych wstępów zapytała: "Słuchaj, kochalaś Władzia?". "Taaak...". "To będziesz się jego grobem zajmować, bo ja wyjeżdżam". I wyjechała.

Po wojnie osierocona Lala została przysposobioną córką Władysława i Gizeli Czechów. Sporo młodsza od kuzynek wyrasta pod ich silnym wpływem. Wszystkie trzy były niezwykle: inteligentne, dowcipne, uwrażliwione artystycznie. Kochały się i żyły w ogromnej przyjaźni.

Rodzice czuli, że córki były szczególne. Wychowane zostały w wielkiej tolerancji i swobodzie. Nie krępowano ich pasji, mogły kształcić się i rozwijać zgodnie ze swoimi uzdolnieniami. Nie były szykowane na gospodynie domowe, ich celem życiowym nie miało być smaczne gotowanie i utrzymywanie wzorowego porządku w domu. Masi i Bobi w latach gimnazjalnych i w czasie studiów były bardzo aktywne towarzysko. Wyprawy w góry, pływanie, jazda na nartach. Dziewczyny nie miały urody amantek, ale niebывały wdzięk, pogodę ducha i grację. Bobi jako tancerka poruszała się z niezwyklej elegancją. Obie były zawsze prościuteńkie, wysoko trzymały głowy, a przy tym były niezwykle skromne i empatyczne.

Ilona zwana Mauszi

Skończyła filologię klasyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1939 roku. Miała ambicje naukowe, była chyba najbardziej serio ze wszystkich dziewczyn. Nie była tak przebojowa jak Bobi, nie miała też tak silnych inklinacji artystycznych. Po wojnie złożyła podanie do bielskiego wydziału oświaty: chciała uczyć łaciny w liceum. Niestety okazało się, że absolwentka burżuazyjnej uczelni nie może uczyć socjalistycznej młodzieży nawet martwego języka. Dopiero po śmierci Stalina dostała pracę w domu kultury. Prowadziła zajęcia z dziećmi. Później pracowała w bibliotece szkolnej.

W czasie studiów na uniwersytecie Mauszi bardzo aktywnie udzielała się w Kole Przyjaciół Węgier Studentów UJ. Grupa studentów często podróżowała, latem jeździli na organizowane przez dr. Jana Hankissa kursy letnie w Debreczynie, byli na winobranii w winnicy ojców paulinów w Peczu, pływali statkiem po Balatonie, zwiedzali Budapeszt. Bobi prowadziła zespół ludowy i przygotowywała pokazy tańców polskich na Węgrzech, a węgierskich w Polsce. Lala jeździła z kuzynkami na wycieczki na Węgry, najmłodsza z całej grupy, była ich oczkiem w głowie. Przewodniczącym Koła Przyjaciół Węgier Studentów UJ był Węgier, János (w Polsce podpisuje się jako Jan lub Janusz) Harajda. Studiował prawo w Budapeszcie oraz filozofię na UJ. Został doktorem prawa i magistrem filozofii, podjął pracę jako lektor języka węgierskiego na Uniwersytecie. Podobnie jak Mauszi nie był zbyt rośły, ale dowcipny, bystry i niezwykle oddany kulturze węgierskiej. Harajda pasjonował się kulturą Zakarpacia, tłumaczył na język polski książki o historii i tradycji Węgier. Od 1935 roku miał podwójne obywatelstwo - węgierskie i polskie.

Drobniuteńka i zawsze uśmiechnięta, wysportowana Ilona wpadła mu w oko. Harajda był starszy od Mauszi o dziewięć lat. Mauszi i Harajda (tak zawsze o nim mówiła) zostali parą. Zaręczyli się.

Przyjęcie zaręczynowe odbyło się w Krakowie. Gizela była szczęśliwa, że córka zostanie żoną wykładowcy Uniwersytetu Jagiellońskiego, a w dodatku Węgra! Córka zostanie profesorką, cóż to za nobilitacja! Wydała niezwykle wykwintny obiad. Podano eleganckie przystawki, dwie zupy, trzy rodzaje mięs, a na deser - specjalność Gizeli - gundel palacsinta. Palacinty to maleńkie, bardzo cieniutkie naleśniki nadziewane orzechami, skórką pomarańczową i rodzynekami, polane czekoladą i rumem. Jest to osobne zjawisko w kuchni węgierskiej, dzieło cukiernika CK Monarchii Karola Gundela, dla wielu obiekt kultu.

János Harajda, otoczony rodziną, zapatrzony w Mauszi i uniesiony szczęściem,

nakładał sobie z półmiska na talerzyk palacinty i zajadał. Nagle zreflektował się, zaczął się sumitować: "Czy to ja wszystkie zjadłem?!". Wtedy zobaczył wbite w siebie oczy Lali, która z wielkim bólem obserwowała znikające pyszności: "Tak! Zjadł pan osiemnaście!".

Zachowało się zaproszenie: "Prezydent Rzeczypospolitej i Ignacowa Mościcka uprzejmie proszą Panią Prezesową Akademickiego Koła Przyjaciół Węgier o przybycie do Zamku Królewskiego na Wawelu na raut". Mause zaczęła bywać!

5 lutego 1938 roku do Polski przybył regent Węgier Miklós Horthy. Prezydent Mościcki zjechał po regenta na krakowski dworzec rolls-

- royce'em. Przywiózł go na Wawel, gdzie oddano dwadzieścia jeden salw armatnich, złożono wieńce na sarkofagu Józefa Piłsudskiego i przy grobie Stefana Batorego. A później raut. Najelegantsze toalety: ministrowa Beckowa w sukni ze złotej lamy, wiceministrowa Szembekowa w pięknym diademie i etoli z gronostajów, prezydentowa Mościcka w jedwabiach. I Mause w toalecie uszytej w pracowni cioci Elwiry.

Mause miała wielką ochotę porozmawiać po węgiersku z regentem Węgier, ale niestety surowo zabraniał tego protokół dyplomatyczny.

W czerwcu 1939 roku Mause skończyła studia, zaczęto planować ślub. Zdążyła jeszcze poznać rodzinę przyszłego męża - jego matkę Estelę, kuzynów, ciotki. Oboje rodzice Jánosa byli nauczycielami w szkole powszechnej w Székesfehérvár na Węgrzech. Cała rodzina zakochała się w Mause, jej wdzięku i łagodności. Zrobiono pamiątkowe zdjęcia dla Gizeli i Władzia. Wszyscy szczęśliwi, siedzą przy stole nakrytym białym obrusem pod rozłożystym orzechem, w ogrodzie. Na stole ciasta, karafki z nalewkami. Patrzą prosto w obiektyw, śmieją się, ktoś macha ręką do przyszłej rodziny...

Wybuch wojny zastał Jana Harajdę w Krakowie. Przez dwa miesiące nie wiadomo było, co dalej, co z zajęciami, studentami, kadrą uniwersytecką. 6 listopada 1939 roku na zaproszenie SS-Sturmbannführera Brunona Müllera, dowódcy Einsatzkommando 2/I, profesorowie i pracownicy naukowcy Uniwersytetu stawili się w sali wykładowej w Collegium Novum. Mieli wysłuchać mowy dotyczącej niemieckiego punktu widzenia na sprawy dalszej nauki i polskiego środowiska akademickiego. Bruno Müller wszedł na katedrę i bez żadnych wstępów drewnianym głosem oznajmił, że z powodu bezprawnego rozpoczęcia roku akademickiego oraz nagannej postawy polskich wykładowców wobec nauki niemieckiej wszyscy, poza trzema kobietami, zostaną przewiezieni do obozu koncentracyjnego. Aresztowano 183 osoby, w tym oczywiście Jana Harajdę.

28 listopada dotarli do bramy obozu koncentracyjnego Sachsenhausen-Oranienburg

pod Berlinem. Warunki życia w obozie były bezwzględne. Zimno, głód, absurdalne i bestialskie znęcanie się nad najczęściej starszymi już ludźmi. Profesorowie chorowali, a pozbawieni jakiegokolwiek pomocy umierali. Nie upadał jednak duch nauki. Odbywały się regularne odczyty, wykłady i lektoraty. Jan Harajda prowadził kurs języka węgierskiego.

Na zewnątrz nie ustawano w zabiegach i pertraktacjach mających na celu zwolnienie polskich naukowców. Mausi wysyłała paczki do obozu. Udawało się co jakiś czas wynegocjować uwolnienie najstarszych więźniów, tych najbardziej chorych bądź będących obywatelami innych państw. Dzięki interwencji węgierskich władz państwowych 21 kwietnia 1940 zwolniony został Jan Harajda. Nie mógł jednak wrócić do Krakowa. Pojechał do Ungváru (leżącego wtedy w granicach Węgier). Nie wiadomo, czy kontaktował się z Mausi, czy ze względów bezpieczeństwa narzeczeni czekali na koniec wojny. W listopadzie 1944 na tereny Zakarpacia wkracza Armia Czerwona. Następują aresztowania. Jan Harajda, oskarżony o działania profaszystowskie, został zastrzelony 13 grudnia 1944.

Mausi została sama.

Jeszcze w czasie wojny poznała Jana Gruszkę. Był księgowym, ale miał wiele pasji artystycznych. Zostały po nim przepiękne albumy ze zdjęciami Tatr. Po wojnie pracował w teatrze w Bielsku. Był duszą towarzystwa, grał na różnych instrumentach, śpiewał. Mausi i Jan byli dobrą parą. Pobrali się i dochowali trójki dzieci. Jan kochał Mausinkę przez całe życie. Niestety zmarł młodo. Pod koniec wojny Mausi, Jan i Bobi chodzili po górach, gdzie w malutkich kościółkach grali na organach i śpiewali po polsku. Górale mówili: "Anioł przybył ku nom". Ksiądz w obawie przed niezadowoleniem Niemców z patriotycznych uniesień swoich owieczek odprawiał mszę w ekspresowym tempie. Jan zaś grał jak w natchnieniu - długo i spokojnie, Bobi śpiewała pełnym głosem, a górale ulegali artystycznym wzruszeniom.

Po wojnie Jan Gruszka dostał polecenie uruchomienia punktu żywieniowego w Bielsku. Wyszła z tego restauracja "Podhalanka". Ani on, ani Mausi nie mieli żadnego doświadczenia w branży gastronomicznej. Jedynie dobre chęci pozwoliły im stworzyć miejsce, do którego przytulili się tancerze i muzycy ze zburzonej Warszawy. Działalność gastronomiczno-artystyczna trwała krótko. Domiar zniszczył "Podhalankę". Cóż to takiego domiar? To uznaniowy podatek, ustalany przez urząd skarbowy, jedno z ulubionych narzędzi władzy ludowej do walki z wolnym rynkiem. Już następnego dnia po wręczeniu decyzji o domiarze (który przekraczał dochód!) mieli pojawić się komornicy. Jan Gruszka popędził do sanepidu i dostał tam od kogoś znajomego wielki plakat ostrzegający czerwonymi literami "STOP! Choroba Heinego-Medina!" Powiesił go na drzwiach. Nikt nie odważył się

wejść. Udało się przez kilka dni wynieść obrusy, jakieś talerze, sztuce... Ale ostatecznie "Podhalanka" została znacjonalizowana.

Elwira zwana Bobi

Mausi i Bobi jeździły świetnie na nartach. Gdy rodzina mieszkała w Zakopanem, mogły zjeżdżać slalomem z domu do szkoły, brały udział w zawodach. Poznały Stanisława Marusarza. Bobi i Mausi angażowały się w życie sportowe, towarzyskie. Szczególnie Bobi miała coraz więcej zajęć: śpiewała, chodziła na zajęcia baletowe. W którymś momencie zabrakło jej czasu na gimnazjum i repetowała klasę. Zebrało się konsylium rodzinne. Gizela myślała głośno: "Może zmienić szkołę prywatną na państwową? Wyuczyć Bobusię jakiegoś konkretnego zawodu? Sekretarka? Księgowa?". Wtedy tata Władek Czech uciął krótko wątpliwości: "Guzik z pętelką! Powtórz klasę, nic się nie stanie! Będzie robić, co będzie chciała!". Bobi skończyła Prywatne Seminarium Nauczycielskie Żeńskie im. św. Hildegardy w Białej Krakowskiej. Później wychowanie muzyczne w Krakowie, a ponieważ marzyła zawsze o tańcu i balecie, także Studium Tańca Artystycznego. Uczyła się też w Budapeszcie, w szkole wuja Peregrina Turryego (nawiasem mówiąc wuj jest kompozytorem hymnu węgierskich skautów *Cserkészinduló*). Z tym że - jako posiadaczce niezbyt zgrabnych nóg - zasugerowano jej klasę choreografii. I dobrze się stało, została bowiem wybitną choreografką. Jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej dwudziestosześcioletnia Bobi wychodzi za mąż za Władysława Kamińskiego, który w latach pięćdziesiątych zostanie dyrektorem filharmonii w Katowicach. Bobi tańczy w bielskim teatrze, śpiewa w duecie z Marią Koterbską, daje lekcje, a w 1939 roku zakłada Szkołę Rytmiki i Tańca w Białej.

Niemcy wkroczyli do Bielska 3 września 1939 roku. Rodzina podjęła decyzję: trzeba uciekać! Bali się aresztowań, szczególnie mąż Bobi, Władek, urzędnik magistratu. Dojechali do Lwowa. Ale 17 września Armia Czerwona wkroczyła na ziemie polskie, a sowiecka okupacja Lwowa zaczęła się już 22 września. Czechowie zdecydowali się wrócić pod okupację niemiecką. Gizela była przerażona prymitywizmem żołnierzy sowieckich i ukraińskich, bała się zostać we Lwowie.

Cała wojenna tułaczka odbywała się w pełnym składzie: Gizela, Władek Czech, Mausi, Bobi z mężem Władysławem i naturalnie psem Buksikiem.

Pociągi ze Lwowa na zachód jeździły nieregularnie, a ponieważ pojawiła się pogłoska, że następnego ranka odprawiony zostanie jeden pociąg w stronę Krakowa, przenocowali w rowach koło dworca. Determinacja była ogromna. Chociaż tłum ludzi szturmował wagony,

udało się im wepchnąć do przedziału i wtedy Buksik oszalał. Zaczął trząść się, warczeć, gryźć po rękach Bobi. Psy w rodzinie były od zawsze, każda z pań i panienek miała swojego ukochanego, rozpieszczanego pieska. Bobi miała rasowego rudego jamniczka Buksika. Kochała go, a on ją. Tym razem jednak pies nie reagował na uspokajające słowa, głaskanie i przytulanie. Ugryzł Bobi w dłoń, wyrwał się i wyskoczył z pociągu na peron. Za nim Bobi. Próbowwała przywołać go i złapać. Buksik nie reagował na nic, uciekał i szczekał. Bobi usiłowała złapać psa, pociąg szykował się do odjazdu. Do pogoni za Buksikiem przyłączyli się mąż Bobi i Mausi. Konduktor zagwizdał i pociąg zaczął ruszać. Gizela i Włodek wysiedli w ostatniej chwili. Pociąg ujechał tylko kilka kilometrów za Lwów. Został zbombardowany. Bobi całe życie będzie miała psy. Rude jamniczki. Zawsze będą miały na imię Buksik.

Po wojnie dostali przydział na amfiladowe mieszkanie w pięknej secesyjnej kamienicy w centrum Bielska. Przez kilka lat będzie to wspólna siedziba całej rodziny: Mausi, jej męża i dzieci, Gizeli i Władzia, Lali, Bobi, jej męża i córki Małgosi oraz rezydentów. Mieszkała z nimi akompaniorka Bobi, okrągłutka i kochliwa bielska Niemka w sile wieku - panna Berta. Darzyła skrytą miłością młodziutkiego kuzyna Władka Kamińskiego - Adasia Ojrzyńskiego, który także pomieszkiwał we wspólnym mieszkaniu.

Po tym jak w 1946 roku jej szkoła zostaje upaństwowiona, Bobi nie poddaje się. Pracuje nadal jako choreografka w świetlicach przyzakładowych, w domu kultury. Prowadzi zespoły folklorystyczne "Czarne Diabły" i "Beskid". "Beskid" wygrywa kilka festiwali, Elwira Kamińska zostaje dostrzeżona w środowisku. Zaczynają się wyjazdy, *tournée*. W 1953 roku zostaje zaproszona do udziału w komisji kwalifikującej chętnych do nowo powstającego zespołu ludowego "Śląsk". Atutem "Śląska" miało być to, że połączy autentyzm wiejskiej młodzieży z wysokiej klasy ruchem scenicznym, orkiestrą, baletem i niezwykłym bogactwem oryginalnych strojów. Z kilkunastu tysięcy chętnych, mających zresztą często jedynie wykształcenie podstawowe, wspólnie z kompozytorem i wielbicielem tradycji Śląska Cieszyńskiego Stanisławem Hadyną wybierają prawie setkę chłopaków i dziewcząt, dla których od tamtej chwili życie nabiera zupełnie innego tempa i smaku. "Śląsk" szybko zaczyna odnosić spektakularne sukcesy, jest polskim towarem eksportowym pierwszej klasy. Po powrotach Bobi z coraz bardziej egzotycznych wyjazdów cała rodzina spotyka się na kolacjach u Gizeli. Dla dzieciaków jest to okazja do posłuchania historii z zupełnie innego świata.

Bobi kochała swoją pracę. Opracowała dla "Śląska" większość inscenizacji tańców ludowych, które w niezmienionej formie tańczone są do dziś. Trojak, waloszek, chodzony,

kujawiak, oberek, krakowiak. Także "Mazowsze" zawdzięcza Elwirze opracowany na przełomie lat sześćdziesiątych nowy układ ruchu scenicznego.

Ale nie dorabia się wielkiego majątku na prowadzeniu zespołu. Kiedy w 1981 zostaje odesłana na emeryturę, nie ma wiele poza wspomnieniami. Wraca do tego samego mieszkania w Katowicach, do którego wyprowadziła się z Bielska-Białej w 1962 roku. Choć przez prawie trzydzieści lat poświęcała się całkowicie zespołowi i młodzieży tańczącej w "Śląsku" - oddawała im cały swój czas i energię, nawet za cenę życia osobistego - zostaje zapomniana. Nie umie żyć bez pasji, bez zajęć i - niestety - po dwóch latach umiera.

Elżbieta zwana Lalą (mama Bohdana)

Lala marzyła o teatrze, chciała grać. Zaczęła występować w amatorskim teatrze w Bielsku. Sekcja dramatyczna Towarzystwa Teatru Polskiego przygotowywała spektakle dla teatru, zanim został sceną zawodową. W spektaklu *Scampolo* grała główną rolę. Poznała wtedy Bronka Smolenia, swego przyszłego męża.

Prowadziła koło teatralne w Klubie "Włókniarz" - pierwszym bielskim powojennym ośrodku kultury, w tym samym, w którym Elwira kierowała swoim zespołem ludowym "Beskid". Lala urodziła dwoje dzieci - w 1947 roku Bohdanka, a w 1950 Ilonkę.

Kiedy Lala wyjechała na Światowy Festiwal Młodzieży do Warszawy w 1955 roku, doszło do tragedii. Spacerując po Warszawie z dziećmi z prowadzonego przez siebie teatrzyku, kupiła na straganie wiśnie, zjadła, a po tygodniu zaczęły się pierwsze objawy choroby Heinego-

- Medina.

Na początku nie było wiadomo, czy przeżyje. Miała ponadczterdziestopięcioletnią gorączkę. Nie reagowała na leki.

Na czas intensywnego leczenia i rehabilitacji mamy dzieci zamieszkały u rodziny. Ilonka u cioci Mausi, gdzie wychowywała się z kuzynostwem: Marysią, Basią i Jackiem. Bohdan wraz z tatą byli pod opieką babci Smoleniowej. Babcia Smoleniowa miała żelazną rękę. Była twardą górką, która nie uznawała żadnych kompromisów. Ze wszystkich członków rodziny fory miał tylko pierwszy wnuczek - Bohdan.

Rehabilitacja trwała prawie trzy lata. Elżbieta wielokrotnie była w sanatoriach w Połczynie i Goczałkowicach. W tym ostatnim, po prawie dwóch latach izolacji, lekarze po raz pierwszy pozwolili, aby odwiedziły ją dzieci. Była to potworna trauma, bo o ile Bohdan mamę

pamiętał, to Ilona właściwie jej nie znała.

W Goczałkowicach Lala zaczęła interesować się rehabilitacją przez sztukę. Zebrała wśród pacjentów chorujących na zanik mięśni zespół i wyreżyserowała przedstawienie.

Jednak w przypadku Lali postęp choroby był nieubłagany. Kiedy Ilonka szła do szkoły, mama wróciła do domu. Wybór był taki: albo sanatoria, rehabilitacje, szpitale, albo powrót do dzieci. Lala nie miała wątpliwości. Nie mogła pogodzić się z tym, że jej dzieci są w różnych domach, daleko od niej. Nauczyła ich wszystkiego. Chciała, by byli samodzielni, ale nie stawiała przed nimi wielkich wymagań. Mieli mieć szczęśliwe dzieciństwo. Bohdanek i Ilonka pomagali trochę w domu. Oboje byli drobni, stawali więc na stołku przy wielkim piecu i mieszały w garnkach, pod dyktando mamy dosypując szczyptę soli czy odrobinę papryki. Elżbieta była niemal całkowicie sparaliżowana. Poruszała tylko palcami lewej ręki. Postanowiła, że będzie pracowała nadal. Głową. Tłumaczyła, udzielała lekcji języków i korepetycji.

Bronek Smoleń nie umiał doścignąć własnej żony. Miał dramatyczną przeszłość. Pił. Znikał z domu. Nie zarabiał.

Zdarzało się, że Lala zostawała sama. Dzieci w szkole, nikogo na korepetycjach ani znajomego nie było akurat w domu. Był pies Fafik - według Elżbiety wybitnie inteligentny. Dowodem było na przykład to, że kiedy Elżbiecie bardzo chciało się siusiu, a na jakiegokolwiek samodzielne przemieszczenie się nie miała szansy, prosiła: "Faficzku, musisz iść do szkoły po Ilonkę albo Bohdanka, niech przyjdą na przerwę, bo nie dam rady". Fafik odwracał się i wychodził. Szedł albo do szkoły Ilonki, albo do Bohdana. Siadał przy schodach. Dzieci już wiedziały, że jest awaria, że trzeba biec do domu w czasie przerwy. A szkoły mieli specjalnie wybrane blisko domu, tak żeby w razie czego mogli pobiec do mamy.

Kiedy urodził się Maciuś - pierwszy syn Bohdana - w czasie sesji egzaminacyjnej swoich rodziców siedział w łóżeczku w towarzystwie babci Lali. Dyskutowała z nim, siedmiomiesięcznym, godzinami. Skonstatowała wtedy: "Wiecie co? Maciek jest tak inteligentny jak Fafik!". I był to wyjątkowy komplement.

Fafik był zwyczajnym kundelkiem z kwadratowym pyszczkiem. Siedział zawsze na kolanach Lali, na wózku. Oczywiście w przerwach, kiedy nie chodził na włóczgi. A ulicę dalej miał nawet narzeczoną, z którą zresztą regularnie miewał dzieci. Biegał do nich często, odwiedzał szczeniaki. Był bardzo kochany, strasznie jednak nie lubił księży i kościelnego. A ci z jakichś powodów nie cierpieli Fafika. Kościelny nawet specjalnie kopał w furtkę i wściekał psa. Aż pewnego dnia nadszedł czas zemsty. Bramka była niedomknięta, Fafik dopadł do

znieawidzonej nogi. Kościelny przybiegł do Lali siedzącej na werandzie i zażądał ogromnego odszkodowania w gotówce za "ból i za obrazę moralną".

Ale Fafik nie był ateistą! W tym samym domu, na piętrze, mieszkał organista. Fafik z miłości chodził za organistą co niedziela do kościoła, całą mszę grzecznie czekał i razem wracali do domu. Był zresztą jedynym przedstawicielem rodziny, który uczęszczał do kościoła.

Ilona pamięta, że ojciec chodził do pracy jako mistrz zmianowy i koniecznie musiał mieć codziennie wyprasowaną białą koszulę i punktualnie podany obiad. Matka pilnowała tego niezwykle skrupulatnie. Na Bronka zawsze czekała ciepła zupa, a dzieci nauczyły się, jak prasować tacie koszulę. Najpierw rękawy, później plecy, na koniec dokładnie kołnierzyk.

Tak więc ojciec chodził do pracy. Powinno się raczej mówić: wychodził do pracy. Równo dziesięć lat wychodził do pracy na zmiany w Zakładach Przemysłu Włókienniczego "Lenko" i nigdy się nie pomylił - czy zmiana poranna, czy popołudniowa. Aż okazało się, przypadkowo, że od tych dziesięciu lat nie pracował.

Skąd miał pieniądze? Nie miał. Grał w karty, w totolotka, czasami coś sprzedawał. Co robił przez tyle lat? Czym zajmował się w czasie tych ośmiu godzin codziennie?

Po dość długich staraniach (Broniek zgubił gdzieś potrzebne papiery) dzięki pomocy pielęgniarek z Goczałkowic Lali przyznano rentę. Kiedy było ciężko, Lala obiecała dzieciom, że jak będą większe pieniądze, kupi im kilogram szynki i bułki. No i dostała pierwszą rentę, i dzieci poszły - sklep był niedaleko, na Piastowskiej - i kupiły kilo szynki. Ilona do dziś pamięta, że zapłacili 72 złote. A później nikt nie miał siły jeść tego.

Broniek do pracy już nie wrócił. Ponieważ groziło to brakiem uposażenia na starość, Lala - dzięki pomocy naczelniczki od zasiłków (udzielała korepetycji jej dzieciom) i oczywiście bez wiedzy Bronka - załatwiła, że został wstecznie zatrudniony jako jej pomoc domowa. Dzięki temu przysługiwała mu emerytura. Niepełnosprawność Lali zniknęła wobec zaradności, pogody ducha. W pamięci wszystkich pozostała jako zawsze uśmiechnięta organizatorka życia innych.

Lala sprawnymi palcami pisała pięknie piórem, zapalała papierosa... Jednym z jej uczniów był elektryk. Wymyśliła, żeby zrobił jej taki pstryczek przy łóżku, dzięki któremu mogła otwierać drzwi wejściowe.

Kiedy zachorowała, lekarze mówili, że przeżyje maksimum pięć lat. Zmarła w 1978 roku, a więc sparaliżowana przeżyła dwadzieścia trzy lata. Była jak gejzer energii, zakochana

w życiu, w dzieciach, w Bronku. Nauczyła Ilonkę i Bohdana zasady numer jeden: nie ma rzeczy niemożliwych na tym zakochanym świecie. Jeśli coś sobie postanowiła czy zaplanowała, to zrobiła to, choćby nie wiadomo, co się działo. Drugą jej zasadą było: nigdy, przenigdy, na nikim się nie mścić. Bo zło zawsze musi wrócić. Lala, podobnie jak Gizela, potrafiła wybaczyć nawet zdradę. Kiedy Broniek miał przygody, Lala nie mówiła nic.

Lala utrzymywała dom na dobrym poziomie, ale jednak zdarzały się trudne czasy. Wtedy nagle pojawiał się przekaz - jakieś dwieście, czasem trzysta złotych - nadany przez tajemniczego Aleksandra Głowackiego. Dopiero po śmierci Etelki, przy porządkowaniu jej papierów, okazało się, że to ona wysyłała siostrzenicy pieniądze. Nie chcąc nikogo urazić, ukrywała się pod takim pseudonimem.

Lala o dzieci walczyła jak lwica. Kiedy pojawiał się jakiś problem w szkole, sadzano ją na wózek i jechała. Bohdan z nauką problemów nie miał. Ale z zachowaniem miewał. W liceum został zawieszony w prawach ucznia na dwa tygodnie. I wtedy okazało się, że jednak baaardzo chce chodzić do szkoły! Mama ruszyła załagadzać sprawę. A poszło o to, że Bohdan nie chciał brać udziału w zajęciach przysposobienia wojskowego. Zeskoczył z balkonu na boisko. Wszyscy, łącznie z panem profesorem od PW, popędzili schodami ratować Bohdana. A on wstał, otrzepał się, zsalutował panu i odszedł w siną dal. No i mama musiała ratować dalszą edukację synka.

Kiedy mama miała uczniów, Ilonka z Bohdanem byli w kuchni, żeby nie przeszkadzać. I słuchali lekcji, umieli podpowiadać, śmiali się, kiedy ktoś nie umiał odpowiedzieć na pytanie albo nie rozumiał, co mama mówiła. Znali odpowiedzi. Nigdy jednak nie nauczyli się dobrze mówić w żadnym obcym języku.

Życie w powojennej Polsce układało się rozmaicie, nie było już beztroski, nie było pieniędzy, wyjazdów, niezależności. Ale rodzina trzymała się razem.

Z okazji pięćdziesiątej rocznicy ślubu Gizeli i Władzia odbyła się wielka impreza. Chyba ostatnia taka, z pełnym zaangażowaniem wszystkich członków rodziny. Lala przygotowała program artystyczny, chórek wnucząt w składzie: Basia, Jacek, Marysia, Małgosia, Ilonka i Bohdanek, śpiewał:

50 lat mija od chwili, gdy Dziadzius z babunią brał ślub, i poszli przez życie, ufając, że miłość ich łączy po grób. "Kocham, kocham" - tak Dziadzius mówił do żonki swej. "Kocham, kocham" - tak brzmiała odpowiedź jej. Życie im w darze przyniosło raz dobre chwile, raz złe. Choć żyli w miłości i zgodzie, to czasem pokłócili się. "Gizusz, oj ty Gizusz" - tak Dziadzius mówił do żonki swej. "Glupi i lajdak" - tak brzmiała odpowiedź jej. Po śmierci

Gizeli rolę najstarszej z rodu, wbrew chronologii urodzin, przejęła Mausi. Mausi całe życie paliła papierosy. Nienawidziła, kiedy ktoś chciał podać jej ogień. Zawsze sama eleganckim gestem zapalała zapalniczkę, zaciągała się dymem. Nawet kiedy była już bardzo wiekowa, znajdowała siły, by przejść z Białej do Bielska do Lali i dzieci. Była dobra dla wszystkich, uczyła dzieci śpiewać zabawne piosenki po węgiersku, gotowała, pomagała sprzątać.

Imprezy rodzinne odbywały się z okazji urodzin, imienin, ale też przy okazji powrotów Bobi - Elwiry Kamińskiej - z kolejnego *tournée*. Urządzano kolacje, wszyscy się stawiali. Gizela, a po jej śmierci Mausi, przygotowywały dania węgierskie, a panowie Gruszka, Smoleń, Kamiński i wujek Adam Ojrzyński - będąc już w stanie całkowitego znieczulenia - śpiewali w samej tylko bieliźnie:” Ja jestem świeczka, ty jesteś świeczka, świecimy oba jako dwa słoneczka”. Tu następował odważny *pirouette* i dalej:”Pstryk, pstryk, bzyk, bzyk - tu płomień był... i znikł...”. Po czym dochodziło do nieodwracalnego zejścia towarzyskiego. Z wujkiem Adamem Broniek Smoleń miał też występy bardziej publiczne. Pewnego razu w przypiływie fantazji ułańskiej poprawili, można powiedzieć, wizerunek Apolla stojącego na Teatrze Polskim w Bielsku.

Jeszcze w latach siedemdziesiątych rodzina była zintegrowana, odwiedzano się, pisano listy. Później, szczególnie po śmierci”Węgierek”, zabrakło czasu i chęci na kultywowanie spotkań. Trzecie i czwarte pokolenie państwa Turry rozjechało się po Polsce, więzi rozluźniły się bardzo.

Mama nie mogła się tobą i siostrą opiekować tak jak zwyczajna mama. Byliście sterowani głosem?

Znała dokładnie układ mieszkania, kuchni, nawet swoje naczynia. Jak słyszała hałas z kuchni, to mówiła:”Czemu zielony garnek wyjmujesz, prosiłam o niebieski”. Nie mogła się poruszać, nie chodziła. Prowadziła osiadły tryb życia.

Czyli to głównie tata zajmował się wami?

Nie, ojciec nie miał czasu. My z siostrą musieliśmy za szybko dorosnąć. Zajmowaliśmy się mamą. Potrafiliśmy ją we dwójkę unieść trochę, siostra ją myła. Umieliśmy gotować nawet. Mama pamiętała z dzieciństwa różne przepisy, receptury i mówiła nam, jak to przygotować.

Tłumaczyła kolejność rzeczy, jak i co robić. Piekliśmy na przykład ziemniaki krojone w plastry i smarowane czosnkiem na blasze. A na święta robiliśmy rybę po żydowsku. Głowy karpiove z cebulą się gotowało tak długo, żeby zrobiła się galareta, precedzało się to i w tym kilka minut gotowało dzwonka karpia obsypane wcześniej mocno cukrem i pieprzem, i trochę

solą. I nic więcej. Jak się odstawi, robi się galareta. To jest znakomite, trochę słodkie, trochę pieprzne.

Mieliście jakąś pomoc fachową w domu?

Były różne panie, które opiekowały się nami i mamą. Obiad jakiś stworzyły, sprzątały.

Skoro tata był zajęty, a mama była chora, to właściwie nikt was nie kontrolował. Byłeś samodzielnym dzieckiem? W szkole też?

Tak... Była duża korespondencja między ojcem a nauczycielami. Nauczycielka pisała: "Bohdan znowu przyszedł nieuczesany na lekcje", a ojciec odpisywał: "Widocznie nie miał grzebienia". No to Pani znowu coś napisała, ojciec też. Taką sobie prowadzili wymianę myśli w dzienniczku. Kiedyś z kolegami zrobiliśmy ognisko i wrzuciliśmy do niego jakieś pociski poznajdywane na polach. Jak to zrobiło srru! Wszyscy w Bielsku słyszeli. Miałem też ulubioną zabawę: ześlizgiwanie się z czubka drzewa, wierzby płaczącej, na ziemię. No i szaleństwa na rowerze... Czepiałem się ciężarówek i pędziłem, bez dotykania pedałów.

Kiedyś, jak byliśmy w podstawówce, mama załatwiła nam kolonię w Łebie. Tak mi się spodobało, że postanowiłem zaraz, chyba na drugi dzień, wpław wracać do domu. Tylko mi się kierunki pomyliły i wypłynąłem w morze.

Zupełnie nie rozumiem, jak to się stało, że przeżyłem w jednym kawałku dzieciństwo.

Ja nawet z księdzem po kolędzie chodziłem po Bielsku. Ale krótko trwała ta przygoda, bo kiedy ksiądz pisał: "K+M+B", dopisywaliśmy: "= 1958 zł na tacę".

Ojciec nie miał czasu chodzić do szkoły?

Tata dość często zaglądał do kieliszka i nie miał czasu.

Aaa... To nie dlatego, że był w pracy, tylko dlatego, że był zmęczony...

Tak. Był bardzo zmęczony, bo miał swoje problemy życiowe, które topił w wódce. Matka była sparaliżowana, nic nie było normalnie.

Mam przez to rozumieć, że czasem musieliście opiekować się nie tylko mamą, ale i tatą?

Czasem tak... Zdarzało mu się nie trafić do pracy albo zapomnieć wrócić do domu. Był na przykład taki czas, kiedy tata wychodził rano do pracy i wracał punktualnie o piętnastej do domu. Tylko jak się później okazało, jakoś w zakładzie go nie było. Tata pracował w zakładach Iniarskich. Był technikiem włókiennikiem i pracował jako mistrz zmianowy. Produkowali worki, węże brezentowe.

Przecież on miał inne fascynacje! Konferansjerka, teatr, żarty...

Tak, ale jak myśmy z Iloną byli na świecie, to już się tym nie zajmował profesjonalnie. W domu był poważny, może nawet trochę smutny, nieobecny. Ale

w towarzystwie zawsze był najdowcipniejszy.

Pewnej nocy pomalowali razem z wujkiem Adamem Apollinowi fiuta farbą. Takiej rzeźbie na dachu Teatru w Bielsku. Ale ponieważ ich przyłapali, to później byli sławni w Bielsku z tego, że musieli mu tego fiuta oskrobać żyletkami.

Jaki byłeś w dzieciństwie? Nieśmiały? Zarozumiały? Równiacha?

Wtedy byłem bardziej normalny niż teraz. Byłem najmniejszy w szkole, za moich czasów przychodziły jeszcze roczniki, które nie skończyły przez wojnę szkoły i nadrabiały zaległości. I te wyrosnięte chłopaki się mną opiekowały, bardzo mnie lubili. Czułem się dużo bezpieczniej, bo zawsze był jakiś wysoki Janek, którego można było poprosić, jak mnie ktoś zaczepiał, żeby go uspokoił.

Poczucie humoru pomagało ci radzić sobie z rówieśnikami?

Wyniosłem to z domu. Ojciec był największym prześmiewcą w Bielsku - Białej. Uczyłem się jego zwrotów i dlaczego się tak mówi. Uświadomił mi, że nie trzeba rzucać kamieniami czy obrażać. Można wypunktować słownie. Pokazał mi siłę żartu. Chociaż wtedy nie miałem jeszcze pojęcia, co może zrobić dobry żart. Jaką ma moc.

Czy znasz historię choroby mamy?

Mama przed chorobą występowała w Teatrze Polskim w Bielsku jako aktorka amatorka, była choreografką, pracowała w domu kultury chyba. Współpracowała z ciotką Bobi - Elwirą Kamińską.

W sierpniu 1955 roku pojechała na Światowy Festiwal Młodzieży do Warszawy jako jakaś kulturalno-oświatowa. I z tego festiwalu wróciła już chora. Ona była podobno jedną z najstarszych osób, które zaraziły się chorobą Heinego-Medina. Nagle miała strasznie wysoką gorączkę, nie mogła się poruszać.

Tak z dnia na dzień?

Tak. Była w jakimś "żelaznym płucu", kilka lat jeździła od szpitala do szpitala, była w kilku sanatoriach. Pamiętam, że zaraz po powrocie z Goczałkowic, jak tata ją trzymał za rękę, to jeszcze mogła stać! Ale później z nią nie ćwiczył, a my z siostrą byliśmy za mali, nie mieliśmy dość siły, żeby z nią trenować chodzenie. Nawet jej nie potrafiliśmy pomóc wstać. No i tak się zastała w tej chorobie, że potem nie mogła się już nawet ruszać.

Mieszkaliśmy wtedy przy ulicy Rutkowskiego 25 w Bielsku-Białej. To było mieszkanie w willi.

A później mieszkaliśmy za ciotkę Elwirę przy Wyspiańskiego. Wyprowadziła się, kiedy jej mąż został dyrektorem Filharmonii Śląskiej. Zamieszkaliśmy w zwolnionym przez nią mieszkaniu. A że te wille były komunistycznie podzielone, więc ze względu na układ sił

ciotka sobie wzięła dwa największe pokoje i kuchnię. Nam było tam wygodnie, było niżej i można było mamę na wózku wynosić do ogrodu. To był piękny dom, a jaki ogród! Wielkie tulipanowce, miłorzęby sadzone jeszcze przed pierwszą wojną. Teraz miasto wyprowadziło wszystkich z tego domu. Nic się tam nie dzieje, i dom, i ogród niszczejają.

W tamtych czasach miałem jakieś proste obowiązki, coś posprzątać, coś kupić.

Nie wszystko było łatwe w domu. Tata był samotny. Mamą trzeba się było opiekować, a on nie miał cierpliwości. Nie dawał rady. Szukał ucieczki w alkoholu. Często uciekał z domu. Kiedyś nas podejrzewał, że mu narty schowaliśmy, a te narty gdzieś pewnie zgubił albo sprzedał, jak poszedł w tango. Był wielkim lekkoduchem.

Raz dostałem drewnianą chochelką od ojca, bo zgubiłem pięćdziesiąt złotych po drodze do sklepu. Tata nie był nigdy agresywny, nigdy na nas nie krzyczał. Ale wtedy był w złym humorze i wymierzył mi sprawiedliwość. Widać jakoś bardziej te zakupy były potrzebne. Mama nie gniewała się, nie krzyczała. Wiedziała, że takie coś się może zdarzyć.

Była tolerancyjna?

Bardzo. Ona nas tak bardzo kochała. Zawsze wierzyła, że coś z nas będzie.

Nasz dom to był taki dom otwarty, spotykała się u nas grupa poetycka "Skarabeusz". Przychodził Mieczysław Stanlik - poeta, dwaj bracia Bogdan i Andrzej Kiercowie - aktorzy, Stasiu Gola - prozaik i poeta. Siedzieli wokół mojej mamy, mnóstwo palili i omawiali różne rzeczy. Były też dysputy religijne, bo mama umiała zaprosić ludzi różnych religii. W ramach niespodzianki nie mówiła nikomu, kto będzie. Rozmawiali o Biblii. Każdy przedstawiał swoją interpretację. Mama pisała wiersze, artykuły.

Później napisała program dla Kabaretu "Pod Budą" *Tyle ruchu, a tu stop, czyli Sensacja w Dojkach Wielkich*.

Przyjechałem wtedy z całym zespołem do domu, mieszkali u mnie. Ja byłem zawsze leń. A na niej mogłem bardziej polegać niż na sobie. Jej teksty były takie społeczno-obyczajowe.

Mama ciągle udzielała lekcji, do późna w nocy. Wszyscy się chcieli u niej uczyć. Ona potrafiła nawet takich chuliganów z ulicy obłaskawić. Czytała im książki i przerywała w najciekawszym momencie. Mówiła: "Ciąg dalszy będzie, jak przyniesiecie ze sklepu masło, bułki czy gazetę". I oni robili zakupy za to, że czytała im książki. A przy okazji nie zaczepiali nas z Iloną na ulicy, bo byliśmy dziećmi tej pani, co fajne rzeczy czyta.

Nauczyła się pisać tymi trzema palcami lewej ręki i ładnie, kaligraficznie pisała. Robiła tłumaczenia dla lekarzy, prawników. Prowadziła na wózku jakieś kółko teatralne w szkole. Była bardzo popularna w Bielsku.

Zmarła w czasie mojego pierwszego wyjazdu do Ameryki.

Miała szansę poznać twoich synów?

Była jeszcze świadkiem, jak Maciek i Bartek stawiali pierwsze kroki. Maciek urodził się w Bielsku. Z domu do szpitala było dwieście metrów. Więc ze szpitala wróciliśmy do domu moich rodziców. A później, po miesiącu, pojechaliśmy już do Krakowa. Załatwiłem akademik, który stał się domem moich dzieci. Za zgodą pań z dziekanatu, które mnie bardzo lubiły. Miałem wyjątkowe chody u pani Zosi, która była szefową dziekanatu, ale też u moich pań profesorek, które nie miały nic przeciwko temu, że dzieci mieszkały w akademiku.

Wróćmy jeszcze do cioci, do tej, po której dostaliście większe mieszkanie.

To Elwira Kamińska - ciocia Bobi. Była choreografką w zespole "Śląsk". Mieli siedzibę koło Lublińca w pałacu w Koszęcinie. Obok były bloki, w których mieszkała młodzież, czyli młode małżeństwa ze Śląska. Byłem tam kilka razy. Miałem masę ciotek - bardzo ładnych, i wujków - fajnie śpiewających. Przed nimi się popisywałem, opowiadałem jakieś głupoty i dowcipy, bo do tego byłem stworzony. Że sprzątaczkę w Komitecie sprzątały i rozmawiały między sobą: "Była świetna zabawa - wszyscy rzygali, tylko Pierwszy Sekretarz wymiotował". Były dowcipy o Ruskich, Niemcach, o Chruszczowie, jak kiedyś Chruszczow przyjechał do kołchozu: "Dobrze wam się żyje? - zażartował Chruszczow. - Dobrze! - zażartowali kołchoźnicy". O Zawadzkim i Bierucie, że on tak strasznie kochał wszystkie dzieci, tylko swoich nie kochał. Myśmy w podstawówce płakali, jak on umarł, bo przecież tak kochał te dzieci.

A jak Stalin umarł?

O, to płacz był straszny w całym przedszkolu. Chociaż tatuś mój w domu co innego mówił, niż w przedszkolu mówili. Bardziej wyraziście się o Stalinie wyrażał. On mnie też uczył, że ze wszystkiego można żart zrobić. Z kościoła, z partii - ze wszystkiego. Śmiesznie opowiadał o poważnych sprawach.

Myślisz, że mama miała żal do ojca o to, że pił, że nie zarabiał, że was zaniedbywał?

Tak na sto procent, to nie wiem. Ale z tego, co widziałem i słyszałem, to nie. Ona go tak kochała, że chyba nigdy nie miała żalu do niego. Klócili się i całowali później.

Wiesz, gdzie ta wielka miłość się zaczęła? Gdzie się poznali?

Chyba gdzieś w kręgach ciotki Bobi, w teatrze.

Bobi otaczało mnóstwo ludzi, ciągle były tłumy. Babcia Gizela potrafiła obsłużyć każdą ilość gości, jedną kostkę mięsa na gulasz kroїła na cztery części, dorabiała sosu i wszyscy byli najedzeni. Tam u nich mogło się zrobić nagle szesnaście osób na kolacji. A Gizela zawsze podawała kolację na ciepło. Najczęściej nokieli z gulaszem. Dziadek Czech

uczył nas:”Dzieci, proszę cichutko siedzieć przy stole, dopiero jak babcia poda kolację, to macie tak grzebać nóżkami jak koniki i robić ihaha!”. I kiedy Gizela serwowała gulasz z koniny z nokiolkami, trzęśliśmy głowami i grzebaliśmy kopytami. A Gizela wołała do Władka:”Och, ty lajdak, ty lajdak! Wyuczone, wyszkolone...”. Potrafiła z niczego zrobić przyjęcie. Nokiutki (nokedli) to takie jakby gęste lane ciasto, odcinane na desce nożem wprost do wrzątku. Robiła takie węgierskie potrawy, na przykład perkel, gemize z ziemniaków.

Pamiętasz te przepisy? Mówiła mi twoja kuzynka, że gotowałeś kiedyś chętnie?

Bardzo lubiłem. Umieję ugotować i mięsa, i ryby, i zupy.

To może mały kącik kulinariów węgierskich?

Trudno w Polsce zjeść dobre węgierskie potrawy. Najlepiej zrobić samemu. Najbardziej różni się od oryginału to, co nazywane jest gulaszem. Gulasz to nie perkel (pörkölt), to zupełnie różne potrawy. Gulasz to bardziej zupa czy sos, gotuje się go na mięsie z kośćmi, z kminkiem, papryką, warzywami, ziemniakami. Może być też z makaronem. Jest jeszcze paprykarz - wtedy tylko mięso, papryka i śmietana. A prawdziwy perkel to samo mięso bez kości pokrojone w dość grubą kostkę, papryka, pomidory, może być trochę marchwi, pietruszka. To są inne przepisy, inne smaki.

Opowiedz w takim razie, jak się robi ten perkel.

Taki najprawdziwszy perkel zaczynasz robić od tego, że na smalcu albo oleju trzeba podpiec cebulę na złoto, później do tego dodać paprykę w proszku, później mięso pokrojone w kostkę. To się mocno obsmaża. Mięso jest w dość dużych kawałkach, to obsmażanie to po węgiersku *pörkölni*, stąd nazwa. Teraz dopiero można dodać wody - tyle, ile mięsa. I dusić jak najdłużej. Żadnej mąki do zagęszczania, żadnych wynalazków. Oczywiście sól i trochę czosnku musi być. Cała siła tkwi w tym, że jest mało składników. Można też, jak już się woda wygotuje, dodać pomidory i paprykę i dalej dusić, aż powstanie sos.

Jakie jeszcze dania lubiłeś?

Węgierskie gołąbki. One są inne niż polskie, różnią się tym, że są z kiszoną kapustą. Mięso wieprzowe, ryż, boczek, cebula i papryka w proszku na nadzienie. Zawija się to w liście kapusty, a później gotuje na kiszonej kapuście, tłustych kawałkach mięsa i boczku. Wody tyle, żeby zakryła gołąbki. Oczywiście sos doprawić papryką.

Fajne są dania z kociołka. Warunek - trzeba mieć kociołek i ognisko. Można zrobić zupę z kociołka - bográcsgulyás. Wołowinę z kością ułożyć na spodzie i na to układać warstwami kawałki mięsa i cebulę pokrojoną w kostkę. Na to kminek, czosnek, paprykę, część pomidorów i połówkę papryki chili. W połowie gotowania dodaje się resztę pomidorów. Gotować na małym ogniu, jak już ognisko dogasa. Kiedy mięso już jest dobre,

dodać pokrojone ziemniaki i paprykę. Możesz jeszcze dać liście selera i wszystko gotować, aż ziemniaki będą miękkie.

No i knedle ze śliwkami. Szilvásgombóc. Z przetartych przez sito ugotowanych ziemniaków, masła, jajek, soli i mąki zagniata się ciasto niezbyt twarde. Roluje się wałek, odcina się małe kawałki, z nich robi się kwadraty. Do każdego wkładasz pół śliwki posypanej cukrem i cynamonem. Zaklejasz i wrzucasz na wrzącą wodę. Od wypłynięcia gotujesz jeszcze chwilę. Znakomite z kwaśną śmietaną.

Dzięki tym przepisom wracasz do dzieciństwa?

Całe życie szukam tych smaków... Z czasów bielskich...

Twoja babcia była Węgierką. Czy mama mówiła do was po węgiersku?

Tak, jakieś piosenki, wierszyki, czasem przekleństwo, jak się zdenerwowała. Nawet tekst napisała po węgiersku dla Kabaretu "Pod Budą" - jak jechaliśmy do Budapesztu, żeby widzowie coś rozumieli.

U nas w domu, jak się spotykały moje ciotki Węgierki, kiedy chciały, żeby dzieci nie rozumiały, to mówiły po węgiersku. W Bielsku w innych domach w takiej sytuacji mówili po niemiecku, a u nas po węgiersku. Matka mojej mamy była Węgierką, urodziła się i w dzieciństwie mieszkała w Budapeszcie, a dziadek był Rosjaninem - z Leningradu, czy raczej Petersburga. A babci rodzice to znowu - matka Austriaczka, a ojciec pochodził gdzieś z Włoch. Mama mówiła i pisała po węgiersku, rosyjsku, angielsku i niemiecku.

Doszło kiedyś do spotkania wszystkich gałęzi twojej rodziny, tak żeby przy stole mówiło się po węgiersku, niemiecku, rosyjsku i włosku?

Nie. Ale kiedy przyjechała ciotka z Leningradu, to się mówiło po rosyjsku. Była u nas chyba miesiąc. Gotowała pyszne obiady, ale miała swoje przyzwyczajenia wojenne. Nie wylewała wody, w której gotowały się ziemniaki, wykorzystywała ją później do robienia purée. A my z Iloną zawsze jej tę wodę wylewaliśmy. No i chleb. Chleb do wszystkiego, do zupy, do ziemniaków. Mówiła, że w czasie wojny tak bardzo brakowało im chleba, że nie może go teraz sobie odmówić.

Ojciec z mamą nawet byli w Leningradzie. Gdzieś w latach sześćdziesiątych, to była ich pierwsza podróż po ślubie. Mama już na wózku. Zrobili sobie wyprawę do cioci Luby. To była siostra dziadka. Fajna była ta ciotka, kiedy nas odwiedziła, to nauczyła mnie trudnych słów po rosyjsku i mogłem później w szkole zabłysnąć.

Dziadek, kiedy mieszkał w Polsce, był właścicielem fabryki w Łodzi. Z opowieści rodzinnych wynika, że sprzedał fabrykę, bo chciał inwestować w coś innego. No i akurat przysła devaluacja - i tak został z kupą papieru nic niewartego. Po tym jak splajtował, uczył

języków obcych, bo znał kilka.

Babcia zmarła w Ravensbrück, a dziadek w Auschwitz. Złapali go Niemcy w łapance. Babcia przechowywała dziecko żydowskie. Dla zmylenia przeciwnika w swojej firmie krawieckiej, gdzie szyła dla najbogatszych Niemek suknie. Ale ktoś ją zdradził. Po wojnie to dziecko, to znaczy dorosła już kobieta, przyjechała z Meksyku i szukała mojej matki. Ale ciotki nie podały jej adresu. Taka była zadra. Nie mogły jej może wybaczyć, że ona żyje, a babcia nie?

A co wiesz o rodzinie od strony ojca?

Dziadek Smoleń zmarł młodo. Mój ojciec miał siostrę i brata, oboje starsi. Też już nie żyją.

W czasach, kiedy mieszkałem u babci Smoleniowej, zacząłem palić papierosy. W szkole podstawowej jeszcze! Kiedy mój ojciec był mały, to za palenie dostawał w dziób. Ale jak ja zacząłem popalać, to babcia nie chciała, żebym wychodził palić do bramy, na dwór - żebym się nie przeziębził - i pozwalała mi kurzyć w oknie, w kuchni.

Babcia pochodziła z Cięciny czy z Węgierskiej Górki - to są takie wsie koło Żywca. Była niesamowicie twardą kobietą. Była niezniszczalna. Kiedy na starość już tylko leżała, to wzrokiem pokazywała, co ma kto zrobić i nie trzeba było nic tłumaczyć. Do swojej córki, ponad sześćdziesięcioletniej, potrafiła powiedzieć: "Ty gówniaro! Miałaś być o ósmej! A jest już ósma piętnaście!".

Babcia znakomicie gotowała. Do dziś pamiętam jej potrawy i staram się odszukać te smaki. To była kuchnia biednych ludzi, prawie bez mięsa. Taki gulasz ziemniaczany z kminkiem i papryką albo szpinak duszony z pokrojonym w małe kawałki jajkiem na twardo. To było coś genialnego.

To żeby było sprawiedliwie - skoro znamy już przepisy węgierskie, opowiedz, jak się robi gulasz ziemniaczany z okolic Bielska.

Ziemniaki twardej odmiany kroisz w kostkę. Smażysz cebulę na złoto i dodajesz ziemniaki. Nawet niech się trochę przypali, to będzie jeszcze lepsze. Do tego dodajesz dużo kminku i słodkiej papryki. I to się dusi, smaży, aż będzie miękkie. A szpinak robi się tak: gotujesz szpinak z zasmażką mocno przyprawioną czosnkiem, papryką, a na koniec posypujesz jajkami ugotowanymi na twardo i pokrojonymi w drobną kosteczkę. To jest bardzo dobre danie.

Dużo pracy włożyłam w odszukanie historii twojej rodziny, a i tak połowy nadal nie wiem.

Jest jeszcze tajemnica Hanki. Ona była przysposobiona przez moich rodziców. Miała

wtedy chyba szesnaście lat, ja byłem jeszcze gówniarzem. Pomagała nam w opiece nad mamą i gotowała. No i tu jest tajemnica alkowy. Ojcem jej pierwszego dziecka był, być może, mój ojciec. Kiedyś zaczął nam opowiadać, że mamy jeszcze brata. Ale tak naprawdę nikt nic nie wie - niby było, a nie było.

To życie rodzinne, te wszystkie ciocie, babcie, wujkowie, kuzynostwo, to było bardzo silne. Jak się gdzieś zachodziło na godzinę, to można było dwa dni zostać. Moje ciotki i mama miały wpojona podstawową zasadę: najważniejsze jest życie rodzinne. Nawet jak coś nie wychodziło w małżeństwie, to cały czas starały się tę drugą osobę naprawić. Mama mówiła do taty: "Bronku, ty pijesz, nieregularnie chodzisz do pracy". A on ją chciał upokorzyć i mówił: "A ty... A ty... A ty spłacasz za mnie długi!".

Po śmierci mamy tata nadal pił?

Tak, był konsekwentny do ostatniej chwili. Nawet jak był w szpitalu, znalazł kogoś, z kim mógł zapalić, wypić.

Zawsze jakiś palacz, stróż towarzyski się znalazł.

Kartka urodzinowa z 1996, piękny charakter pisma:

„Niech każdy kolejny dzień niesie spełnienie wszystkich marzeń. W dniu urodzin mojemu kochanemu synowi Bohdanowi wdzięczny do końca tata”.

Tata bardzo cię kochał, był dumny z ciebie?

No... podobno...

Podobno? Bardzo cię kochał! Skoro tak pisał do ciebie!

Jakoś trudno mi ojca tylko dobrze wspominać. To był szczególny człowiek. Ojciec urodził się w 1917 roku. Był nawet w "Teyu" i w innych miejscach. W Krakowie z mamą byli. Na starość miał zaćmę i był dwukrotnie operowany w związku z tą chorobą. I kiedy po operacji zapytali się go w szpitalu: "Jak się pan czuje?", to odpowiedział: "Wszystko tak samo, tyle że widzę".

Nie planowałeś studiów w Krakowie, a już szczególnie występów w kabarecie od wczesnej młodości.

Nie. Miałem zupełnie inne plany. Po maturze zdawałem do szkoły oficerskiej w Pile. Bardzo chciałem zostać zawodowym kierowcą. Po pierwsze: uwielbiałem samochody, po drugie: dziewczyny uwielbiały chłopaków, którzy mieli samochody. Ale do tej szkoły były egzaminy sprawnościowe. Pojechałem z ojcem, z Bielska do Piły... Niestety, był taki egzamin z odwagi. Trzeba było skoczyć do wody z pomostu. A ja nie cierpię wody. Chociaż tam podawali bosak natychmiast, jak ktoś się topił. Ale podjąłem decyzję, że nie będę skakał. Wywoływali moje nazwisko kilka razy, że ma skakać Smoleń, ale się nie odezwałem. No

i skreślili mnie z listy odważnych.

A prawo jazdy robiłem jeszcze w klasie maturalnej w Bielsku. Ojciec jednej koleżanki z liceum miał prywatny sklep z butami. Jeździł do Wadowic do szewca po buty. A ponieważ u szewca trzeba wypić, więc brał mnie jako kierowcę. I jeździłem warszawą do Wadowic. W rodzinie naszej nikt samochodu nie miał.

Po maturze, po tym nieudanym egzaminie z odwagi, byłem przez rok w Bielsku. Zostałem wtedy przewodnikiem życiowym chłopców z Cypru.

Bielska PZPR w ramach eksperymentów robiła kursy języka polskiego. Najpierw dla Koreańczyków. We wczesnych latach sześćdziesiątych byli przysyłani do Bielska w nagrodę za ofiarną pracę w swojej organizacji i mogli się nauczyć kilku słów po polsku.

A pod koniec lat sześćdziesiątych przyjechali młodzi chłopcy z Cypru. Uczyli się polskiego, później kończyli szkoły średnie i studia rolnicze. Było ich około trzydziestu. No i wzięła mnie litość, bo oni byli młodszy ode mnie, i chodziłem po kawiarniach z nimi, bo ja już mogłem zamówić piwo, a oni jeszcze nie. I tak się zaprzyjaźniliśmy, że trwa to do dzisiaj. Byłem na Cyprze dwa razy. Ja ich uczyłem polskiego w praktyce, a oni mnie greckiego. Jak ktoś chce jechać na wycieczkę na Cypr i opieprzyć kelnera, to mogę przeszkolić albo jechać jako tłumacz. Znam takie zwroty, że niejednego Cypryjczyka by się zdziwił.

Kiedyś Cypryjczycy postanowili zrobić dla nas tradycyjną grecką potrawę. Nie wiedzieli dokładnie, jak to się robi, więc dzwonili do matek, po przepis. Pewnie telefony wyszły drożej niż kolacja.

Gotowali zupełnie cytrynową. Najpierw kupili na rynku kurę. Ta kura im się nie chciała do żadnego garnka zmieścić. A gotowali u nas w kuchni. Upychali tę kurę na wszystkie sposoby. I gotowali rosół, później dosypali ryżu. I sok z cytryny. Wyszedł raczej ryż z kwaśnym rosółem. Ale wszyscy zjedli. Mamie, pamiętam, smakowało to bardzo. A jeden Cypryjczyk Dymitr Stylianus zakochał się w Ilonce, napisał dla niej nawet wiersz: "Nie moja wina, że zakochałem Cię, lecz Twojej piękności". Z wielkiej miłości niestety nic nie wyszło... z powodu PKP, można powiedzieć. Kiedy Dymitr miał studniówkę, zaprosił na nią Ilonkę. Przekonałem mamę, żeby puściła siostrę samą do Jeleniej Góry. Ilona była taka przejęta, że z wrażenia zamiast do pociągu relacji Kraków-Jelenia Góra, wsiadła do składu Jelenia Góra-Kraków. I wysiadła za Żywcem, na studniówkę nie miała szans zdążyć. Ale zdjęcie Dymitra Ilona ma do dziś.

Rok po nieudanym podejściu do szkoły oficerskiej zostałem studentem zootechniki.

Interesowałem się przyrodą, hodowałem rybki. Znosiłem do domu wszelkie owady, żaby, traszki, żółwie. Ku wielkiej uciechu mojego ojca, który chciał je natychmiast wyrzucić,

ale mama mówiła:”Zostaw, może mu przejdzie”. No i pojechałem na takie studia, że mogłem mieć wszystkie zwierzątka. Wybrałem Kraków, bo stamtąd pochodziła moja mama. Tam mieszkali przed wojną moi dziadkowie, ale kiedy dotarłem na studia, to żadni krewni już nie żyli. Za to przez tydzień udało mi się pomieszkać u”okrutnego wujaszka”. On był jakąś rodziną dziadka Władka Czecha. Był operatorem w kinie. Kazał mi wstawać o piątej rano, żebym się uczył. Pilnował, żebym broń Boże nie zabierał klucza od domu, bo zgubię na pewno. Tak więc pobylem niecały tydzień u niego. I wyprowadziłem się do akademika. A na studiach miałem czułą opiekę. Były takie panie profesor - jedna od zoologii, druga od drobiu. One mi dosłownie matkowały. Nawet korespondowały z moją mamą, o czym nie wiedziałem. Pani Władysława Niemczyk i pani Helena Bączkowska. Ja byłem chudziutki, malutki i budziłem takie uczucia. Podtykały mi jakieś jabłuszka, ciasteczka. Naprawdę - dbały o mnie.

Kiedy zamieszkałeś w akademiku, zaczęła się twoja historia aktora kabaretowego.

Tak. Najpierw waletowałem, a później dostałem przydział i zamieszkałem legalnie. W jednym z najstarszych w Krakowie akademików, Domu Studenckim”Blokada” przy ulicy Ziai. Mieszkałem nad Klubem”Buda”. Z kolegami z akademika: Alkiem Gałką i Andrzejem Pawłowskim, zawsze się jakoś angażowaliśmy w sprawy kulturalne. Najpierw udzielałem się w teatryku”Rezonans”. To był teatr poezji, prowadził go Jan Krzyżanowski, mąż Tereski Budzisz. No a później z naszych rozmów, żartów wyszło tak i tak, że powstał Kabaret”Pod Budą”.



1. Pradziadkowie Turry z córkami: Gizelą (po lewej) i Elwirą.
Budapeszt, przełom XIX i XX w.



2. Elwira Turry (później Barkan). Kraków, ok. 1915 r.



3. Gizela Turry (później Czech). Budapeszt, początek XX w.



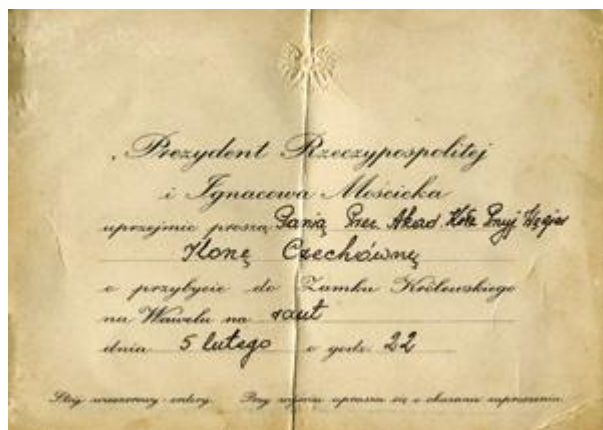
4. Rodzina Czechów. Od lewej: Władysław, Bobi, Gizela, Mausi, jamnik Buksik. Okolice Bielska, lata trzydzieste.



5. Rodzina Czechów. Siedzą: Władysław i Gizela, po lewej stoi Mausi, po prawej Bobi z mężem Władysławem Kamińskim. Bielsko, lata trzydzieste.



6. Zespół ludowy działający przy Kole Przyjaciół Węgier Studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Siódma z lewej Ilona Czech (Mausi), po jej lewej stronie dr Janusz Harajda. Prawdopodobnie wyjazd do Szegedu, 1938 r.



7. Zaproszenie Mościckich dla Mausi.



8. Na dancingu w "Bristolu". Pierwszy z lewej w drugim rzędzie Władysław Czech.
Zakopane, lata dwudzieste.



9. Mausi i Jan Gruszkowie. Bielsko, lata czterdzieste.



10. Etelka z mężem Józefem Wachalterem i synem Rysiem.
Kraków, lata dwudzieste.



11. Elżbieta Barkan (później Smoleń), Pierwsza Komunia Święta. Kraków, ok. 1935 r.



12. Od lewej: Barbara Gruszka, Bohdan Smoleń, Gizela i Władysław Czechowie, Ilona Smoleń, Jacek Gruszka. Pięćdziesiąta rocznica ślubu Gizeli i Władysława. Bielsko, lata pięćdziesiąte.



13. Chór wnucząt. Od lewej: Bohdan, Ilona, Barbara, Jacek. Pokaz artystyczny, pięćdziesiąta rocznica ślubu Gizeli i Władysława. Bielsko, lata pięćdziesiąte.

15. Od lewej: kuzyn Roman Chalupka, babcia Bronisława Smoleniowa, Bohdan, Ilona i Bronisław Smoleń.

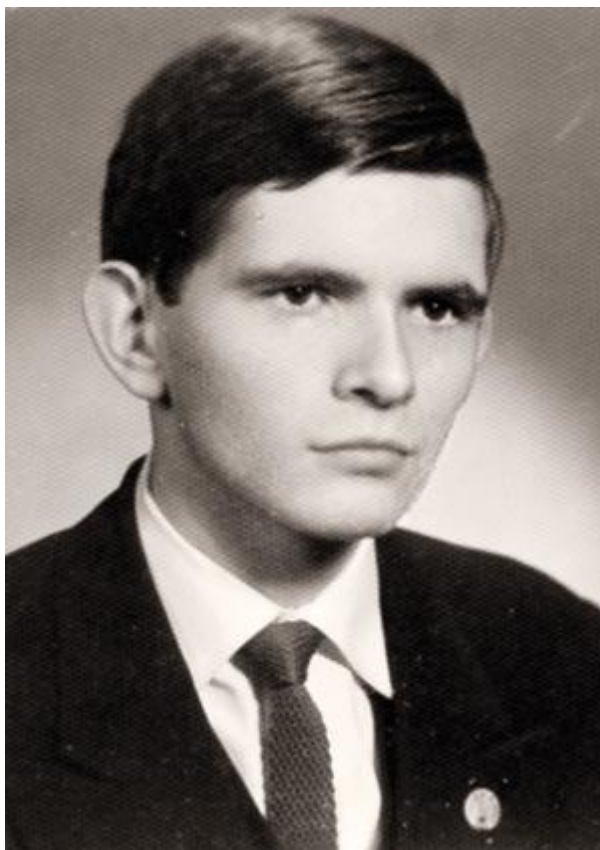
Okolice Bielska-Białej, koniec lat pięćdziesiątych.



14. Bohdan i Ilona Smoleń. Bielsko-Biała, ok. 1953 r.



16. Elżbieta (Lala) i Bronisław Smoleniowie.
Bielsko-Biała, koniec lat pięćdziesiątych.



17. Bohdan Smoleń. Klasa maturalna. Bielsko-Biała, 1965 r.

Rozmowa II

Zima trzyma dziarsko tego roku. Nie widziałam gołej ziemi już od trzech miesięcy. Nie wspominając o kępce trawy. Jedyłą szansą, żeby nie zwariować, staje się wizyta w poznańskiej Palmiarni. Mamy taki przybytek z palmami, bananowcami, złotymi rybkami. Lepszy zakurzony kaktus niż bezkresna biel pól. Pól biel.

Dojeżdżam do Baranówka bez większych sensacji. Zimowe opony odebrały podróżowaniu dreszcz emocji. Psy nie szczekają, a część koni zajęta jest hipoterapią w namiocie. Wchodzę do domu, Bohdan skulony pod kocem - śpi. Nie budzę go, zostawiam sprzęt, zabieram tylko aparat i idę fotografować końskie pyski w śniegu.

Wracam po 20 minutach - w domu zupełna zmiana scenografii i choreografii. Na stole w kuchni leży noga. Cała, od czubków palców po staw biodrowy. Nad nogą w tanecznych lansadach uwija się specjalista od rozbioru pan Heniek, a w pana Heńka i w nogę wpatruje się łakomie Bohdan. Być może gdybym nie była wegetarianką od ponad dwudziestu lat,

podzielałabym ich wzruszenie i podniecenie. Ale najpiękniejsza nawet szynka wieprzowa nie wywołuje we mnie entuzjazmu. Pan Heniek wykrawa, rozkrawa, wali toporem w kości, a ja schowana za węglem zastanawiam się, co Bohdan będzie robił z pieczołowicie odkrojoną grubą, wędzoną skórą.

W gości dobrej woli i cały czas z nadzieją, że jednak dziś pogadamy, zmywam ślady zbrodni ze stołu.

Pan Heniek dopijał herbatę, gdy zaszedł tata Emilki. Tata Emilki tylko na chwilkę, bo Emilka po zajęciach hipoterapii, czeka w aucie. Po kolejnych 20 minutach nadzieje na rozmowę właściwie nie istnieją. Robię kapuśniak, żeby czymś się zająć.

Nagle tata Emilki przypomina sobie, że przecież bardzo się spieszy, bo Emilka sama w tym aucie. Wychodzi po półgodzinnej pogawędce. Z zajęć wracają Joasia z Olą i Marcinem - wolontariuszami. Głodni i zmarznięci, po kilku godzinach opieki nad dziećmi, rzucają się na zupę.

Składam broń, nie czuję już nastroju. Na pociechę idę zobaczyć oczary - gałęzie obsypane kolorowymi kwiatami pod śniegiem. Z radości krzyczę na całą wieś! Wreszcie coś żywego!

Krótki zimowy dzień kończy się równie gwałtownie jak zamieszanie gastronomiczno-towarzyskie w domu Bohdana. Prawie w jednej chwili wszyscy żegnają się i jednak zostajemy sami. Więc do dzieła.

„Pod Budą”, w „Blokadzie”...

Kabaret „Pod Budą” założyli koledzy z krakowskiej Wyższej Szkoły Rolniczej z wydziału zootechniki. Swoją siedzibę miał w piwnicach Domu Studenckiego „Blokada” pod Klubem „Buda”, stąd zresztą jego nazwa.

Pierwszym programem, granym w 1969 roku przez zespół w składzie: Alek Gałka, Andrzej Pawłowski, Małgorzata Jensen, Marta Stanek, Zbyszek Karwala, Grzegorz Rekliński, Staszek Daszkiewicz i Bohdan Smoleń, był program *Bez tytułu*. Następny z 1970 to *W Powroźniku bez zmian*. Tytuł był cytatem z opublikowanego w prasie rolniczej listu gaździny z Powroźnika, w którym dzielna gospodyni skarży się na dziki plądrujące pola.

Pierwsze programy Kabaretu „Pod Budą” miały charakter kawiarniano-rolniczy i nadawały się świetnie do grania zarówno na imprezach studenckich WSR, jak i w Klubach Rolnika. Od 1969 roku KPB grał co wtorek w Domu Studenckim „Blokada” przy ulicy Ziai w Krakowie. Aż do dnia, gdy akademik został oddany do remontu. Po remoncie miejsca na

Kabaret i klub zabrakło. Klub powrócił dopiero po ponad trzydziestu latach, w maju 2010 roku - w tym samym miejscu, ale pod innym adresem. Ulica Ziai zmieniła się w ulicę Jabłonowskich.

Przy tworzeniu kolejnego programu w roku 1970 również posiłkowano się inspiracją. Tym razem *Państwowym Urzędem Rejestracji Snów* Juliana Tuwima. Pierwszy punkt *Rozporządzenia PURS-u* Tuwima brzmiał:”§1. W celu roztoczenia opieki i kontroli nad niewyzyskaną dotychczas dla celów ogólnopaństwowych dziedziną podświadomą życia psychicznego obywateli Rzeczypospolitej - ustanawia się Państwowy Urząd Rejestracji Snów”.

Program *Urząd Rejestracji Snów* grany był z powodzeniem na przeróżnych przeglądach i konkursach studenckich.

Kolejna premiera: *Tyle ruchu, a tu stop, czyli Sensacyja w Dojkach Wielkich* napisana została przez Elżbietę Smoleń. Najpierw członkowie Kabaretu udali się na zimowisko, a później z pomysłami i szkicami tekstów przyjechali do Bielska, do mamy Bohdana.

Grzegorz Rekliński pamięta ją jako niesamowicie pogodną i pełną życia kobietę. Przy całej beznadziejności swego kalectwa była jedną z najweselszych osób, jakie poznał w życiu. Zapamiętał, jak ustami i mięśniami twarzy pomagała sobie odpowiednio ułożyć pióro w sprawnych palcach. Teksty Elżbiety Smoleń i zaangażowanie wykonawców dały oczekiwane efekty. W 1972 roku KPB przeszedł krakowskie eliminacje do Festiwalu Artystycznego Młodzieży Akademickiej. Do boju stanęło dwanaście kabaretów, między innymi FIUT (Film I Uwentualnie Telewizja) - kabaret Janusza Rewińskiego, działający przy krakowskiej szkole teatralnej. W finale znalazły się właśnie Fiut i KPB. Ostatecznie do Świnoujścia na FAM-ę pojechał Kabaret”Pod Budą”. Zdobył pierwszą nagrodę i Trójżab Neptuna. Czy zadra w sercu Janusza Rewińskiego tkwi do dziś?

Ludzie z KPB byli członkami Zrzeszenia Studentów Polskich, później”automatycznie” ZSMP, ale deklarowali pełną świadomość polityczną. W tekstach pojawiały się rozliczne aluzje, będące źródłem uciesznych dysput z cenzorami. To drobiazgi, które często były aluzjami niezamierzonymi, dopiero dzięki ingerencji cenzorskiej nabierały podwójnego znaczenia. W programie *Tyle ruchu...* była piosenka *Ortaliony, ortaliony*. W wersji”ortaliony mają swoje dobre strony i za jakiś czas na wschodzie znów odrodzi się ich czar” cenzor skreślił słowa”na wschodzie”. Wschód zastąpiono słowami”gdzieś dalej”, a skrzypaczka grała w tym momencie trzy takty *Kalinka*. No i dopiero zrobiło się politycznie. Albo płótno, którym był nakryty stół w czasie narady w Dojkach Wielkich. Było czerwone. Kojarzyło się, kazali zmienić. Użyto zielonego. Jeszcze gorzej się kojarzyło. To były twórcze

czasy!

Od tego programu zmieniła się wokalistka KPB. Marta Stanek wyjechała do Szwajcarii, gdzie udało się jej zdobyć stypendium. Na jej miejsce przyjęto mieszkającą i studiującą w Polsce Greczynkę Chariklę Motsiou. Śpiewała dwie piosenki greckie i dwie polskie. Sztuka zrobiła się międzynarodowa.

W 1973 roku kolejny program: *Na Zachodzie bez zmian. Dramat z życia Indian*. Może na zachodzie bez zmian, ale skład kabaretu zmienia się po raz kolejny. Odchodzi Andrzej Pawłowski, do grupy przyłącza się Anna Treter, a Bohdan Smoleń zaczyna pracę na scenie zawodowej, w Estradzie Lubelskiej. Następne dwa programy z lat 1974-75: *Uważaj, Sławek, uważaj...* i *Cześć, Sławek, a za co cię...* dedykowane domyślnie Sławomirowi Mrozkowi, zmieniły charakter Kabaretu "Pod Budą". Opiekę literacką, czyli odpowiedzialność za teksty, objął Heniek Cyganik. Kabaret stracił dowcip rolniczy, zyskał poetycki. Doszło też do zmian personalnych. Odeszli Staszek Daszkiewicz i bracia Karwałowie, a dokooptowano Andrzeja Żurka, Jana Hnatowicza i Krzysztofa Gawlika. Latem 1975 roku "na zastępstwo" za Chariklę (wakacje w Grecji) do KPD zaproszono Andrzeja Sikorowskiego. Przyjął się nad wyraz dobrze, zapuścił korzenie i wykiełkował w formie dorodnej - zespołu muzycznego "Pod Budą", który jako całkowicie niezależny twór działa z sukcesami do dzisiaj.

Kraków. Lata siedemdziesiąte. Czarne swetry, długie włosy, kluby studenckie... Papierosy, papierosy, wódka, wino, papierosy... I koniecznie świece poustawiane na pianinie, na gzymsach, parapetach. Ewa Demarczyk i Piwnica pod Baranami.

Czy słynna Piwnica pod Baranami też zachodziła do was, czy tylko wy do Piwnicy?

Przychodziliśmy do siebie, ale oni z inną potrzebą, a my z inną.

Wiesiek Dymny przychodził na ostatnią setę na sen do mnie, do "Budy". Bo ja zawsze miałem z organizacji piątkę. Budowaliśmy salę kabaretową w piwnicy pod klubem. A ludzi do pracy jak nakłonić? Wracali zmęczeni z jakiejś restauracji wieczorem do akademika, to jak jeszcze ktoś chciał coś wypić na dobry sen, musiał godzinę porobić. Dostawał kilof, łopatę i musiał poprzerzucać trochę. Bardzo chętnie u mnie pracowali. Wódki zawsze mieliśmy dużo, bośmy grali imprezę jako Kabaret "Pod Budą", coś zarobiliśmy i zamieniało się pieniądze na alkohol. Zawsze rektor był zdziwiony, jak ten remont się udaje. Mówiłem: To będzie gotowe za tydzień. A on mówił: "Tu mi tramwaj będzie jechał". Więc mówię: Tadziu² - bo myśmy byli na ty z rektorem - zobaczysz, że to będzie załatwione. I robiliśmy takie rzeczy, które były nie do przejścia dla normalnych brygad, a ja to za dwie, trzy flaszki miałem zrobione kolegami. Według speców technicznych ze Szkoły Rolniczej ściągnięcie takich ogromnych kotłów na wodę z centralnego ogrzewania było niemożliwe albo wymagało

jakichś wysokich umiejętności. Więc kupiliśmy z kolegą Staszkiem Sroką ekierkę, wymierziliśmy i obliczyliśmy, gdzie są kotwy, i to moi chłopcy wykuwali. Jak te parę ton spadło na betonową posadzkę, to huk był taki w całym akademiku... A później brygada pocięła palnikami na kawałki te kotły i cała sprawa trwała parę dni, a nie miesięcy, i już można było robić kabaret.

No a jak Wiesiek przychodził na setę, to później odpinaliśmy kurtynę, kładliśmy się na scenie, przykrywaliśmy i zasypialiśmy. I była taka atmosfera naukowo-literacka. Grechuta do nas zachodził. "Anawa" grał w studenckiej piwnicy "Bambuko". To był taki trójkąt bermudzki, wszędzie było blisko. Komu zabrakło napojów, to wychodził na obchód. Piło się dużo gorzały, paliło... Było mnóstwo klubów, na przykład "Żaczek", "Karlik". Normalne miasteczko studenckie, z jednej strony budynki AGH, z drugiej Szkoła Rolnicza. My byliśmy Wyższa Szkoła Rolnicza, czyli ktoś od nas to był "wysroł". A ci z AGH to byli "agiehamy". Okres krakowski był wybitny. To są stare czasy, sięgające początków mojej sklerozy. Byliśmy oryginalni - też w ubiorze. Nosilem różne wisioły, bransolety, dziewczyny miały długie spódnice, długie włosy. Zresztą my też wszyscy: brody, wąsy, długie włosy. Wyglądaliśmy artystycznie.

Pierwszy skład "Pod Budą" spotyka się czasami? Macie ze sobą kontakt?

Odwiedzamy się, oni wszyscy są w Krakowie. To mnóstwo ludzi, przecież od początku oprócz kabaretu był też zespół muzyczny. Grał Krzysztof Gawlik, Andrzej Żurek, Janek Hnatowicz, Ania Treter, śpiewała Chariklia Motsiou. Pod koniec działania Kabaretu doszedł do zespołu muzycznego Andrzej Sikorowski.

Janek Hnatowicz miał później zespół z Wojtkiem Belonem, "Wolna Grupa Bukowina". Wojtek dochodził do nas na wódkę i w odwiedzinach do Chariklii. On szybko zmarł. Przez wódkę.

Dużo kolegów z zootechniki wyjechało po studiach za granicę, ale raczej sympatyków Kabaretu, nie aktorów. Kiedy zacząłem jeździć na *tournée*, wielu spotykałem, na przykład w Ameryce, Australii. Jan Tadeusz Stanisławski, z którym jeździłem na występy, po kolejnym spotkaniu przeze mnie koledze powiedział, że zootechnicy są jak Żydzi. Wszędzie. Jak się tak wnikliwie studiowało jak ja, to się miało wielu kolegów, parę roczników. I do tego parę pokoleń profesorów wykształciłem.

Z Grzegorzem Reklińskim występowałem jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, w ramach Kabaretu Bohdana Smolenia.

Ile było programów Kabaretu "Pod Budą"?

Z pięć³ chyba? Pamiętam takie tytuły: *W Powroźniku bez zmian*, *Urząd Rejestracji*

Snów, Cześć, Sławek, a za co cię... i Uważaj, Sławek, uważaj... Tyle ruchu, a tu stop, czyli Sensacyja w Dojkach Wielkich napisała moja mama.

Tu mam tekst piosenki twojej mamy:

Strażacy

Słowa: Elżbieta Smoleń, muzyka Zbigniew Karwala, wykonanie Stanisław Daszkiewicz i Bohdan Smoleń.

Czy jest powódź, czy się pali, Czy ktoś kogoś w mordę wali, W dzień, czy też o nocnej porze, Każdy na nas liczyć może. Bo gdy we wsi taka straż, to spokojnie można spać. A hymn Kabaretu też był autorstwa mojej mamy, byłoby dobrze, żeby teraz o tym nie zapominać.

Jeżeliś w nauce nie taki znów lew! z trudem odróżniasz ziarenka od plew, I choć cię na wiosnę zdradzają dziewczęta, Nie smuć się, bo... Pod „Budą”, pod „Budą” Komisja do walki z nudą, Co działa, kiedy nie śpi, Kabaret otwiera dziś. Głównie dla Kabaretu teksty pisał Heniek Cyganik. To był bardzo zdolny człowiek! Pisał teksty do Kabaretu i przemówienia dla Pierwszego Sekretarza w Krakowie.

Jeździliście na różne konkursy, festiwale.

*W 1974 roku na Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studenckich dostaliśmy pierwszą nagrodę dla całego Kabaretu, w następnym roku ja dostałem za *Balladę dekadencją* Henia Cyganika i Janka Hnatowicza:*

Życie dlaczego mnie chłoszczesz, na odlew lewicą w pysk? Wiesz przecież, nie jesteś najprostsze. Jak kamień trudno Cię zgryźć. Odwracasz ode mnie swój ogon, gdy wypić cię pragnę do dna. Pędzę cię niczym samogon lub kierdle baranów do hal. Idę ja sobie przez świat, nikomu wadzące chłopię, Tu uszczknę ziółko, tam zerwę kwiat, lecz muszkom krzywdy nie zrobię. Wtem czuję, ktoś mnie kopie w to miejsce nieprzyzwoite. Odwracam się: O Boże! To ty... niestety życie... Życie dlaczego mnie chłoszczesz, na odlew prawicą w pysk? Wiesz przecież, nie jesteś najprostsze. Jak kamień trudno cię zgryźć. Kłamiesz, że stopa mi rośnie, że chleba mam więcej i szans. Po cichu to ty mnie lupisz i złościsz. Podcinasz mi skrzydła. I krtan Tyż mi podcinasz... ty świnió... Była też nagroda za inną piosenkę Cyganika i Hnatowicza:

Nie jesteśmy biedni, nie jesteśmy głodni, łatwo nam się idzie przez pejzaż radosny.

Ogrzewamy sercem powiew zimy chłodny, byle zawsze naprzód i zawsze do wiosny.

Tyle, że myśmy to śpiewali ubrani w lachmany, jako grupa z jakiegoś PGR-u. To robiło duże wrażenie.

Nagród było sporo. I dla całego Kabaretu, i indywidualnych. Wygrywaliśmy na przeglądach, na festiwalach studenckich, turystycznych. Ja dwa razy za piosenkę dostałem

pierwszą nagrodę. Wygraliśmy FAM-ę w 1972 roku, dostawaliśmy odznaki, wyróżnienia. Pamiętam, że kiedyś wygrałem "wczasy w siodle". Był na uczelni jakiś konkurs recytatorski czy piosenki. I za pierwsze miejsce mogłem pojechać na obóz jeździecki do Braniewa. W Polsce była wtedy taka polityka, że konie zimnokrwiste hodowane były tylko na północy. Jeździłem konno na tym obozie. Na pięknych fiordingach. Mój koń miał na imię Dekameron. Później dostałem wiadomość: "Idź do sklepu mięsnego, to pewnie znajdziesz tam kielbasę z Dekamera". Fajny koń to był, nikt nie chciał na nim jeździć, tylko ja.

No w końcu po to wybrałeś taki kierunek studiów, żeby mieć kontakt ze zwierzętami.

Mieliśmy na przykład praktyki zawodowe. Najdłuższa praktyka była w PGR-ze Domecko koło Opola. Pół roku. Nic nie było do roboty, tylko pić piwo i gorzałę wieczorem. A rano o piątej można było iść do byczków - bukatów, przypilnować, żeby pracownik nie kradł dla swoich świń paszy, żeby dał coś bykom. Bo one jednak musiały też jeść, chociaż trochę. Moją pracę magisterską pisałem ze sztucznego zapładniania zwierząt futerkowych. Udzielałem się też w schronisku dla bezdomnych zwierząt, ale mnie tam nie polubili, bo zaproponowałem, żeby psy i suki trzymać osobno. I - naprawdę! - panie z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami stwierdziły, że to nieludzkie podejście do zwierząt.

A jaki był wpływ waszego kierunku studiów na Kabaret?

Tematy hodowlano-rolnicze pojawiały się ciągle. Był taki numer - *Obrona pracy doktorskiej „Obora dwutysiąclecia”*. Robiliśmy to z Reklińskim albo ze Sroką. Na zmianę. Przygotowaliśmy to na Złaz Zootechnika w Lanckoronie. Przedstawiałem wszystkie największe osiągnięcia myśli zootechnicznej. Grzesiek Rekliński był moim asystentem, pokazywał na rysunkach, co jest co. Pojechaliśmy z tym numerem na Halę Gąsienicową do "Betlejemki", z Grześkiem zjechaliśmy ze zbrocza Kasprowego na worku foliowym. Grzesiek ważył z dziewięćdziesiąt kilo. Zapieprzaliśmy tak, że GOPR-owcy chcieli nas zabić później. Ja z walizką pod pachą, bo tam miałem wszystkie dane do pracy doktorskiej.

Gaździna ze schroniska się na nas strasznie gniewała, bo nabiliśmy na drzwiach od toalety wycięty z miedzi piękny napis "SROC". Pokazywaliśmy tam tę *Obronę pracy doktorskiej*, dużo ludzi przyjechało to oglądać.

Kiedy występowaliśmy gdzieś poza "Budą", to na koncerty jeździliśmy z takim chłopakiem, Krzyśkiem Sajdakiem. Woził nas swoją warszawą na koncerty. A warszawa miała imię Karola.

Były też pieśni niewinne, niezaangażowane. Czyli miłosne. Oto piosenka Sanie, którą śpiewał Aleksy Gałka:

Co z tego, że ja kocham Cię, Gdy ty we mnie nie kochasz się.

Przecucie złe, uwiędły kwiat, Który niesłem ci w dłoni.

Cały świat wraz ze mną roni łzy.

Gorzki smak zawitał w ust mych jamie...

Pięknie śpiewał ballady, takim wschodnim głosem. Tak ciągnął te szczypatielnyje pieśni. Znał doskonale rosyjski, pochodził z okolic Białowieży. Z miejscowości Orla, nad rzeką Orlą - podobno jest tam przepięknie. Jeszcze nie zdążyłem tam dojechać.

Każdy tekst, każdy materiał musiał być cenzurowany. W twoich zbiorach znalazłam teksty piosenek z 1975. To są piosenki, które miały być wykonane przez Kabaret "Pod Budą" na XII Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studenckich.

Zawsze, przed każdym wykonaniem trzeba było napisać do cenzury pismo z prośbą o dopuszczenie tekstów. Ta sama piosenka mogła być puszczona w Kabarecie, ale na Festiwalu już nie. Cenzor się nie zgodził i koniec.

Skreślone są Ballada o dwóch Polakach i Ballada o wolności. A później dopisek: "zwolnione za zgodą dyr. Leśniaka".

Dwóch Polaków szło drogą,

i obaj krzyżową.

Obaj bardzo cierpieli,

obaj chcieli - musieli.

Jeden krzyczał: „Do broni!”,

krew przelewał Kordiana,

a od broni był stronił

drugi Polak co z chama...

Bo wszystko mamy zaplanowane,

poza tym jednym wspólnym zdaniem.

Bo wszyscy mamy kierunek jeden, tylko że tylko każdy dla siebie. Leśniak to był dyrektor cenzury w Krakowie, Stasiu Leśniak. A kto to cenzurował najpierw? Jerzy Kastura?

Nie wiem, to jest tak niewyraźnie napisane, że nie dam rady odczytać. Ty śpiewałaś Romans i Balladę o wielkim żarciu. Ale w tym Wielkim żarciu jest ingerencja cenzorska.

Wszystko przyjmę i pożrę, przetrawię. A gdy sobie odpocznę już ciut, To tę drugą ojczyznę postawię. Jeśli zdążę - bo czuję, że już... Wychodził zespół "Pod Budą" - sześciu muzyków. Łapali gitary i nie grali ani jednej nutki. A ja śpiewałem tę piosenkę, przyszywając sobie guzik do rozporka. Przez całą piosenkę. I kończyło się tak, że urywam nitkę, odgryzam ją i przy tej "drugiej ojczyźnie" chce mi się rzygać. Łapię się za twarz.

To były czasy gierkowskie, budowanie drugiej ojczyzny. No i cenzor skreślił

słowo "ojczyzna".

Kiedy odbierałem pierwszą nagrodę za tę piosenkę na Festiwalu Piosenki Studenckiej, wręczał mi ją profesor Bardini. Powiedział: "Tylko błagam, nie śpiewaj". Więc pytam: Ale tak, jak tę piosenkę zrobiłem, jest dobrze?" "Tylko robić piosenki, nie śpiewać!" Bo może myślał, że mi po tej nagrodzie szajba odbije i zacznę być piosenkarzem.

A dlaczego akurat te dwie piosenki były najpierw skreślone?

Nie wiem, taki "trynd" był. Wszystko się cenzorowi kojarzyło i tylko on wiedział co i dlaczego.

W końcu jednak dyrektor Leśniak zwolnił te piosenki z więzienia.

Straszną ilość gorzały wypilem z tym panem Leśniakiem. On był w takim wieku, że mógłby być moim tatą, ale gorzałę lubił. Puszczając piosenkę i mówił: "A niech się odpierdolą, i tak idę na emeryturę".

Kolejne papiery z tamtych czasów. Kabaret "Pod Budą" - program Uważaj, Sławek, uważaj... opatrzony klauzulą Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk: „program może być wykonywany wyłącznie w lokalu Kabaretu”. Dlaczego???

Nie wolno nam było wyjeżdżać. Nie, bo nie. Bo byśmy ten smród rozwozili po całej Polsce.

Jeszcze à propos kariery piosenkarza, to miałeś też przebój o drobiu?

Taaaak... Piosenka *Kaczorek*. To był pierwszy mój utwór, którym wygrałem konkurs "Mikrofon dla wszystkich" w Nowej Hucie, w hali "Garaży". To była taka hala, gdzie odbywały się pierwsze koncerty bigbitowe, różne konkursy dla piosenkarzy, zespołów.

Piosenka powstała tak: kupiłem "Świerszczyk", taką gazetkę dla dzieci, i w nim był wierszyk o kaczorku. Edward Pałasz zrobił aranżację do tego. Śpiewałem to w cis. No i się okazało, że dzieci to mogą robić, a ja nie. Bo szkalowałem wojsko. Mogłem to śpiewać w Kabarecie "Pod Budą", ale na wyjeździe już nie. Cenzura nie pozwoliła. Wojsko było święte. Wtedy wyleciał dyrektor "Płomyczka", bo zamieścił zdanie: "wojsko z koszar wyszło i pozostał tylko smród".

Fryzowany ogon, błyska modre piórko, Szeregowiec Kaczor idzie przez podwórko. Sze-, sze-, szeregowiec, Ka-, ka-, kaczorkowiec Na manewry idzie, hen. Gęste tataraki szturmował wytrwale, Przegnał żaby z błota i został kapralem. Kwa, kwa, kaczki kwaczą, Ka-, ka-, kapral Kaczor Przegnał żaby z błota, hen. [...] Kto kurniczka strzeże? Kaczorka żołnierze. Żaden z nich nie boi się. Ja tę piosenkę zawsze śpiewałem w najdziwniejszych miejscach. Dostałem opieprz od dyrektora filharmonii w Kielcach, bo sobie wymyśliłem, że wejdę na fortepian koncertowy - bodaj Bechsteina - wypolerowany strasznie, a ja w butach, z piaskiem...

Co tam cenzura PRL-owska! Teraz, gdybyś chciał zaśpiewać Kaczorka, to mogłoby się skończyć sądem za obrazę... Na wszelki wypadek proponuję zachować tekst Kaczorka ze skreśleniami cenzora i z jego podpisem...

Piosenki i teksty w Kabarecie powstawały z różnych inspiracji i potrzeb. Na przykład piosenka Nowakowski...

Dziewczyna, która to śpiewała, miała kłopoty z chemią organiczną. No i zrobiła taką piosenkę dla tego profesora od chemii. Zaprosiła go do Kabaretu i zaśpiewała dla niego. To był wtedy chyba najmłodszy profesor w Polsce. Profesor Leszek Czuchajowski.

Na jednym zdjęciu stoisz z jakimś przyrządem zrobionym z maszynki do mięsa...

Aaa... To polowałem na kurdle przy pomocy odkurzacza. Kurdle to takie małe stwory uprzykrzające ludziom życie. Ja je skutecznie wylapywałem tą maszynką. To wzięliśmy od Lema, z *Dzienników gwiazdowych*.

Wśród tych zachowanych przez czterdzieści lat papierów z czasów krakowskich jest ciekawa korespondencja między tobą a obywatelem Wiesławem Basłakiem.

No było takie coś, było. Myśmy w Kabarecie siedzieli dzień i noc. Zwłaszcza noc. Próby, rozmowy, występy. A obywatel Basłak był kierownikiem akademika. Najpierw był taki fajny kierownik, przyjazny, a później zastąpił go Basłak. On nas szczerze nie cierpiał. A my jego. O wszystko były pretensje: o klucze, że giną czy znikają; o butelki, że potłuczone; o sprzętaczkę, że nie będą w klubie sprzętać; o to, że ktoś płci żeńskiej wychodził z klubu po zamknięciu akademika... Zawsze coś do nas miał. Lubił zaprosić funkcjonariusza MO na spotkanie z nami nawet. I wszystkie te dyskusje odbywały się na piśmie. W ramach tej korespondencji z panem Basłakiem podprowadziliśmy mu kiedyś jego osobistą pieczęć. Podpieczętowaliśmy kartki *in blanco*. I później pisaliśmy: "Stwierdzam, że obywatel Wiesław Basłak jest głupi. Podpisano kierownik Wiesław Basłak".

Takie żarty młodzieńcze.

Kabaret "Pod Budą" zagrał jeszcze raz w 2003 roku, z okazji pięćdziesięciolecia Akademii Rolniczej w Krakowie.

Spotkaliśmy się wszyscy: Andrzej Pawłowski, Alek Gałka, Staszek Daszkiewicz, Zbyszek Karwala, Marta Piątkowska (dawniej Stanek), Grzegorz Rekliński, Małgorzata Bugaj, Marek Myśliński, Andrzej Karwala.

Miałem tam taki mój stary monolog o owczarstwie wielkostatnym. Fragmenty podręcznika profesora Stanisława Jełowickiego. On dwa razy ratował polskie owczarstwo - po pierwszej wojnie światowej i po drugiej. No i czytałem, jak ma być zbudowany tryk, owca - i dla ludzi to było śmieszne. To były takie erotyczne aluzje...

Teraz o Kabarecie już nikt nie pamięta, wszyscy myślą, że "Pod Budą" to zespół muzyczny. Może warto przypomnieć, że zespołu "Pod Budą" nie stworzył Andrzej Sikorowski - on ten zespół dostał w spadku, po Kabarecie. I dobrze o ten spadek zadbał.

[Z rozmowy przeprowadzonej we wrześniu] Ale wiesz, że w 2010 roku, w maju, nastąpiło ponowne otwarcie Klubu "Pod Budą"?

No wiem, bo zostałem zaproszony. Ale jak mam jechać taki kawał na jeden wieczór? Przecież wtedy miałem już rozrusznik. A że oprócz mnie jeszcze dwóch kolegów ma rozruszniki, to proponowałem, żebyśmy nie mówili do siebie: "Cześć, kolego", tylko: "Cześć, chuju na baterie..."

Na stronie internetowej Stowarzyszenia Wychowanków Uniwersyteckich Studiów Rolniczych o tobie cichutko...

Nie wiem dlaczego. Pewnie wspomnienie pośmiertne zamieszczą duże...

[Koniec dopisku]

W połowie lat siedemdziesiątych z artysty studenckiego przedzierzgnąłeś się w aktora estradowego.

To przejście do zawodowstwa zawdzięczam Marianowi Załuckiemu. To był fantastyczny satyryk. Estrada Lubelska organizowała takie objazdowe imprezy. Pewnego razu nie mógł jechać w trasę, bo wybierał się na występy do Stanów Zjednoczonych. No i wskazał mnie na swoje miejsce. Grałem tam za niego swoje monologi, kilka jego tekstów. Jeździliśmy z programem, który miał dwa tytuły, w zależności od sezonu: *Kolory, kolory* albo *Kolory jesieni*. Taka typowa składanka. Piosenka, skecz, piosenka. Jechałem raz w miesiącu do Lublina i w drogę. Przez tydzień wszystkie miejscowości, gdzie był dom kultury, odwiedzaliśmy. Zajeżdżał wesoły autobus Estrady Lubelskiej. Kierownikami tam byli Jadzia Uściłowska i Wojciech Patuszkiewicz. Spodobałem się i zostałem w tym programie na dłużej.

I dbaliście o rozrywkę i uśmiech ludu pracującego miast i wsi?

Tak. Występowali wszyscy, z całej Polski. Był Paulos Raptis, Grek z pochodzenia - śpiewak operowy, tenor, niezwykle popularny wtedy.

Był wzrostu nikczemnego, niższy nawet ode mnie, ale za to chodził na koturnach. Występowała też Żenia Patuszyńska - parodystka, robiła monologi, i Włodzimierz Patuszyński, który wierszem odpowiadał na pytania publiczności. Kiedyś padło pytanie: "Dlaczego orzeł nie ma korony?". Odpowiedział:

Dlaczego orzeł nie ma korony? Rzecz to tyńfa warta. Nie ma korony - ponieważ nie miał zegarka... To pewnie warto wyjaśnić, że zegarki były ulubionym łupem wojennym żołnierzy Armii Czerwonej, którzy - wyzwalając kolejne miasta i wsie w latach 1944-45 - brali

na pamiątkę miłego spotkania z Polakami "czasu", czyli zegarki, w każdej ilości. Brali też inne rzeczy, w tym cnotę i cześć - ale to już inny temat. Tak więc godło Polski po roku 1945 utraciło koronę, bo nie mogło się wykpić zegarkiem.

Był też Alojzy Potempa, który miał jakiś prototyp GPS-a wmontowany w głowie. Wszędzie i zawsze znalazł knajpę. On miał problem z alkoholem. Przemyczał go nawet pod pianką do golenia. Miał taki harcerski bidon na herbatę, w pokrywce była pianka do golenia, a pod spodem gorzała - taki zestaw. Mógł się ogolić i spłukać.

Występował z nami na przykład Kazimierz Grześkowiak:

Hej, kąkolą się kąkole. Hej, porosło pole chabrem. Hej, na skóskę poprzez pole, Hej, idziewa se ze szwagrem. Śpiewał Emil Karewicz, słynny Brunner z *Klossa*. Kiedyś się niegodnie zachowałem, bo powiedziałem mu: Już wiem, czemu pan ma brawa na wejście, a ja na zejście! Bo mamy garnitury z takiego samego materiału poszyte i ludzie nas se myślą. Mieliśmy takie jasnoniebieskie garniturki. W zespole był jeszcze Jasiu Gałązka - ten aktor, który grał dozorcę Walendziaka w *Czterdziestolatku*. On się udzielał estradowo.

Występowała Stenia Kozłowska: "Daj, daj, daj, nie odmawiaj daj, to, co masz najlepszego, daj...". Wchodziłem na scenę boso, żując czosnek i akompaniowałem Steni Kozłowskiej w jednej piosence. Grałem na skrzypcach złamanym smyczkiem.

Śpiewały też Violetta Villas i Zofia Borca. Zofia śpiewała chórki u Niemena na płycie *Enigmatic* razem z Krystyną Prońko. To były naprawdę zdolne piosenkarki i wszyscy z tymi *Kolorami* jeździliśmy.

Poznałem życie sceniczne z dużo starszymi partnerami. Widziałem historię przedwojennych kabaretowców. Tych ludzi, którzy musieli na stare lata - niestety - szwendać się w wozach taborowych. I byli ciągnięci przez Estradę. Każdy im mógł powiedzieć: masz 15 minut i schodzisz ze sceny. Ale cieszyli się tym, że jeszcze coś robią. To były stare aktorki rewiiowe, aktorzy - naprawdę czasami znakomici! Na tych objazdach z coraz większym trudem wygłaszali monologi, śpiewali. Chcieli sobie powystępować jeszcze.

Takie miejsca, gdzie można było pracować, to właśnie te imprezy na wsiach, w jakichś zakładach pracy, w domach kultury. Były też audycje w radio: *Podwieczorek przy mikrofonie* albo projekt *Wesoły autobus*. Ja w tym nie brałem udziału.

Srocza na płocie, aha? aha! Wyjrzyjże no ociec, aha? aha! Co to pędzi drogą, aż popatrzeć strach. Wesoły autobus gna po kocich łbach. Dużo było takich kulturalnych imprez dla narodu.

Poznałeś znakomitych tekściarzy, aktorów. Któryś stał się dla ciebie wzorem?

Każdy ma swojego idola. Znamy się z tymi ludźmi ze sceny. Z Kazimierzem

Rudzkim, Edwardem Dziewońskim, Wiesławem Michnikowskim. Na różnych etapach różni ludzie mi się podobali. Ale od początku moim idolem był Marian Załucki. Nawet się z nim zaprzyjaźniłem. Później, już za teyowskich czasów, byliśmy dwukrotnie razem w Ameryce. Nosilem mu walizki. A Zenek Laskowik pani Irencie Kwiatkowskiej. W październiku 1978 po jakimś koncercie ktoś z Polonii zaprosił mnie i Zenka na wódkę - do baru naprzeciw naszego hotelu, bo tam było taniej. W tej knajpie nie wolno było podawać wódki w butelkach. Więc mieliśmy na stole tyle kieliszków, ile pionków na szachownicy.

W tym barze był telewizor. No i nagle w wiadomościach informacja: "Papieżem został Polak, Karol Woźdyla". Szok wielki. A Marian Załucki nie poszedł z nami do baru, został w hotelu. Wróciliśmy do pokoju, dzwonię do Mariana w środku nocy: Polak papieżem! On najpierw nie wierzył, wkurzył się, że go budzę, ale mówi: "Jak to będzie prawda, to stawiam wam po setce!". No i musiał postawić, chociaż w hotelowym barze było bardzo drogo. Tak to oszczędny warszawiak postawił oszczędnemu poznaniakowi i krakusowi wódkę.

Dla mnie najpiękniejszy był utwór, który Marian napisał po którymś powrocie z Ameryki, *Urząd celny*:

*Zagłądali do toreb,
zagłądali do waliz,
do dupy mi nie zajrzeli -
a tam miałem socjalizm.* Pewnego razu wykonał go w *Podwieczorku przy mikrofonie* na żywo. I na długo przestał pracować. To mnie nauczyło, że warto się poświęcić, nawet dla jednego żartu.

Ostatni raz widzieliśmy się w Teatrze "Buffo" w Warszawie. Był na występie "Teya". Mówił, że gdyby miał jeszcze raz jechać do Stanów pod opieką moją i Zenka, to bardzo chętnie, w każdej chwili. No a po kilku dniach dowiedziałem się, że zmarł.

Na tych objazdach z Estradą Lubelską poznałem Piotra Sowińskiego. On był z Poznania. Występował w "Teyu" na samym początku. Wtedy "Tey" składał się z dwóch doskonałych amatorów, czyli Laskowika i Jaślara, i kilku aktorów zawodowych. Sowiński grał w pierwszym programie "Teya", a później pracował w Estradzie Poznańskiej.

W tamtym czasie, między Estradą Lubelską a przejściem do Poznania, miałem jeszcze jeden projekt: *Zapiski Kowiakina* - to był duży monodram opracowany przez kolegę Henia Cyganika. O facecie, którego zastała rewolucja październikowa. I on nie wie, co robić. Cały już na pamięć umiałem, ale nie zrobiłem tego. Lenistwo... Szkoda. To było naprawdę dobre. Gdybym to przedstawił, kto wie, co by z tego wyszło.

Najmniejsze państwo świata

W pamięci kolegów z Wyższej Szkoły Rolniczej, rodziny i znajomych Tereska pozostaje jako zjawisko niepowtarzalne. A związek Bohdana i Tereski - jako przeznaczenie. Rozumieli się bez słów, wyczuwali na odległość. Gdyby nie byli małżeństwem, mogliby być rodzeństwem. Zgranym, solidarnym, oddanym.

Kochającym się.

Jaka była? Mówili na nią "matka", zanim jeszcze urodziła swoich synów. Po próbie w Kabarecie przygotowywała kolację dla wszystkich, martwiła się, opiekowała wszystkimi, matkowała.

We wczesnych latach siedemdziesiątych w WSR zajęcia z przysposobienia wojskowego prowadzone były osobno dla chłopaków, osobno dla dziewczyn. Wykładowcą był major Lewkiewicz, silnie zaciągający Zabuzanin. Sam nie był zbyt wysoki, więc raczył studentów anegdotką: "Wiedzą, jak nazywa się najmniejsze państwo świata, a? Państwo Lewkiewiczowie!".

Aż do czasu, kiedy na zajęcia dla dziewczyn, nazwane przez studentów panienkami, zaczęła przychodzić Tereska z odprowadzającym ją Bohdanem. Wtedy oddał im palmę pierwszeństwa. Najmniejszym państwem świata obwołani zostali państwo Smoleniowie.

Kiedy Smoleniowie wyprowadzili się z akademika tam, gdzie kończyła się mapa, czyli na Osiedle Piastów, wizyty koleżeńskie nie były już tak intensywne. Bohdan zaczął jeździć do Lublina, Teresa zostawała częściej sama z dziećmi. Grzegorz Rekliński zapamiętał dziwną przygodę. Może umknęłaby mu, gdyby nie to, co stało się trzynastu lat później. Teraz ta niezbyt może ważna historia urosła do jakiejś dziwnej, symbolicznej. Wciąż tkwiącej w pamięci.

Kupował pralkę od kogoś z Mistrzejowic, więc po sąsiedzku z Tereską i Bohdanem. Oczywiście wpadł pogadać. Pora była już późnawa, okolice dobranocki. Teresa była sama z dziećmi. Ucieszyła się bardzo z wizyty, szybko wsadziła dzieci do wanny i pobiegła przygotować herbatę. Wróciła, weszła do łazienki i krzyknęła rozdzierająco. Grzegorz wpadł za nią i zastygł. Dwójka uśmiechniętych jasnowłosych, pucułowatych chłopców siedziała w czerwonej wodzie. Natychmiast wyciągnęli dzieci i zaczęli szukać dramatycznych obrażeń ciała. Okazało się, że do wanny wpadła maszynka do golenia i jeden z maluchów naciął sobie opuszek dużego paluszka u stopy. Nie bolało go to, nie płakał, ale krew powoli zabarwiała ciepłą wodę. Wydarzenie jak wydarzenie. Jednak obraz krwawej kąpieli i przerażonej Tereski

tulącej chłopców wrócił do Grzegorza Reklińskiego, gdy dotarli do niego wieści z Poznania w 1989 roku.

Ciekawe, jak zaczęła się taka wielka miłość?

Przyszła pewnego razu do klubu Tereska. Jako studentka zootechniki, na jakąś imprezę. Zobaczyłem ją od razu. Pomyślałem: "Oo! Jest ktoś mniejszy ode mnie w Szkole".

No i patrzysz, patrzysz...

I to ona!

Podszedłeś do niej?

No oczywiście! Musiałem się zmierzyć, czy jest na pewno mniejsza. I już była moja. Już jej nie opuściłem, aż do końca. Najpierw jak zwykle powiedziałem mamie, że jest Tereska. "No to przywieź ją!". No i przywiozłem Terenię. Czekali na nas. Patrzyli przez okno, jak wchodzimy przez bramę. Ilonka ucieszyła się, że Terenia jest taka sama malutka jak ona. Do dzisiaj ją tak pamięta, że była śliczna, dobra. Taka dziewczyneczka.

Wasz ślub odbył się w Bielsku. Tak opowiada o nim twoja kuzynka, Basia:

„Wesele Bohdana i Tereski zostało wymyślone i wyprodukowane przez mamę Bohdana - Lale.

Ślub był w Urzędzie Stanu w Bielsku-Białej w styczniu. Po ślubie odbyło się przyjęcie w domu, w pokoju kominkowym. Występował Kabaret "Pod Budą", teksty napisała Lala. Alek Gałka był zachwycony ciocią. Uważał ją za znakomitą tekściarkę. Później - ciasta, ciasteczka i przy kominku każdy z gości musiał coś przedstawić. Czytano wiersze, opowiadano kawały, odgrywano scenki, grano na pianinie. O północy kulig z pochodniami na Straconkę. Ze śpiewami i pokrzykiwaniami. Na Straconce ognisko i bigos. Bohdan i Tereska zakopali w śniegu przysięgę małżeńską, pisaną pismem węzełkowym. Kiedy wróciliśmy, sanie zajeżdżały do domu, a tu ogród cały - w roku 1970!!! - oświetlony różnokolorowymi żarówkami. Po weselu wszyscy spali pokotem w domu. Dnia następnego poprawiny. Lala siedziała albo na wózku, albo na swoim tapczanie, a wokół niej koncentrowało się życie. Bohdan miał niesamowite szczęście, że znalazł Tereskę. Ona była taka słodka, delikatna, miła...".

Wasze czasy narzeczeńskie to Kabaret, studia?

Tereska była zawsze na przedstawieniach. A ze studiami było tak, że z czasem byłem na tym samym roku, co Terenia. I nawet szliśmy razem na egzaminy. Profesorem Katedry Hodowli Koni był Erazm Brzeski. Myśmy go nazywali Orgazm Brzeski. I w czasie egzaminu chciał mi udowodnić, że ja nie wiem nic na temat koni. Chociaż konie to była moja pasja. Profesor dał mi starą, powyginaną podkowę i kazał powiedzieć, na jaką chorobę umarł ten

koń, który ją nosił. No i powiedziałem. To zapytał, z której nogi to podkowa, z lewej czy prawej. I powiedział, że nigdy nie zgadnę. I miał rację, bo jakbym powiedział, że z lewej, to on by odpowiedział, że z prawej, i odwrotnie. Dał mi czwórkę, chociaż wiedziałem, że umiem na piątkę. Zrewanżowałem mu się: Wczoraj w księgarni widziałem, że pana książkę przecenili o połowę.

Na początku zamieszkaliście w akademiku?

Tak, mieszkało się tam fajnie. Pieluchy zalegały w zlewach, koleżanki pomagały prac. Byliśmy jedyną rodziną mieszkającą w akademiku.

Po blisko dziesięciu latach twojego studiowania rektor był tak zdesperowany, że nie zawahał się przekupić cię, żebyś raczył zakończyć edukację zootechniczną.

No tak... rektor Tateusz Wojtaszek obiecał, że jak skończę studia, to da nam przydział na mieszkanie. To była kusząca propozycja. I się zgodziłem. Łaskawie. Dostaliśmy trzy pokoje - pięćdziesiąt dwa metry w Mistrzejowicach na Osiedlu Piastów.

To była wieś przyłączona razem z Nową Hutą do Krakowa w latach pięćdziesiątych. Od "Budy" daleeeeko.

Meble sam wymyśliłem, zaprojektowałem i zrobiłem. Z płyty wiórowej. Szpachlowałem i malowałem. Stół i taki narożnik do siedzenia. Na to były uszyte pokrowce, tak że jak ktoś został po imprezie, to mógł na ten niby tapczan paść. Mieściły się na tym ciała. Dwa. Wszystko, co wtedy zarabiałem w Estradzie Lubelskiej, przywoziłem do domu. A to były sensowne pieniądze. Mogłem dłuugo studiować, w niczym mi studia nie przeszkadzały. Wiedziałem za to, czym grozi to, że je skończę. Miałem przydział do PGR-u nad NRD-owską granicą. I tam miałem być kierownikiem hodowlanym. Ale uczelnia spłaciła mój dług. I nie musiałem jechać odpracowywać studiów w PGR-ze. Rektor mnie lubił. Mogliśmy zacząć życie niestudenckie.

Wtedy w Krakowie byłeś chyba najbliżej swojej rodziny?

No tak, po przeprowadzce, w Poznaniu był hotel na początku. Estrada wynajmowała. I to było pięć razy drożej, niżby wynajęli mi mieszkanie, do którego mógłbym sprowadzić rodzinę. Ale podobno były takie przepisy, że nie wolno wynajmować mieszkania. Więc prawie rok mieszkałem sam. A później już była ciągle praca, Kabaret, wyjazdy.

Ile lat byliście małżeństwem?

Od dojścia Gierka do władzy do 1990. Dwadzieścia.

I cały czas Teresa była taka dziewczęca?

Zawsze. Miała przewagę kobiecości nad wadami. A wad nie miała wcale. Tak uważam.

Drobniutka blondynka, maleńka i delikatna. Ale nazwisko miała poważne.

Tereska Tyran. To była najlepsza konspiracja - delikatna dziewczynka o takim pseudonimie.

Jak ona wytrzymywała z tobą?

Gdyby to jej nie przyszło do głowy, to byśmy żyli razem do dziś.

Myślę, że w ogóle inaczej by się twoje życie potoczyło, byłbyś teraz innym człowiekiem.

Na pewno. Była dobrą muzą. Nasze wspólne życie rozpoczęliśmy od zera. Dzięki kabaretowi, dzięki mojej pracy dorobiliśmy się sklepu, domu. Teresa prowadziła sklep, a ja cały czas równolegle pracowałem. Jej rodzice na początku nie wierzyli, że mogę utrzymać dom z kabaretu. Oni byli z Małopolski, uważali, że kabaret to rozpusta, a nie zawód. A później żyliśmy z teściami w wielkiej przyjaźni. Podziwiałem teścia. Na przykład jak jechał na wycieczkę - na grzybobranie - to pierwsze, co robił, to szukał punktu skupu grzybów. Bo wiedział, czym się to zbieranie kończy. I wracał do domu w takim samym stanie jak koledzy, z tym że on miał wiadro grzybów, a oni nic nie mieli, prócz kaca na drugi dzień. Był bardzo praktyczny.

Pamiętam go, jak grał na trąbce i straszył psy. Później, jak już mogliśmy sobie pozwolić, podarowaliśmy im pralkę automatyczną. Teściowi tak się podobała, że chodził do sracza pić piwo i oglądać, jak się pranie kręci. I mało mu się głowa nie ukręciła, tak je pilnie śledził.

To był wspaniały introligator. Nigdy się do polityki nie mieszał. Tylko kiedyś na 1 Maja, jeszcze przed ich ślubem, jak była majówka i Pierwszy Sekretarz zatańczył z moją przyszłą teściową, to teścia to jakoś specjalnie ubodło i dał Sekretarzowi w dziób. Za to został zwolniony z pracy. A później przy każdych wyborach był traktowany jako wróg ustroju. Ale jak się strajki sierpniowe zaczęły w Polsce, to się któregoś dnia tak zdenerwował, że znalazł jakiś styropian u sąsiada, wziął i poszedł do zakładów chemicznych strajkować.

A Teresa miała jakieś uzdolnienia artystyczne?

Nieeee, jak śpiewała dzieciom, to krzyczały: "Mama, nie śpiewaj!!!".

Była bardzo opiekuńcza. Umiała się wszystkim zająć. I mną, i dziećmi. I umiała tę miłość rozdzielić. Wiedziała, że inna jest miłość do męża, inna do dzieci. Nie było tak, że liczyli się tylko synowie albo tylko ja.

A tak się niektórym kobietom zdarza robić.

Na zdjęciach ze ślubu i na późniejszych, już z dziećmi, wygląda, jakby miała szesnaście lat!

Jak była w ciąży i razem stanęliśmy na wadze, to ważyliśmy 90 kilogramów, w trójkę. Ona miała 155 centymetrów, ja byłem dużo wyższy.

Kiedy chłopcy byli mali, to jeździli na mnie i trzymali się grzywy. I tak mi włosy zaczęły wypadać. Maciek urodził się w 1973 roku w Bielsku-Białej, Piotrek w 1974 w Krakowie, a Bartek w Poznaniu w 1978.

Dużo było śmiechu u was w domu?

Staralem się to rozdzielić, żeby nie było kabaretu w domu, a domu w kabarecie, ale śmialiśmy się często.

A jakim byłeś wówczas tatą?

Nierównym. Albo robiliśmy wszystko wspólnie, albo mnie nie było. Jak był wyjazd do Lublina, to przez ten tydzień żona musiała się zajmować synami sama. A jak wracałem, to już było wszystko w porządku, miałem więcej czasu.

Niektóre rzeczy, które robiły dzieci, wykorzystywałem w kabarecie. *A tam, cicho być* to był protest Bartka, który, kiedy mu się zwracało uwagę, to wiedział swoje i mówił: "A tam, cicho być". Kiedyś syn się zapytał mamy: "A mogłem być dzisiaj w parku?". Teresa mówi: "Mogłeś". "To byłem".

Ze starszymi chłopcami, jeszcze za czasów krakowskich, zawsze jeździliśmy do Bielska. Wtedy miałem pierwszy swój samochód pod tytułem trabant. Był kupiony za trzysta tysięcy złotych zarobionych w Estradzie Lubelskiej. Od Pierwszego Sekretarza PZPR z Akademii Rolniczej, docenta doktora Józefa Martyny. Trabant limuzyna. Z granatowymi siedzeniami, na moje zamówienie zrobionymi, bo mi te popielate nie pasowały. I był wyremontowany do-kład-nie. Jeździliśmy z dziećmi do Bielska-

- Białej, do mojej mamy. Tam były fantastyczne klimaty, ona bardzo kochała dzieci. Nie mogła się nimi zajmować fizycznie, to dzieci siadały w nogach łóżka i babcia opowiadała im bajki, czytała książki.

Nasze dzieci nie były podzucane nikomu na dłużej, nawet w Bielsku-

- Białej nie miałyby kto się nimi zająć. Zawsze Teresa się nimi opiekowała.

Nie pokazywałem im tego, co ja robiłem w dzieciństwie, tych zabaw rowerowych, bo to groziło śmiercią lub kalectwem. To, że mnie się udało, że mnie tramwaj nie przejechał w Bielsku-Białej... Rozbijałem rowery o ciężarówki. Takie męskie przygody, ale swoim dzieciom tego nie demonstrowałem.

A kiedy dzieci były u babci, brałeś swoją żonę na romantyczne wycieczki?

Nie, na to nie było czasu. Teresa pochodziła z Oświęcimia, więc albo tam jeździliśmy, albo do Bielska-Białej. Żona nie pracowała zawodowo, po skończonych studiach pracowała

w domu. Chłopcy nie chodzili do przedszkola. Było strasznie trudno się do tej instytucji dostać.

Mieliście psy, koty?

Nie, w akademiku nie można było. A potem z dziećmi było tyle roboty, że to wystarczyło. Ale rybki zawsze były w domu.

A jak rozpieszczaleś swoją żonę? Na Kanary raczej nie mogłeś jej zabrać.

Ale do Bułgarii mogłem. To była wycieczka, którą organizowała uczelnia. No i jechał cały Kabaret, myśmy rodziny dołączyli i pojechaliśmy pociągiem do Złotych Piasków na wakacje. Było fantastycznie! Na wszystko starczało: na owoce, płyny. A dzieci? No, jedno chodziło, a drugie było w brzuchu.

Na Rynku w Krakowie jest taka dobra knajpa - "Balaton" przy Grodzkiej. Jak były pieniądze, zapraszałem Tereskę na placki po węgiersku, znakomite danie, placki ziemniaczane z gulaszem. Jak się dało kelnerowi w łapę, to pilnował, żeby nikt się nie dosiadał. Mogłem z kobitą zjeść kolację spokojnie.

No i na Węgrzech też była ze mną. Bo były wymiany zaprzyjaźnionych uczelni. Akademia Rolnicza z Krakowa i Winna Latorośl z Budapesztu. I było super. Można się było dogadać, tylko trzeba było wyraźnie mówić. Byliśmy na winobranii.

Z racji mojej działalności kulturalno-oświatowej miałem różne zniżki i mogłem rodzinę zabrać.

W Budapeszcie pewnie czuleś się świetnie, bo przecież jesteś po kądzieli Węgrem.

No... Dogadywałem się z nimi. Mówiłem co prawda po polsku, ale za to głośno, wyraźnie i z węgierskim akcentem.

Jak Teresa wytrzymywała te twoje wyjazdy, wyjścia, to, że ciągle musiała być sama?

Myślę, że ona wiedziała, że jest najważniejsza. Ona i dzieci.

A wtedy, kiedy wyjechałeś do Poznania sam, bez nich? Nadal była taka wyrozumiała?

W zawodowym życiu kierowałem się zawsze własnymi wyborami. A ponieważ w Poznaniu miałem etat w Estradzie zapewniony, to żona wiedziała, że finansowo będzie lepiej, więc dlaczego z tego nie skorzystać? Tym bardziej że kiedy pracowałem w Estradzie Lubelskiej, to przecież jeździłem w trasy i nie było mnie w domu. A w Poznaniu miało być tak jak "Pod Budą", kiedy schodziłem z pokoju na dół do Kabaretu, grałem i "do widzenia Państwu, dobranoc", i do domu. A dodatkowo nam się bardzo podobało to, co Zenek robił - był dobrym liderem.

A co się stało z trabantem?

Sprzedalem go. Następny właściciel wyjechał na pierwszą przejażdżkę. Skręcił za

blok, pierdalał go jakiś samochód w dupę i rozleciał się trabant na tysiąc części.

I tak mój pierwszy samochód został pochowany w Krakowie.

Potem długo nie miałem samochodu. W Poznaniu dopiero. Przyszedł któryś z ministrów na program i Zenek wymyślił, jak później minister był przy lodówce, czyli na wódce, w garderobie, że: "Jakby Pan coś mógł dla nas zrobić, bo Boguś będzie miał trzecie dziecko, to malucha powinien mieć...". I dostałem talon na malucha. Maluch był czerwony. A potem sobie dużego fiata kupiłem. Już dzieci rosły, trzeba było więcej zakupów do domu przywozić. To był fiat składany. To też Laskowik przez ministra załatwił. Dwie ciężarówki pojechały do Warszawy i przywiozły dwa samochody, ale w częściach. Tu w Poznaniu żeśmy dwa fiaty składali. Zenek miał swojego i ja swojego. Składał je pan Olszowiec. To były takie auta ekstra. Mieliśmy specjalne silniki, pięciobiegową skrzynię biegów.

Potem Pan Zenek chciał sprzedać swoje auto, najlepiej jakiemuś biednemu kierowcy. Znalazł się chętny, kierowca z pogotowia. Cenę miał taką, jak dla biednego kierowcy. I ten człowiek, który kupił od Zenka fiata, dołożył połowę wartości tego samochodu, bo jeździł od warsztatu do warsztatu i szukał jakieś wady ukrytej, bo nie mógł uwierzyć, że nabył go za takie małe pieniądze. Ja swojego też sprzedałem, później miałem drugiego fiata 125. A pierwsze auto zagraniczne to mercedes. Wiśniowy. Sprowadzony za dewizy przez jakiegoś średnio legalnego pana. Ale samochód miał wszystkie papiery w porządku.

Ciekawe, czy ktoś zbiera zdjęcia swoich aut i ogląda, jaką drogę przeszły. Od trabanta do mercedesa.

Mi się bardzo podobał ten mercedes, bo równolegle do niego ściągnąłem kosiarkę, taką amerykańską, z własnym napędem. Taki traktorek. Miały identyczny lakier. Jak stały koło siebie, ten mercedes i traktorek, to bardzo ładnie wyglądały.

Sprowadziłeś kosiarkę ze Stanów?!

Miałem takiego przyjaciela w Ameryce, który pomógł mi kupić tę kosiarkę. Jak się sprzedawca dowiedział, że kosiarka ma jechać do Polski, a to była zima, to opuścił mi tak cenę, że żałuję, że nie wpadłem na pomysł, żeby dwie kosiarki kupić. Wtedy bym jedną sprzedał i miałbym drugą za darmo.

A co kosileś tym traktorkiem?

To było już w Przeźmierowie. Tam mieliśmy dom i cały hektar ziemi. Na tej kosiarce się moi chłopcy uczyli jeździć. Żeby mi nie zabierali auta, to jeździli kosiarką z przyczepą i zbierali owoce, kosili trawę. Mieliśmy sad, robiłem co roku wino w kadziach.

Rozpędziliśmy się. To będzie dużo później. Najpierw musimy przeprowadzić cię z Krakowa do Poznania.



18. W pierwszym rzędzie Teresa Tyran (później Smoleń), za nią po lewej Swietłana Stein.
Klub "Buda" Wyższej Szkoły Rolniczej.
Kraków, ok. 1970 r.



19. Teresa Tyran i Bohdan Smoleń. Kraków, ok. 1971 r.



20. Teresa i Bohdan Smoleniowie.
Ślub. Bielsko-Biała, 31 stycznia 1970 r.



21. Maciek, Teresa i Bohdan Smoleniowie. Akademik, Kraków, 1973 r.



22. Teresa, Maciek i Bohdan Smoleniowie oraz Heniek Cyganik z żoną Barbarą. Rynek Główny w Krakowie, 1974 r.



23. Teresa i Piotrek Smoleniowie. Bielsko-Biała, 1974 r.



24. Bohdan na koniu Dekameron. Obóz jeździecki w Braniewie, 1972 r.



25. Od lewej: Jacek Sikora, Bohdan Smoleń, Chariklia Motsiou. Kabaret "Pod Budą", XI
Ogólnopolski Festiwal Piosenki i Piosenkarzy Studenckich.
Kraków, 1974 r.



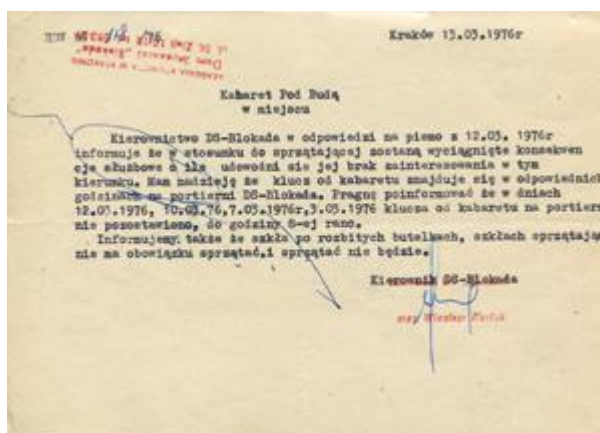
26. Występ Kabaretu "Pod Budą". Lata siedemdziesiąte.



27. Kabaret "Pod Budą" na scenie.



28. Zespół Kabaretu "Pod Budą". Spektakl *W Powroźniku bez zmian*, Kraków, ok. 1971 r.



29. Korespondencja z kierownikiem DS "Blokada", Wiesławem Baśkiakiem. 1976 r.

15118 Kłoboda

Kłoboda, 100/76/Kłob.
15118 Kłoboda

Kłoboda 14 III 1976

Kierownik DS Blokada

W odpowiedzi na pismo z dnia 13-III br. Informuję, że od dnia 15-III br. kluzki od garderoby Kabaretu nie będą pozostawiane na portierni/schodach w celu wydawania tegoż kluzki przez portierów osobom nieupoważnionym. Tym samym reagujemy z usług pani sprzątajacej oddziału garderoby. Kluzki od sali widowiskowej dołączony jest do Kluzki klubowych, w związku z powyższą decyzją proszę o wydanie i wprowadzenie na stół Kabaretu następującego sprzętu:

1. SZCZOTKI drutej na kije
2. KOPANKI do śmieci
3. Śmieci podłogowe- 2szt.
4. Śmieci przedwinda- 1 szt
5. Wiertki wg umowa
6. Pusta podłogowa

Do odbioru upoważniony kol. Jacek Sikora z pok.143

Do wiadomości:

1. Kierownik DS Blokada
2. Przewodniczący RU SZZP
3. n/a

Kierownik Kabaretu „At Rado”
RU SZZP A

Bohdan Jankowiak

30. Korespondencja z kierownikiem DS "Blokada", Wiesławem Baślakiem. 1976 r.

Kraków 13 III 1976

Notatka służbowa z mojej na terenie DS "Blokada"
w dniu 9 III br o godz. 1⁰⁰

Na trzech występach z okazji Dnia Kobiet członkowie
Klubu Pod Sąd zebrałi się w garderobie o godzinie 22⁰⁰
celem umocnienia dnia 8 Marca /w związku są dwie kobiety/.
Spotkanie zakończyło się po godz. 24⁰⁰ jako kierownik zespołu
wychodził ostatni celom zmniejszenia pomieszczeń klubowego.
Przed wyjściem z obiektu ukłonił się do WC. Kiedy wrócił
portier stwierdził, że zabrakło mu klucza od portierni i on
nie może się wejść do niej. Po dość długiej, burzliwej dyskusji
/w obecności kol. Janka Kierwickiego/ po porobionym sprzeczeniu
niektórych członków klubu dalej nie było.
W tym czasie pojawili się Przew. NU SZZP i Przew. Rady Samorządu
DS "Blokada". Przy nich także sprzeczenie kierownika. Kierownik DS
usilnie próbował się gdzieś odzwonić. W tym czasie znalazł się
z kolegą J. Kierwickim do garderoby. Po krótkiej chwili rozległo się
pukanie i ukłonił się w drzwiach kierownik DS w towarzystwie
dwóch funkcjonariuszy MO. Zdumieni wyszli przed portiernią
Od nowa rozpoczęło się spotkanie klubu. Swoją aktywną rolę
na łodzi portierni. Obywatel Kądzioła wziął ją do ręki
i poklepał na fotelu. Przy funkcjonariuszach MO obywatel Kądzioła
wykrzykiwał, cytując "wypuście te dupy z domu". Kol. Kierwicki
zapropozował przejście do pomieszczeń klubowych i sprzeczenie powołania
w obecności funkcjonariuszy i kierownika DS. Na dole po zapaleniu światła
okazało się że nikogo nie ma, co było sprzeczne z rzeczywistością jak
do tej pory sytuacji takich nie było. Członkowie wyszli na górę
Jeden z aktywistów zabrał klucze od portierni i schodził przy nim
po raz pierwszy opróżniał kierownika. Aktywista chciał sprawdzić
zwrotność swojej aktywności. Na miejscu zdziwieniu klubu znajdował się
na swoje wierzchu swojej aktywności. Nie chcąc z kolei ją powołać
portiera o szkodliwe wrzucenie klucza do aktywności, ale pojedynczo się
klubu jest to najmniej ważne... "Ciepła" odwołanie klubu
spowodowało wydanie przez funkcjonariuszy MO następującej decyzji
" Obywatel jest wolny i może opuścić akademik". Podziękowanie i
wzrostem.

Wyraża mi się do organizacja studentów SZZP po to powołała
samorządu domów studentów, rady koleżeńskie które są władze roz-
strzygać

31. Pismo Bohdana Smolenia do kierownika DS "Blokada", Wiesława Basłaka. 1976 r.



32. Pismo Kabaretu "Pod Budą" do Delegatury Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Krakowie z prośbą o pozwolecie na wykonanie wypisanych utworów podczas festiwalu studenckiego. 1975 r.

Rozmowa III

Śnieg topnieje. Mówiło się, że będą powódzie i szlag jasny, a tymczasem w kilka dni, cichcem, gigantyczne ilości śniegu zniknęły zastąpione zagonami błota. Ze spacerów nadal nici - ani się nie przejedzie, ani nie przejedzie. Koniom błoto mlaszcze pod kopytami, ale jakoś dają radę, gorzej z jeźdźcami. Od pośladków po czubek głowy - cali w kropki z błota. W okolicach 21 marca Baranówko przeżyło najazd krasnoludków. Przyjeżdżały autokarami przedszkolaki z Poznania i szukały zajęcia w lesie. Fantazja ułańska. Bohdan w lepszej kondycji, rozmyśla nad nasadzeniami w ogrodzie. Bierze udział w projekcie Krzysztofa Jaślara, Krzysztofa Zanussiego, Tadeusza Bradeckiego i Cezarego Harasimowicza *Fantazja na cztery ręce*. W dużym skrócie: z okazji roku chopinowskiego każdy chce... powspominać wieszczą. Rola niewielka, według Bohdana polega głównie na kasłaniu. Ale jest okazja, żeby

stanąć na scenie. A my w marcu rozbieramy na czynniki pierwsze "Teya". Możemy siedzieć przy otwartych oknach, słuchać sikor wyśpiewujących pieśni godowe, dalekich odgłosów wsi. Powiało optymizmem! I nawet zmasakrowany fragment mysich zwłok przyniesiony przez kota w darze Bohdanowi nie zmąci naszego zapału do pracy.

Skąd wziął się "Tey"?

Odpowiedzi jest pewnie tyle, ilu: twórców, prawie-twórców, tych-któ-rzy-stali-blisko-twórców i tak dalej. Ja poznałam wersje dwie, obie podawane jako prawdziwe.

Odpowiedź pierwsza, czyli prawda ekranu.

Kabaret "Tey" jest kontynuacją studenckiego Kabaretu "Klops", działającego od 1965 roku przy Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego w Poznaniu. W pierwszym składzie występowali: Zenon Laskowik, Olek Gołębiowski, Mirosław Wrzosek, Kazimierz Kujawski i Marta Kon. Po dwóch latach dołączyli: Aleksander Andersohn - fortepian, Roman Koziński - perkusja, Aleksander Kucharski - śpiew i gitara basowa, oraz Krzysztof Jaślar.

Kiedy Krzysiek i Olo Andersohn spędzali pracowicie czas na obozie wojskowym w Międzyrzeczu, pojawiła się potrzeba chwili: trzeba było przygotować specjalny program z okazji 22 Lipca. A z Międzyrzecza pochodził przecież kolega z WSWF-u - Zenek. Chłopcy poszli więc do pułkownika: "Czy możemy Zenka zaprosić? To przygotujemy występy!". Pułkownik się zgodził, a program złożony z pieśni Wysockiego i Okudźawy spodobał się tak bardzo, że chłopaki dostali dwudziestoczerogodzinną przepustkę z obozu. Po wakacjach spotykali się w barakach przy Grunwaldzkiej 55, czyli w akademiku WSWF-u zwanym Arizoną.

W 1968 roku Laskowik został magistrem, władze uczelni zaproponowały mu etat asystenta w zakładzie psychologii, z obowiązkiem prowadzenia radiowęzła. Radiowęzeł mieścił się właśnie w akademiku. Zenek już wtedy miał przejawy geniuszu, był niekonwencjonalny. Potrafił włączyć radiowęzeł o drugiej w nocy i prowadzić program...

Zbyszek Napierała, student prawa UAM, był przewodniczącym Rady Okręgowej ZSP. Poprosił "Klopsa" o szczególną formę promocji ZSP wśród przyszłych studentów. Rocznik "zerowy", czyli ci, którzy dostali się na studia, odbywał praktyki robotnicze. Polegało to na tym, że w różnych PGR-ach, zakładach pracy, miejskich zakładach zieleni i innych dziwacznych miejscach przyjmowano do pracy przyszłych magistrów. Ubierano ich w gumofilce i pędzono do pielienia grządek, mycia słoików, zamiatania, przetwórstwa warzywno-owocowego oraz

innych atrakcji w czasie ostatnich wakacji przed studiami. I właśnie tenże rocznik zerowy z poznańskich uczelni miała kusić do przystępowania do ZSP trupa wesołych kolegów, czyli Kabaret"Klops". Krzysztof Jaślar pamięta, że kusili raczej ładne dziewczyny, i to niekoniecznie do przystąpienia do ZSP. Objężdżali okolice Poznania w barakowozie ciągniętym przez traktor. Grali program *Czymu ni ma dżymu*. Ten sam, który później, po zmianach i dopracowaniu, stanie się pierwszą premierą"Teja". Kabaret"Klops" występował w soboty i niedziele w klubach studenckich, nie tylko poznańskich. Byli też w"Pod Jaszczurami" w Krakowie i w"Medyku" w Warszawie.

W roku 1970 Zbyszek Napierała objął funkcję dyrektora Estrady Poznańskiej. Olek Gołębiowski po skończonych studiach zatrudnił się jako nauczyciel WF-u, Zenek był asystentem na WSWF-ie, a Krzysztof miał zostać nauczycielem wychowania fizycznego w bytomskim liceum. Latem tamtego roku, na obozie studenckim Almaturu w Rowach koło Słupska Zbyszek zaproponował Zenonowi Laskowikowi przejście na scenę zawodową. Zenona i Krzysztofa zatrudniono na etatach w Estradzie. Powstaje Kabaret"Tej". Pierwszy program kabaretu nosił tytuł *Czymu ni ma dżymu, czyli Burza u Żuża*. Magnesem mającym przyciągnąć publiczność mieli być znani poznańscy aktorzy - Tadeusz Wojtych, Marian Pogasz, Jadwiga"Jaga" Żywczak, Józef"Żużu" Zembrzuski i zaczynający wtedy karierę Michał Grudziński. Amatorami byli Zenon Laskowik i Krzysiek Jaślar.

Właśnie w tamtym czasie doszło do spotkania"Teja" i Kabaretu"Pod Budą". W 1972 w Świnoujściu na FAM-ie. To na tej FAM-ie Kabaret"Pod Budą" i Bohdan Smoleń zgarnęli Trójzab Neptuna. I być może to ten trójzab zapadł w pamięć Zenonowi Laskowikowi, a być może przyjazne pogawędki przy, jak pamiętają jedni - winie, a według innych - wódce wypitej w garderobie? W każdym razie spotkanie to było brzemiennie w skutki.

W 1973 roku, w trzecim programie *Humor, skecz, piosenka, wesołe monologi i ktoś z Warszawy* do"Teja" dołączyli aktorzy krakowscy: Grzegorz Warchoń, Janusz Rewiński i Krystyna Tkacz. Grzegorz Warchoń robił *performance* w piżamie. Jako Sąsiad z góry wdzierał się na widownię, krzycząc:"Co to jest?! Co wy sobie myślicie?! Co to za wrzaski?! Ja nie mogę spać! Schlani wszyscy! Dzwonię na milicję!". I wychodził, zostawiając osłupiałą publiczność. A Olo Gołębiowski jako Robol z koszem węgla na plecach pojawiał się co jakiś czas z nienacka i pytał:"Gdzie sie tutaj wongiel sruco?". W tym programie widać już było zręby ich późniejszego stylu. Już nie skecze przedzielane piosenką, a konkretne postaci (robotnik, partyjniak, inteligent) i fabuła łącząca program.

Przy okazji zmian personalnych w kabarecie wyszła na jaw jedna z poważniejszych wad Zenka - nieumiejętność rozmawiania na trudne tematy związane ze zmianą obsady. Otóż

na początku Zenon fascynował się nowymi partnerami scenicznymi. Tak było z Krzysztofem Jaślarzem, Januszem Rewińskim, Rudim Schuberthem, Bohdanem Smoleniem.

Rudiego Schubertha wypatrzył w "Walach Jagiellońskich" i ściągnął do Poznania. Rudi mieszkał nawet u Zenka. Ale kiedy Laskowik rezygnował z ich dalszego udziału w kabarecie, nie mówił im tego wprost, z jakimś sensownym wyprzedzeniem. Dowiadywali się przypadkiem, w przelocie, dosłownie w bramie, że już w "Teyu" nie pracują. Krzysztof Jaślar mówi: "Przyjemne to nie było". Po spektaklu *O baraku i złotej szpilce, czyli Pocałujcie nas w usta* w 1976, kiedy "Tey" przeniósł się do siedziby na Woźną 44, do byłego klubu Emeryta Transportowca, zabrakło Rewińskiego. W czasie wakacji zespół kabaretu skuwał pracowicie tynki ze ścian, by odsłonić zabytkowe cegły, a za kulisami trwały poszukiwania nowego partnera dla Zenka. W nowej siedzibie powstaje nowy program: *Zbiórka, czyli Z rolnictwem na "Tey"*. Rzecz działa się w klubie sportowym, którego struktura była analogią do hierarchii komitetu partii. Jeżdżono na wrotkach - w zależności od zasług na dwóch lub na jednej, a u boku pana Zenona pojawił się Bohdan Smoleń.

„Tey” na początku grał tylko w weekendy, później nawet w czwartki, piątki, soboty i niedziele, i to dwa razy dziennie. W apogeum popularności na spektakl *Szlaban* do Sali Kongresowej przyjeżdżali autokarami ludzie z całej Polski. Pięćdziesiąt sześć spektakli. Widzowie siedzieli w przejściach, na schodach, wszędzie, co przy nieśmiałyach szacunkach daje sto pięćdziesiąt sześć tysięcy widzów.

„Tey” i teyowcy nie mieli w PRL-u większych problemów w życiu codziennym. Fanem "Teya" był nawet ówczesny wiceprezydent Poznania Andrzej Wituski.

Równie ważne co spektakle były spotkania po nich, na tyłach sceny. Przychodzili na nie wszyscy. Prywaciarze przynosili wiktuały i flaszkę. Pierwszy Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Poznaniu Jerzy Zasada miał taki miły zwyczaj, że na każdą premierę stawiał się z prawdziwym johnnie walkerem z Peweksu, a była to wtedy duża rzecz.

Goście Kabaretu nie dość, że przychodzili z własnym poczęstunkiem, to jeszcze z własnym programem artystycznym. Odwiedzający mieli ambicję popisania się dowcipem. Opowiadali żarty, anegdoty, byli zupełnie samowystarczalni, a dodatkowo szczęśliwi, że bawią się z "Teyem". Sami zaś teyowcy mieli dzięki tej adoracji mnóstwo "wejść", mogli kupować lodówki, pralki... Ba! Nawet samochody! Z Urzędu Wojewódzkiego dostawali talony na benzynę w ilościach przekraczających ich możliwości motoryzacyjne. Sklepy mięsne w osobach kierowniczek tęsknie wyczekiwały chwili, gdy będą mogły dla pana Zenka czy Ola odłożyć szynkę, schab, kabanosy. Do "Teya" wpadali też wszyscy artyści, którzy odwiedzali Poznań. Kiedyś na przykład Andrzej Rosiewicz z gitarą grał i śpiewał do białego

rana (dodajmy może, że przy standardach poznańskich był właściwie trzeźwy!).

Ta popularność im imponowała. Poznawali ludzi ze wszystkich branż. Kiedy do Poznania przyjechała na mecz drużyna reprezentacji Polski, przyszli oczywiście do "Teya". W sobotę po spektaklu - dzień przed meczem - poszli do "Piekielka" w orbisowskim "Polonezie". Szarmach, Lato. Kabaretowo-sportowe spotkanie przeciągnęło się do godzin wczesnoporannych. A mecze były wtedy rozgrywane w południe, nie było jeszcze sztucznego oświetlenia boiska. I mimo tak rozrywkowego przygotowania polska drużyna wygrała w pojedynku towarzyskim z USA 7:0.

Mimo starań o bezkonfliktową koegzystencję z władzą od czasu do czasu zdarzały się nieporozumienia. Raz wybuchnęła afera z Pawłowskim, szermierzem. Odwiedził "Tey" w 1975 roku. Siedział w pierwszym rzędzie na *Dislus Ursus Superstar*. Wszyscy podnieceni - szermierz wszechczasów, pięciokrotny medalista olimpijski! Był w "Teyu" dwukrotnie, w krótkim odstępie czasu. I nagle sensacja, Pawłowski zostaje aresztowany jako podwójny agent! Pracował dla WSW oraz CIA. No, to było coś! Jednocześnie przez Poznań przeleciała wstrząsająca informacja - fragmenty programu *Dislus Ursus* zostały nadane w Radiu Wolna Europa! Zrobiło się nerwowo: kto, jak i po co nagrywał i przekazywał poznańskie dowcipy? Jedynym tropem był superszpieg Jerzy Pawłowski.

Zenon Laskowik podchodził do pracy w kabarecie bardzo poważnie. Próby do nowego spektaklu trwały pół roku, zgranie zespołu musiało być idealne. Ale kiedy już zjawiała się biegłość, a nawet element znudzenia, od czasu do czasu pozwalano sobie na wewnętrzne żarty na scenie. Pewnego razu do klubu "Pyrlik" w Bytomiu nie dojechała striptizerka, pani Ola. Grali wtedy *Na granicy*. W jednej ze scen powinna się pokazać w okienku, w toplesie, a obmacywał ją Rudi Schuberth (skarżyła się zresztą, że robi to zbyt dokładnie). Nie było żadnego zastępstwa, więc nie zastanawiając się długo, Olo Gołębiowski w akcie desperacji wystawił w okienku całkiem gołe cztery litery. I tym razem Rudi Schuberth musiał z największym poświęceniem dla sztuki obmacać pośladki pana Gołębiowskiego. Koledzy stojący na scenie ugotowali się tak, że przez kilka minut musieli stać tyłem do publiczności, trzymając się za twarze.

Z cyklu głupich żartów Olo wspominał na przykład taki - w *Dislus Ursus* śpiewał protest inteligenta:

[...] *dzisiaj książki poszły w ką, Dzisiaj zrozumiałem błąd, Dziś się uczę dobrze władać śrubokrętem [...]. Dajcie mi buty gumowe, Chcę chodzić w kombinezonie, Codziennie być w telewizji, Po polach jeździć bizonem...* Zdejmował garnitur, a Zenon przynosił mu gumki. Olo śpiewał, miał włożyć kalosze - a tu w środku pełno zimnej wody. Włożył nogę, woda się

wylała. Stał więc w tych kaloszach, śpiewał dalej, a zza kurtynki słyszał chichot kolegów.

Albo ze spektaklu *Na granicy (Szlaban)*. W pierwszej scenie wielki i postawny Rudi Schuberth kopał w dupę małego i chudego Wojtka Michalskiego. I to "po radziecku", czyli nie markował, a regularnie posyłał mu soczystego kopniaka. Michalski skarżył się, żalił, ale Rudi ciągle "się zapominał". Aż pewnego razu zorganizowano odwet. Grali akurat w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Za kulisami znalazła się jakaś łopata, czyli szypa. Zdemontowano trzonek i zamontowano ją w miejscu niewymownym pana Michalskiego. A Rudiego Schubertha umiejętnie podpuszczono: "Ty wiesz, co on o tobie opowiadał!? Że jesteś grubas i że masz brodawkę na czubku głowy!". No i rozpoczął się spektakl. Noga Rudiego poszybowała w stronę żelaznej ochrony Michalskiego. Rozległ się brzdęk i Schuberth zastygł jak postać w filmie animowanym. Zaskoczenie i ból wyłączyły go na dłuższą chwilę z akcji.

Takie to były dowcipy: twarde, wojskowe. Humor ludyczny, a wszystkie trzy czasowniki na "p" (czyli: picie, palenie i p.....nie) eksploatowano bardzo intensywnie.

Zresztą ten dowcip swojski i gołe panie pojawiały się we wszystkich spektaklach. W *Bajce o baraku i złotej szpilce* striptiz odbywał się niejako *à rebours*. Pani Barbara Siuda w roli Wiechy wchodziła na scenę zupełnie goła. "Co pani tu robi?". "Ja? Szukam garderoby...". "A to musi pani iść do końca tym korytarzem, później w lewo i tam będzie garderoba". No i Wiecha spacerowała tak przez cały spektakl i szukała garderoby. A puenta była taka, że ona nie pomieszczenia szuka, ale garderoby *sensu stricto*: sukienki, bielizny. "Bo ktoś jej ukradł".

Pamiętnego opolskiego Kabaretonu z 1980 roku nie transmitowano w telewizji. Zaczynał się po koncercie festiwalowym, czyli grubo po godzinie 22, a kończył koło 2-3 w nocy. Niby były cały czas kamery i filmowały, ale *S tyłu sklepu* pokazane zostało w telewizji dopiero po kilku miesiącach. Na specjalne życzenie górników wyemitowano 70 minut programu z okazji Barbórki 4 grudnia 1980 roku.

S tyłu sklepu rozpoczęło nową erę występów "Teya". Pojawiło się widowisko kabaretowe. Nie był to już zwyczajny program, tyle że grany na większej scenie. Było to wielkie przedstawienie ze scenografią, piosenkarzami, gościnnymi występami gwiazd. Z "Teyem" występowali: Zbigniew Wodecki, Hanna Banaszak, Grupa "Vox", także Irena Santor, a pod koniec lat osiemdziesiątych cała ówczesna plejada gwiazd z Grażyną Szapołowską włącznie. Takimi przedstawieniami były: *S tyłu sklepu*, *Szlaban* i *Rejteyrada*.

Wielbicielami "Teya" byli wszyscy. I z Komitetu PZPR, i z Komitetu Strajkowego "Solidarności". Kiedy "Tey" występował na wyjazdach, często zapraszano ich do

domów działaczy - byli u rodziców Bogdana Lisa, w mieszkaniu w bloku tuż przy bramie Stoczni Gdańskiej, u Jana Rulewskiego w Bydgoszczy. Gdy występowali w Krakowie, spali w tym samym hotelu Holiday Inn co Wałęsa. Lech Wałęsa opowiadał im wtedy, po występach, na zapleczu, jaką "Solidarność" ma strategię: skoro zdobyli przyczółek, to trzeba powoli, krok za krokiem zdobywać następne tereny, nie można gwałtownie - bo nawet pies przyciśnięty do ściany ze strachu zaczyna atakować na oślep.

Ostatnie wspólne przedsięwzięcie w siedzibie kabaretu, w prawie pełnym składzie, to nowa koncepcja drogi artystycznego wyrazu Zenona Laskowika, czyli Teyatr. Premiera *Przedszkola* odbyła się 1 czerwca 1982 na Dzień Dziecka. To, co kiedyś stanowiło zabawę, zamieniło się w trwający miesiącami chocholi taniec. Zenon znalazł nowe autorytety: postać filozofa amatora, znanego jako Budda Kisiel, i podobnych mu wolnomyślicieli z poznańskiego Starego Rynku. Stali się podporą Teyatru. Były to osoby przypadkowe, wywodzące się z grupy obecnej chyba w centrum każdego większego miasta, która żyje z tego, co znajdzie bądź wyłudzi. Nowi podopieczni pana Zenka gotowali kisiel i zajadali w garderobie. Musiał ten kisiel odgrywać jakąś szczególną, także pozagastronomiczną rolę, bo pojawia się we wspomnieniach wszystkich uczestników Teyatru. Nikt jednak nie umie powiedzieć, o co w tym wszystkim chodziło, a już szczególnie nikt nie umie wyjaśnić roli, jaką odgrywało jedzenie glutowatego deseru.

Obowiązywała dyrektywa: "Nie wolno pić herbaty przed występem! Trzeba być na głodzie, żeby tworzyć sztukę!". Zenon Laskowik z próby na próbę zmieniał obsadę i teksty. Po kilku spektaklach zarządził przerwę - "Stop, nie potraficie grać!". I znowu próby. Chciał udowodnić sobie, zespołowi, a przede wszystkim Bohdanowi Smoleniowi, że może istnieć sam, nie w duecie. Bohdan wychodził na scenę dopiero po 40 minutach spektaklu. Na próbach witany był kąśliwymi uwagami na temat sklepu z rybkami i tego, jak artysta kabaretowy może zarabiać jako sklepikarz.

Przedszkole nie miało zbyt wielu wielbicieli. Po którymś spektaklu do garderoby przyszedł wściekły Wojciech Młynarski. Zrobił dantejską scenę o tekst piosenki *Paczki, paczki, Polaczki*. "Jak możesz mieszać Polaków z błotem?!". Laskowik tłumaczył, że nie ci dostają paczki, którzy potrzebują, ale ci, których stać na wynajęcie "stacza", a później podjeżdżają mercedesem po nie, że Polakom brak honoru, że wyciągają ręce jak żebracy.

W roku 1988, już poza kabaretem, z pobudek rzec można merkantylnych zrealizowano spektakl *Kociół, czyli Największe przeboje kabaretu "Tey"*. Wzięli w nim udział wszyscy dotychczasowi partnerzy Zenona Laskowika. Eksperyment finansowy udał się jak najbardziej, przynajmniej dla liderów. Natomiast napięcia między Zenkiem i resztą zespołu

sięgnęły zenitu. Laskowika denerwowało wszystko. Irytowały go i wyprowadzały z równowagi nawet prośby o autograf. Ciężko układały się też stosunki w zespole. Przed występem w Nowym Jorku stres osiągnął maksimum. Wybiła godzina rozpoczęcia spektaklu, widownia pełna, tymczasem na zapleczu panika - wszyscy czekają na Zenona. Po dobrym kwadransie jest. Wchodzi drzwiami od strony widowni. Ledwo trzyma się na nogach, zatacza. Zaczyna rozmowę z publicznością: "Co wy tu robicie? To juszsz? To już jest ta godzina... Ale was dużo, wiecie, że was koam? Kupiliście jakieś bilety? Kooam was...". Zespół nie mógł oddychać z przerażenia, widownia cicha jak makiem zasiał wpatruje się w bełkoczącego Laskowika. Ten rusza na scenę: "Mam jakąś sztukę zagrać?". Przeciąga ręką po włosach. Odwraca głowę i nagle mówi: "No dobra, chłopaki - gramy". Był całkowicie trzeźwy. Trzeźwiutki. "Myślicie, że co, że jesteście w Stanach, pstrykniecie i będziemy grali? Jak trochę poczekacie, to będziecie lepiej pamiętać...".

„Tey” trwał prawie piętnaście lat mimo wszystko, mimo perypetii, przenosin, zmian personalnych.

Zawsze wierną widownią. Publiczność przychodziła nastawiona pozytywnie. Nie żeby oceniać, krytykować. Żeby się bawić. Stąd absolutna akceptacja sposobu prowadzenia kabaretu przez Zenka, jego bezpardonowości i bezpośredniości.

Odpowiedź druga, czyli prawda czasu.

Zrzeszenie Studentów Polskich jest organizacją istniejąca od roku 1950. Działa obok Związku Młodzieży Polskiej, skupiając młodzież akademicką. Po wydarzeniach marcowych (kiedy uczelnie opuszczają już roczniki będące świadkami wydarzeń 1968), w 1973 PZPR przekształca ZSP na Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Śruba została przykręcona, organizacja upolityczniła się, dostała dodatkowy przymiotnik "socjalistyczny". Jak mówiono - przedtem to było ZSP, a później zostały tylko "cztery litery".

Są tacy, dla których ze względów ideologicznych SZSP nie jest prostą kontynuacją ZSP. Uważają, że "stary ZSP" to misja, związek na całe życie. I nie sposób nie przyznać im racji. W 2010 roku koledzy działający w Zrzeszeniu nadal są gotowi do braterskiej(?), koleżeńskiej(?), w każdym razie - ofiarnej pomocy jeden drugiemu. Stowarzyszenie Ordynacka zrzesza około pięciu tysięcy członków pamiętających: Z-awsze S-obie P-omagamy. Aktywni działacze Zrzeszenia lubili studia. Nie znaczy to wcale, że lubili studiować. Działacz miał ręce i głowę zajęte sprawami organizacyjnymi, zebraniami, ideami, tą magiczną więzią przyjaźni. Wielu z nich tak wnikliwie i dogłębnie przedłużało sobie młodość o kolejne lata, że kończyli studiować koło trzydziestki. W ośrodkach akademickich pojawiali się liderzy - osoby, które poprawnie myśląc i ofiarnie działając, miały dalej piąć się

po szczeblach kariery, tak pięknie rozpoczętej w czasie studiów.

Lata sześćdziesiąte XX wieku. Na poznańskich uczelniach: Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego, Wyższej Szkole Ekonomicznej, Wyższej Szkole Muzycznej, Wyższej Szkole Rolniczej i na Uniwersytecie Poznańskim, w 1955 nazwanym imieniem Adama Mickiewicza, studiują chłopcy i dziewczęta z całej Polski. Z małych miast i miasteczek, ze wsi. Nauka dla dzieci chłopów i robotników jest szansą na zdecydowaną zmianę pozycji społecznej, ale też i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zależy na nowej, "własnej" elicie intelektualnej. Nowa inteligencja nie ma przedwojennych korzeni, nie jest przesadnie związana ani z tradycją, ani z Kościołem. Szybko uczy się prostej zasady: partia przewodnią siłą narodu. I obojętnie, jak bardzo nie wierzy w to hasło i idee socjalizmu - wie, że dla własnego dobra wszelkie wątpliwości trzeba zdusić w zarodku. Tym bardziej że profity za wierność i lojalność są wypłacane od ręki. Stypendia, wyjazdy, mieszkania, talony na samochody i - dla najwytrwalszych - najpiękniejsze szczyty: stanowiska w Urzędach Wojewódzkich, Telewizji Polskiej, Ministerstwie Spraw Wewnętrznych czy Komitecie Centralnym.

Przy uczelniach powstawały kluby studenckie, a w nich kabarety, zespoły muzyczne, teatryki. W "Nurcie" przy Szkole Rolniczej, w klubie "Od Nowa" przy Radzie Okręgowej ZSP, w Klubie Medyka odbywały się koncerty, spektakle. Tu zaczynały: Anna Jantar, Urszula Sipińska, Zdzisława Sośnicka. Ale także Teatr Ósmego Dnia. Jednak Poznań nie był miejscem wyluzowanym. Poznaniacy nie lubili studentów, artystów, wszelkich dziwaków. Obowiązywało ciężkie poczucie humoru, "porzundek" i opinia "nyroli"⁴. Do tego czkawka po Czerwcu '56. Nie wyglądało to dobrze. Kilku kolegów, przyjaciół z ZSP (który dokładnie, tego już dziś nie dojdziemy - jak wiadomo, sukces ma wielu ojców) działających "w kulturze", wpadło na pomysł prosty, acz wymagający sporej pracy i zaangażowania. Poznań musi mieć zawodowy kabaret. Może mieć Warszawa swojego Pietrzaka, Kraków Skrzyneckiego, nawet Wrocław "Elite"... To dlaczego Poznań nie dałby rady?

Romek (Romuald Jezierski - najpierw Sekretarz ds. Propagandy KW PZPR w Poznaniu, później Kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR w Warszawie), Boguś (Bogdan Gawroński - Kierownik Wydziału Kultury KC PZPR Warszawa), Maciek (Maciej Frajtek - Dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu) i Zbyszek (Zbigniew Napierała - Dyrektor Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych Estrada Poznań, później redaktor naczelny poznańskiego oddziału TVP) przy kolejnych półlitrach zastanawiali się, jakich dobrać ludzi, gdzie wybrać siedzibę, jak zakombinować, żeby wilk był syty i owca cała.

Propaganda sukcesu potrzebowała kabaretów, rozlicznych festiwali piosenki czy telewizyjnych programów rozrywkowych realizowanych z wielkim rozmachem w czasach prezesa Szczepańskiego. Zgodnie z uchwałą Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej miało to pomagać w "umacnianiu zaufania społeczeństwa do partii i władzy ludowej".

Towarzysz Pierwszy Sekretarz Edward Gierek miał duże ambicje. Mieliśmy mieć potężne strumienie surówki, wielkie płyty, małe fiaty, a Polska Zjednoczona Partia Robotnicza miała liczyć trzy miliony członków. To dopiero w latach siedemdziesiątych Polska została formalnie wasalem ZSRR. W Konstytucji znalazły się zapisy o kierowniczej roli partii w społeczeństwie i przyjaźni polsko-radzieckiej jako podstawie polityki Polski.

A więc popieranie linii partii i niegodzenie w sojusze było rzeczą oczywistą. Wspólne wakacje na Krymie Gierka i Breżniewa wzmacniały sojusz i pionizowały kręgosłupy chwiejnych malkontentów. Ale jednocześnie niesubordynowane społeczeństwo ciągle wyciągało ręce po kolorowe gazetki z Zachodu, podniecało się recenzjami filmów i książek nasłuchiwanymi w Radiu Wolna Europa. Wyobrażało sobie, że należy mu się "coś więcej", bo skoro jest ludem pracującym... Jeśli za swój robotniczy trud może mieć (przeważnie w teorii) własny samochód małolitrażowy, mieszkanie z centralnym ogrzewaniem, wczasy za granicą (nawet w Jugosławii!) i wódkę w lodówce - to jak psu zupa przysługują mu girlsy roztańczone na szklanych schodach, owinięte w pierzaste boa piosenkarki i zdrowy, krytyczny śmiech z władzy. Otóż to. Śmiech to zdrowie!"Kto się pośmieje, ten później śmieje za bary z życiem będzie mógł się brać" i nie wpadnie mu do ubawionej głowy kombinowanie, jak tu ugryźć władzę, skoro właśnie przed chwilą na własne uszy i oczy widział kąsanie grubego zadka władzy cienkimi ząbkami satyry.

Tak mniej więcej wyglądało tło społeczno-polityczne tego okresu. Tymczasem w Poznaniu kierownik Wydziału Kultury i Propagandy Komitetu Wojewódzkiego Romek szedł w górę - do Warszawy. Przed wyjazdem awansował Maćka na dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego, a Zbyszka na szefa Estrady. Jeśli chodzi o to, kto kogo, to łańcuch pokarmowy wyglądał właśnie tak: Romek nominuje i Maćka, i Zbyszka, ale Zbyszek podlega Maćkowi.

Zbyszek Napierała znał świetnie chłopaków z WSWF-u. On i Zbyszek Theus byli w Radzie Okręgowej ZSP, to dzięki nim koledzy z "Klopsa" jeździli na przykład do Rowów do ośrodka Almaturu, gdzie latem pracowali jako "kałowcy" i instruktorzy "od kultury".

Zenek Laskowik pracował w radiowęźle, prowadził Kabaret "Klops", był świetnym kabareciarzem studenckim: dowcipny, luźny i niezbyt skomplikowany. Niezłym tekściarzem

i organizatorem okazał się Krzysiek Jaślar. Znali ich również Romek i Maciej. Wybór padł więc na nich.

Skąd takie zaufanie do Laskowika? Był bezpośredni, pełen ochoty, miał wielką *vis comica*.

Zenon Laskowik urodził się w roku 1945. W roku 1970, kiedy został zaproszony przez Zbyszka Napierałę do przejścia do Estrady, miał dwadzieścia pięć lat. Z osób, które występowały w "Klopsie", do "Teya" przeszły trzy: Laskowik, Jaślar i Gołębiowski. Reszta występujących w "Teyu" w dniu premiery pierwszego spektaklu *Czymu ni ma dżymu, czyli Burza u Żuza*, a więc 17 września 1971 roku, to aktorzy Teatru Polskiego i Teatru Wielkiego w Poznaniu.

W założeniu kabaret miał być profesjonalny. Zatrudniono aktorów zawodowych, poszukiwano też profesjonalnego tekściarza. Były zakusy nawet na Młynarskiego. Pierwszy program powstał jednak na bazie tekstów z "Klopsa", autorstwa Jaślara i Laskowika. Był jeszcze monolog Stanisława Strugarka i tekst Andrzeja Waligórskiego. Pierwszą siedzibą kabaretu "Tey" była mogąca pomieścić sto sześćdziesiąt osób sala przy ulicy Masztalarskiej (okolice Starego Rynku, ścisłe centrum Poznania). Drugi program to *Wizyta i kwita* - 1972 rok. Z nowości: muzyką i zespołem muzycznym zajął się kolega z ZSP Zbigniew Górny. W roli partnera Zenka wystąpił Janusz Rewiński, młody aktor po krakowskiej PWST.

Administracyjnie Kabaret podlegał pod Estradę, ta pod Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego. Merytorycznie - pod Wydział Propagandy i Kultury Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Nadzór nad poprawnością językową sprawował Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. W Poznaniu mieścił się przy ulicy Mickiewicza, cenzorami "Teya" byli panowie Edward Pawlak i Dąbrowski. Nad wszystkimi tymi ciałami i organami unosił się jeszcze duch: Służba Bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Poznańska Komenda Wojewódzka MO mieściła się przy ulicy Kochanowskiego. Nawiasem mówiąc, ciekawa inklinacja służb do autorów z kanonu lektur szkolnych.

Przedstawiciele wszystkich grup decyzyjnych byli na gruncie towarzyskim przekonani, że kabaret w Poznaniu istnieć powinien. Znalazł się więc pod specjalną ochroną. Miał być miejscem, gdzie kanalizuje się moderowany "dowcip polityczny" Poznania.

Teksty Laskowik zanosił bezpośrednio do cenzury. Jeśli coś budziło wątpliwości, tekst wysyłany był do Warszawy. I tu dochodzi do pewnej sprzeczności interesów. Estrada i Urząd Wojewódzki (Zbyszek i Maciek) chcą, żeby teksty były dobre. Ba! Nawet "ostre", żeby publika waliła drzwiami i oknami, kupowała bilety i żeby wszystkim było dobrze (albo

i lepiej, biorąc pod uwagę fakt, że "Tey" potrafił grać dwa razy dziennie przez sześć dni w tygodniu, a bilety były zdecydowanie drogie). Komitet Wojewódzki (Romek) chce, żeby Kabaret był świetny, ale żeby nie było z tego kłopotów. "Fabryka pieniędzy i żartów", czyli "Tey" w osobach Zenka i Krzyśka, chce i publiczności, i pieniędzy, i popularności. Tylko że nie w równych proporcjach, jak się okazało.

Za oknami jeszcze piękny dzień, na scenie i za sceną jest wesoło, jest wódka, są kobiety. Ale na horyzoncie zaczynają gromadzić się czarne chmury. Wszystkie teksty podpisuje Zenon Laskowik. W rzeczywistości większość pisze Krzysiek. Jaślar poczyna sobie coraz śmielej, zaczepia władzę i sojuszników. Z perspektywy czasu, powiedzmy sobie szczerze, są to łaskotki. Ale w latach siedemdziesiątych, gdy każdy każdego gotów był w imię ratowania stołka przeczłogać jak po poligonie, doszło do tragedii.

Tu objawia się jeszcze jedna osoba dramatu - Benek (podpułkownik Bernard Kamiński, naczelnik Wydziału III KW MO w Poznaniu, później Naczelnik KW MO w Poznaniu). Do Macieja przychodzą panowie z SB z taśmą. Na taśmie zarejestrowany jest nieco bełkotliwy głos, który opowiada słabe polityczne dowcipy z ulicy (typu: "Dlaczego Sejm jest okrągły? Żeby nie robili w nim kantów"). Rozmowa jest krótka: "Stary, te twoje działania są do dupy, bo Zenek, zamiast siedzieć na dupie na Maształarskiej, jeździ po wsiach i opowiada dowcipy głupie, bez żadnego nadzoru!". Maciek głosu na taśmie nie rozpoznaje, ale zaprasza do siebie Zenka. Słuchają razem. Zenek się uniósł i powiedział: "Kurwa, to nie ja!".

Na szczęście Benek (na marginesie, magister WF-u) był przyjacielem Maćka i Romka, *notabene* z ZSP. Kiedy pojawiały się jakieś skuchy, Maciej zajeżdżał służbową wołgą na Kochanowskiego i odbywał z Benkiem przyjacielską pogawędkę: "Benek, to, że chłopcy sobie podowcipkują, to proszę cię nie znaczy, że na Starym Rynku zbierze się demonstracja i zagrozi socjalizmowi! Tolerujmy to". I dodaje: "Wy pilnujcie. Tu, proszę cię, masz dwa stałe bilety do »Teya«,,. Od tego czasu na widowni "Teya" zawsze można było spotkać przedstawicieli III Wydziału.

Jednak po wypadku z taśmą Maciej nie był nastawiony przyjaźnie. "Słuchaj, Benek. Nie ze mną takie numery! Nie róbcie mi podrób! Chcecie udupić »Teya«, to próbujcie, trudno! Ale nie takimi metodami! Możemy sobie zrobić dochodzenie, gdzie i kiedy to było nagrane i udowodnię ci, że tych panów tam nie było". I jeszcze: "Bardzo cię proszę, nie róbcie mi takich numerów!". Benek poprosił swojego kierownika wydziału i bardzo się na niego gniewał: "Jak chcecie coś zakombinować, to nie odpierdalajcie takiej amatorki!".

Uspokoilo się. Ale na krótko.

Pojawiła się nowa przykrość. Tekst piosenki *Quo vadis, pieronie* trafił do cenzury. Według Krzysztofa Jaślara autorstwo przypisać należy jemu i Zenonowi Laskowikowi:

*Quo vadis, pieronie? Pieronie, quo vadis? Idziemy za tobą, bo ty nas prowadzisz. Bieriozkę widziałeś i Paryż cię zna. Quo vadis, pieronie? Pieronie, quo va! Już wiodło nas wielu tą drogą do celu, Z początku jak zawsze w euforii, w weselu. A co było dalej, historia to zna. Quo... Choć znane są wszystkim efekty złej pracy, Ten stan w sprawozdaniach wygląda inaczej. I gdy nie odróżnisz, gdzie bluff, a gdzie fakt, Za późno już będzie na wołacz: Quo va! Cierpliwość jak piasek w klepsydrze ucieka, Z nią lata mijają i wiara w człowieka. Jak czas ten chcesz zużyć, nim skończy się gra? Quo... Pomyślność narodu to wspólny frasunek. Chcę też oddziaływać na marszu kierunku, Więc pozwól zadawać pytanie mi to: Quo vadis, pieronie? Quo vadis, pieronie? Quo vadis, Pierrot? Czujny poznański cenzor rozpoznał w smutnej postaci z komedii *dell'arte* Pierwszego Sekretarza. Oszalały z przerażenia, czy może wściekłości, przekazał tekst "iskrówką" (pre-faks pochodzenia wojskowego) do Głównego Urzędu KPPiW do Warszawy. Stamtąd w te pędy poleciano z tekstem do towarzysza Jana Szydłaka (kiedyś Pierwszy Sekretarz KW PZPR w Poznaniu, następnie członek KC w Warszawie). Niestety "Szydlok" nie był kolegą ani Maćka, ani Romka. Był natomiast serdecznym kolegą Edwarda. Edwarda Gierka. I zdecydowanie nie miał poczucia humoru. Chwył za czerwony telefon i wściekły wysyczał towarzyszowi Jerzemu Zasadzie (Pierwszy Sekretarz KW w Poznaniu): "Zamknąć Kabaret »Tey«, natychmiast wyrzucić dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego i zawiesić Sekretarza ds. Propagandy Komitetu Wojewódzkiego". Pięknie rozpoczęte kariery kolegów: Romka, Maćka, Zbyszka, Zenka i pewnie jeszcze paru innych, zamarły w pozach przerażenia. Od takiej decyzji, płynącej z KC, odwołania nie było. Dodatkowo między panami Szydłakiem i Zasadą zachodziły koligacje rodzinne. Syn Szydłaka został właśnie małżonkiem Halinki, córki Zasady. A to wzmacniało nieuchronność wykonania wyroku.*

Nie jedno i nie dwa półlitry padły ofiarą zdeterminowanych walką o życie kolegów z ZSP.

Szczyściem - *volenti non fit iniuria* - wymyślono sposób ratowania tyłków. Oto obrona taktyka: ustalono, że Maciek ciężko zachorował (popularna choroba dyplomatyczna, działająca swobodnie w czasie) i był na zwolnieniu lekarskim w dniu, gdy trefny tekst trafił do cenzury. Wymyślono, że winna wszystkiego okazała się... gońcówna z Estrady, która samowolnie i bezmyślnie zaniósła tekst bezpośrednio na Mickiewicza, a przecież powinna obowiązkowo (!) najpierw pokazać go czujnym oczom Maćka czy Zbyszka - w każdym razie kogoś odpowiedzialnego! Z wielkim szumem wywalono więc gońcównę z pracy. Podobno

w nagrodę dostała inną, dobrą posadę. Czas działał na ich korzyść, nie byli przecież jedyną grudą soli w oku towarzyszy z KC. Znalezienie i przykładowe ukaranie winnego uładziło gniew Pierwszego Sekretarza. Ale od tego czasu wszystkie teksty Zenek konsultował najpierw z Maćkiem, później dopiero, po jego akceptacji, wędrowały do cenzury.

Po tej wpadce Krzysiek znalazł nową pracę - reżysera w ośrodku Telewizji Polskiej w Poznaniu, gdzie redaktorem naczelnym został Zbyszek Napierała. Na stanowisko szefa Estrady mianowano Staszka (Stanisław Nowotny, później dyrektor Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych). A Zenon Laskowik pojechał na *tournée* do Stanów Zjednoczonych w towarzystwie Janusza Rewińskiego.

Teraz, z perspektywy czterdziestu lat, wiemy, że większość tych ruchów to czysta manipulacja i koniunktura, ale wtedy dla zespołu "Teya" jasne było, że są kontrolowani. Podział był prosty. Na "my" i "oni". Tylko trudno określić, gdzie przebiegała granica. Bo nawet Pierwszy Sekretarz Zasada uważał się za "my", a "oni" byli gdzieś wyżej, w Warszawie.

Kiedy w 1977 roku Boguś Gawroński szedł w górę, na kierownika Wydziału Kultury KC do Warszawy, na odjeźdźnym przykazał kolegom: "Tylko mi tu »Teya« pilnujcie". Maciek pochwalił się tą złotą myślą przed Benkiem niech SB wie, że ochrona sięga daleko.

Umowa między Zenkiem, Maćkiem i Zbyszkiem była prosta: "Ustalamy reguły gry; nie wyjeżdżamy z Poznania z kabaretem". "Jak się człowiek chce napić dobrego bordeaux, to jedzie do Francji, jak chce zobaczyć »Teya« - niech przyjedzie do Poznania". Ta decyzja wynikała z dwóch powodów. Po pierwsze: u siebie byli chronieni, było wiadomo kto, kogo i dlaczego. Na obcym terenie wszyscy byli bezbronni. A po drugie: kiedy Bogdan Gawroński chciał się pochwalić w Warszawie swoimi dokonaniem, zaprosił "Teya" do "Stodoły". Chłopcy z Poznania chcieli pokazać wszystko, co mają najlepszego. Zatrzęsło się. Nie wszyscy towarzysze z KC mieli poczucie humoru. Znowu zaszły zmiany w obsadzie: zwolniono Janusza Rewińskiego.

Kabaret "Tey" grał więc tylko w Poznaniu, ale na pociechę dostał dużą promocję. Znalazły się pieniądze na scenografię, do programu kręcono filmy emitowane, jako przerywniki, z magnetowidów. Wydawano programy, drukowane a to w formie paszportu, a to wezwania na przesłuchanie. No i najważniejsze - "Tey" dostał nową, własną siedzibę.

Wszystkie teksty brał pod skrzydła Zenek. Tylko on dostawał za teksty tantiemy z ZAiKS-u. Na tym tle rodziły się konflikty z kolejnymi partnerami. Większość programu była dziełem zbiorowym, jednak autorem "na papierze" pozostawał Zenon Laskowik. Koledzy z dużym trudem znosili tę swoistą dyktaturę finansową. A niektórzy nie znosili. Z zespołu zwalniano kolejne osoby, zatrudniano nowe. W 1978 nowym partnerem Laskowika został

Bohdan Smoleń. Rozpoczął się najlepszy okres "Teya". Gorzała była wszędzie. Kiedyś po spektaklu Zenon i Bohdan poszli się przejść. Piękna noc, pachnąca sianem, leżąc na trawniku, patrzyli w gwiazdy. "Popatrz... Wielki Wóz, Mały Wóz... o kurwa, radiowóz!".

Grosza na wódkę wydawać nie musieli. Wszyscy chcieli z nimi wypić. Kleili się do nich niesamowicie.

Bohdan stracił prawo jazdy. Pomógł Maciej, dzięki Benkowi.

Ciekawym wydarzeniem był autorski projekt Zenona Laskowika, który powstał w stanie wojennym. Laskowik przyniósł do Wydziału Kultury teksty i powiedział, że chce grać. Maćkowi z wrażenia włosy się najeżyły: "Jak?!!! Tu stan wojenny, wszyscy bojkoty jakieś, a ty chcesz grać?". "Tak. Dupa jest od srania, aktor jest od grania" - zacytował Kazimierza Dejmka. Maciej nie wierzył w swoje szczęście. Popędził do pokoju, w którym urzędował oficer polityczny Wojewódzkiego Komitetu Obrony (WKO): "Panie pułkowniku! Zenek Laskowik z programem! Chce grać!".

Po kilkunastu minutach miał już decyzję od Jaruzelskiego - jest zgoda na przedstawienie "Teya".

Ale Maciej Frajtak był nieufny. Doświadczenie nauczyło go, że sezon polowań może zacząć się zawsze, a on nie zamierzał zostać zwierzyną łowną. Asekurując się na wszelkie sposoby, zażądał zwołania kolegium akceptującego teksty. W jego skład weszli przedstawiciele cenzury, SB, Urzędu Wojewódzkiego, Estrady, Laskowik i oficer z WKO. Generał Łukasik z KW popierał inicjatywę, wszystko odbyło się bez zastrzeżeń. Teksty zostały przyjęte i podpisane przez wysokie gremium. Dopiero na próbie Zenon pozwolił sobie na żarcik. Wygłaszając jakiś niewinny skecz, odsłonił połą marynarki, pod pachą - jak kaburę pistoletu - zawieszoną miał na pasku saszetkę na dokumenty. Wywarł duże wrażenie na obserwatorach z ramienia kolegium. Na szczęście ten drobny epizod nie przeszkodził w realizacji projektu, choć kosztował trochę nerwów Maćka: "Kurwa! Nie rób takich jaj, bo wszyscy polecimy!".

Przedzskole, bo taki tytuł miał projekt, było grane w latach 1982-

-83. Odbyło się tylko trzysta przedstawień. Nie było nawet cienia wcześniejszych sukcesów.

Jak to się stało, że wszystko się rozsypało? Kiedy nie wiadomo, o co chodzi, chodzi o pieniądze. Program tworzył zespół. Ale profity zgarniał Zenek.

Ale być może za coraz trudniejszymi relacjami Zenona z zespołem stoi postać, wedle Ola Gołębiowskiego "zumaszędłszego", Buddy Kisiela? Osobnika nawiedzonego, który namawiał Laskowika, by razem zbawili świat. Rola mesjasza nie dawała szans na trwanie kabaretu.

W 1977 roku przeprowadzasz się do Poznania. I co? Po Krakowie to szok? Znałeś tu kogoś?

Wiedziałem, kto to jest Jaślar, Rewiński, Laskowik, Sowiński. Zenka Laskowika poznałem wcześniej. On był w 1969 roku na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie, na FAM-ie w 1972. W porównaniu z Krakowem Poznań jest zupełnie inny. Inne życie towarzyskie, inne dowcipy, inne relacje między ludźmi. Ale ponieważ zawsze lubiłem dziwne rzeczy, więc ten eksperyment mnie nie przerażał.

Przyjechałem tutaj sam. Podobno miałem bardzo szybko sprowadzić rodzinę, a to jednak trwało trochę. Prawie rok. Pierwszy raz byłem sam, bez Teresy, bez chłopców. No i było głupio, za pusto.

Jeździliście do nich często?

Byliśmy tak zajęci, że nie miałem nigdy czasu na rodzinę. Ale tatuś już wtedy zaczął jeździć do Ameryki, więc to ich trochę pocieszało. Szczególnie chłopaków. Bo od razu w 1978 byłem z Zenkiem pierwszy raz w Ameryce.

Poznańska Estrada była bogata, a "Tey" był jej oczkiem w głowie. Mieszkałeś wtedy prawie rok w jednym z najlepszych hoteli w Poznaniu, w "Polonezie". Estrada komuś jeszcze wynajmowała pokój na stałe?

Pojawiali się tam czasem jacyś artyści, kabaretowcy, ktoś kto akurat występował w Poznaniu, ale tylko ja mieszkalem na stałe. Wtedy nie miałem śniadań w ramach usług hotelowych. Jak mnie dziewczyny w recepcji lubiły, to mnie rano częstowały, zostawiały mi kromkę chleba. Wszystko to było porąbane strasznie. Najbardziej parszywy okres. Wcześniej, w Estradzie Lubelskiej, jak miałem hotel, to ze śniadaniem. A tu nic. I nie było gdzie zrobić. Po występach wracało się do takiej klatki, jak w więzieniu.

Ale telewizor był? Program pierwszy, program drugi?

No i więcej nic. Jak mnie już więcej osób znało, to kiedy schodziłem na dół, do restauracji, zawsze mnie ktoś za ramię brał i do stolika. Z kelnerami żyłem w zgodzie, rewanżowałem się im biletami na "Teya".

Do pracy miałeś daleko?

Nie, z "Poloneza" było blisko. Jeszcze wtedy umiałem pieszo chodzić.

Tak naprawdę to okres ścisłej współpracy z Zenonem Laskowikiem trwał od 1977 do 1982 roku. Z czego na scenie byliście cztery lata, plus występy telewizyjne. A w pamięci ludzi trwacie jako symbol lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Jak wyglądała na co dzień wasza praca w 1977, 1978? Próby, występy?

Pół roku próbowało się nowy program i wtedy nie odbywały się występy. Później

występy codziennie. Oprócz poniedziałków. Jak program został już dopuszczony, to nie było prób zespołu, tylko - jak ktoś chciał - indywidualne. Koledzy byli z Poznania, więc szli do domu po próbie, a ja do hotelu. Czasami Hubert Szymczyński, nasz kompozytor, przyjeżdżał po mnie, zapraszał do domu, na obiad. Zaprzyjaźniliśmy się. Ale takiego życia normalnego, codziennego nie miałem wtedy żadnego. Z Zenkiem się nie odwiedzaliśmy, ale jego mama mnie zapraszała. Oni byli ze wschodu i ona robiła świetne pierogi z serem i ziemniakami. I na te pierogi mnie zapraszała.

Czy ktoś mówił ci, może Zenon Laskowik, że wchodzisz do Kabaretu za Janusza Rewińskiego?

Nie miałem pojęcia o ich rozgrywkach, o tym, kto kogo i za co zwolnił. Nie wchodziłem w stary program, przyjechałem na próby do nowego spektaklu.

Przed premierą, oprócz prób, jeździliśmy też do domów kultury w okolicach Poznania. Z Zenonem i zespołem muzycznym. Przy tej okazji Zenon zrobił świetny żart, przez który mogłem stracić żonę. Wracaliśmy z jakiejś lewizny - koncertu bez udziału Estrady - chyba z Buku albo Nowego Tomyśla, autem Zenka, a tego dnia przyjeżdżała do mnie w odwiedziny z Krakowa żona. Pojechaliśmy po kwiatki, później po nią na dworzec i Zenon odwiózł nas pod hotel. I nagle wyciąga pieniądze, w tym aucie, pod hotelem. Atmosfera cinkciarska. I on mówi: "To teraz się rozliczymy za koncert". I dzieli te pieniądze: "Jeden papier dla mnie, jeden dla ciebie". Wyszło mnóstwo forsy. Normalnie za miesiąc miałem cztery tysiące, a tu nagle żona moja widzi, że ja za jeden koncert dostaję tysiąc. Zaczęły jej łzy lecieć. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie wysyłam do domu takich pieniędzy, skoro aż tyle tu zarabiam. I trudno jej było zrozumieć, że to była popisowa pana Zenka, że nigdy w czymś takim jeszcze nie brałem udziału. Gdyby mi nie uwierzyła, to chyba byłby rozwód. Takie to były żarty pana Zenka.

Trafieś do zgranego zespołu. Jak wyglądało życie towarzyskie? Zaakceptowali cię czy musiałeś się wkupić?

Spotykaliśmy się po spektaklu, przy lodówce poznańskiej, czyli piliśmy razem, siedzieliśmy godzinami na zapleczu "Teya", gadaliśmy, więc nie było tak źle. Ale to wcale nie był zgrany zespół, to była zbieranina. Tam jedynie Gołębiowski i Michalski byli stali, od dawna pracowali. Reszta była przejściowa. Zenek mówił: "ty, ty i ty", i wybierał ludzi do programu. Do każdego nowych.

Kto się spotykał przy tej lodówce? Bo nie tylko członkowie czy pracownicy kabaretu?

Przyjeżdżało dużo takich satelitów teyowskich. Każdy chciał albo żart sprzedać, albo miał za dużo o flaszczykę i trzeba było ją z kimś wypić. Różni rzemieślnicy poznańscy. Był

Bogdan Broda, cukiernik, taki mecenas kultury. Jacyś kwiaciarze, szklarniowcy. Były jakieś wielkie szklarnie pod Poznaniem, w Luboniu. Tam piliśmy wódkę. Pamiętam dobrze Piotra Sowińskiego - aktora i konferansjera. Bywali też aktorzy poznańscy. Dramatyczni. Oni do nas zachodzili, ale już my do nich, do teatrów, nie mieliśmy czasu. Do "Teya" każdy lubił chodzić. A bilet było trudno kupić. Na widowni sto sześćdziesiąt miejsc, a na przykład dwustu chętnych.

Kiedy dołączyłeś do "Teya", powstał nowy program.

Tak, wszystko zostało od nowa zrobione. *Zbiórka, czyli Z rolnictwem na "Tey"*.

Bilet na Zbiórkę kosztował sto pięćdziesiąt złotych. Jak mówileś, skład "Teya" zmieniał się z programu na program, razem z tobą dołączył zespół Huberta Szymczyńskiego, Grażyna Łobaszewska i Małgosia Ostrowska, striptizerka Ola Jursza i iluzjonista Ramigani. Od tego programu nie ma już Zbigniewa Górnego z zespołem, nie ma kwartetu wokalnego „Retrosi”, Jacka Różańskiego, Janusza Rewińskiego, Bożysławy Kapicy, Barbary Siudy, Andrzeja Ellmanna.

Ramigani był iluzjonistą, miał legitymację iluzjonisty z numerem 3 w Europie. Nazywał się Jasiu Ławrusiewicz. Opanował sztuki z gołębiami i kartami. Pewnego razu wyszedł taki tragiczny numer: wkładał gołąbka do garnka i robił jakieś czary-mary, a później go wyjmował. No i wtedy go tak nieszczęśliwie przycisnął pokrywką, że mu przydusił szyjkę i gołąbek zmarł. I Jasiu nie mógł go już z tego garnka wyjąć. Tak mu kciukiem od tyłu pstrykał w główkę, żeby mu nie dyndała. A orkiestra z tyłu krzyczała: "Do gara, do gara!".

Te sztuki magiczne były po to, żeby omamiać publiczność. My robiliśmy to słownie, a on iluzją. Ktoś mówił: "Dziadek, pokaż sztukę!". Jedna sztuka była przepiękna. Miał dwie płytki szklane, owinięte w papier i spięte gumką. Brał talię kart, ktoś z publiczności miał wybrać jedną, a Jasiu rzucał te karty w szyby. I ta wybrana karta była między tymi szybami! Ale jak to robił? Nie wiem. Pilnowałem, żeby Dziadkowi sztuka wyszła, żeby mu muzycy kart nie zabrali, a zawsze próbowali. Były jeszcze trzy panie tańczące i striptizerka Ola. Występowały w przerwie, jako urozmaicenie.

A ilu mieliście oświetleniowców, akustyków?

Po jednym, to była mała sala. Byli zatrudnieni przez Estradę. Cały zespół "Teya" to wtedy jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć osób.

To całkiem spora gromada.

No... Niezły duet.

Wszyscy pamiętają teraz Laskowika i mnie, a przecież wiele osób na to pracowało.

Na widownię wchodziło się przez scenę. Pan Zenek, jak ktoś się spóźnił, zawsze

pytał: "Skąd przysłała, czemu się spóźniła?". Ludzie myśleli, że to można jak do stodoły: kiedy się chce - wejść, wyjść.

Od 1977 do lat osiemdziesiątych mieliście bardzo dużo pracy. "Tey", estrada, koncerty, telewizja, trasy po Ameryce. Niebywale was eksploatowano! Odbywały się też imprezy dla zakładów pracy. To coś takiego, jak obecne eventy. Znane osoby prowadzą imprezy zamknięte dla firm. Różnica taka, że teraz nie dla wszystkich, tylko dla kadry zarządzającej.

No i wtedy dostawaliśmy relatywnie dużo mniejsze pieniądze. To nie była umowa między nami a zakładem, tylko wszystko organizowała Estrada, a myśmy mieli wypłatę stałą od numeru. Tyle że jak się grało codziennie, a czasami kilka razy dziennie, to jak się złożyło do kupeczki, to było - że tak powiem - w pizdu pieniędzy. No i do tego jeszcze lewizny, które pan Zenek załatwiał.

Jak można się było dostać do "Teya"? Przychodzili ludzie, mówili: „Jestem świetny/świetna, chcę z wami pracować”?

Takie rozmowy pewnie były, ale to tylko z panem Zenkiem. On decydował, kto występuje. Przy Estradzie Poznańskiej była taka szkółka piosenkarska. Stamtąd jest Małgosia Ostrowska, Piotr Szulc... No i ta młodzież u nas śpiewała, mieli takie praktyki zawodowe.

Nie dojdziemy już chyba, kto był tym najważniejszym, decydującym w "Teyu". Ile autonomii miał Laskowik, a na ile realizował polecenia służbowe z Estrady czy Wydziału Kultury Komitetu Wojewódzkiego. W końcu lat siedemdziesiątych kabaret zyskał niesamowitą popularność. Wtedy było to ostre picie w "Teyu", tak?

No, tam gorzała lała się litrami. Kiedyś po imprezie chciałem przeparkować swoje auto. Ledwo wsiałem, zaraz się włączyły światła w innym samochodzie - radiowóz MO. Zatrzymali mi prawo jazdy. Myślę, że pilnowali nas.

Zenek nigdy nie tracił pamięci, dykcji, choć lubił sobie wypić. Nie był entuzjastą samochodów, bo samochód według niego to był dupowóz i tak się powinien nazywać. Miał kolegę, który rano przyjeżdżał po niego i przywoził go do kabaretu. A jak to mówią Rosjanie, on już wtedy ostogramiłsja.

To znaczy?

No, setę wypił. I nie martwiły go przejazdy. A ten kolega akurat nie był entuzjastą gorzałki i przez dwadzieścia cztery godziny był jego kierowcą. A do tego uwielbiał Zenka. On jest nawet wymieniany w składzie "Teya" - Tadeusz Osipowicz. To jest, tak najkrócej mówiąc, kierowca Zenka. A jak pan Zenek budował dom, to przez przypadek jego żona wybudowała drugi dom. Uliczkę obok, też na Bajkowym⁵. A ponieważ pan Zenek nie miał

już do mnie zaufania, nie sprzedał mi tego domu - chociaż doskonale wiedział, że jak wezmę go od niego, to w ciągu roku spłacę. Na tamte czasy zarabialiśmy takie pieniądze, że łeb odpada. Przecież wtedy jeździliśmy do Stanów, do Kanady. No ale kupił go Osipowicz. To był facet po AWF-ie, grał na gitarze. Teraz mieszka w Ameryce. Ma duży ośrodek rehabilitacji. Ożenił się z Rosjanką, która urodziła się w Niemczech. Miała jakieś kłopoty życiowe, nie wiadomo było dokładnie, do jakiej organizacji jej ojciec należał. Ale żyją sobie dobrze i szczęśliwie. Kiedy byłem w Koszalinie na Festiwalu Filmów o Niepełnosprawnych, podeszła do mnie pani, która też ma fundację, i powiedziała: "Tadek Osipowicz cię szuka!". I tytytyrytyt w telefon, i z Ameryką mnie połączyła.

To, co bardzo różniło was od innych kabaretów, to naprawdę gigantyczna szczerłość i charyzma. Nie było takiego zerkania spod oka, czy publiczność jest ze mnie zadowolona, jakiegoś podlizywania się, pogrywania. Mam wrażenie, że Zenon miał władzę nad publicznością, że panował nad nią absolutnie.

Tak było.

Zenon Laskowik wychodzi na scenę i mówi kategoriycznym tonem, z takim nosowym poznańskim akcentem i zapożyczeniami z dialektu poznańskiego: "Dzień dobry. Dobrze się bawicie? Jak się bawicie?", a widownia już: "He, he, he...". Zaczepia, prowokuje: "Jak ktoś się spóźni, to mu śpiewamy »Jeszcze jeden mazur dzisiaj«,,. I dalej katuje: "A jak ktoś będzie musiał wyjść, to niech podnosi rękę: »Wychodzę«,,. Wejście na widownię przez scenę. Ludzie zdobywają bilet, płacą duże pieniądze i jeszcze mogą zostać obśmiani publicznie, bo chcą iść siusiu - wszystko jest takie bezpośrednie i wszystko natychmiast.

Naśmiewaliście się z publiczności...

To Zenek miał taką formę zaczepną. Mówił do ludzi bezpośrednio. Szkoła krakowska tego nie praktykowała. On się nie bał reakcji publiczności, nie bał się, że ktoś nie zrozumie jego zaczepki, że może będzie agresywny. Jak ktoś przychodził na spektakl "Teya", to wiedział, że wszystko się może zdarzyć, i musiał być na to przygotowany, wchodził w tę rolę. Trudniej było, kiedy mieliśmy występy poza "Teyem", tylko we dwójkę. Przypadkowa publiczność, ludzie mniej przewidywalni, rozkojarzeni. Albo z dziećmi, które płaczą. Wtedy raczej się nie wypuszczał tak.

U nas na widowni były stałe miejsca, wiedzieliśmy, gdzie kto siedział. Cenzor gdzie, ktoś z Komitetu, z ubecji. Tak że myśmy rozpoznawali, kto jest, i jaką wersję programu możemy grać.

Często byli goście. Jak jacyś artyści przyjeżdżali na występy do Poznania, to mieli miejsca u nas. Dokładało się im krzesła. Najwięcej to było, jak "Mazowsze" przyjechało - nie

było jak przejść. Wtedy się też czasami coś grało pod gościa, jakieś aluzje.

A jak było z biletami?

Kasa była u nas, bilety sprzedawał pan kierownik, a pieniądze szły do Estrady - mieliśmy tam wypłaty, przy placu Wolności.

Bilety były zawsze drogie. Kiedy się ludzie pytali, dlaczego tak dużo kosztują, to była odpowiedź: "Żeby się tu bieda nie dostała". A ten bilet to była największa łapówka. Wtedy nie miałem kłopotów z samochodem, bo jak przyjeżdżałem do Polmosu...

Polmozbytu...

...Polmozbytu, to było: "O Jezu, przyjechał!!!". I już majster leciał pierwszy: "Ty i ty do Bogusia, a tamte dwa samochody wypierdolić!".

Nie mogłeś się nigdzie pojawić dyskretnie? A do SAM-u po serek topiony jakbyś chciał iść?

Nie było takiej możliwości. W tych czasach największej popularności wychodzenie samemu było wręcz niebezpieczne.

To gdzie wtedy na przykład jadaliście w Poznaniu?

Na początku to wołałem u siebie, w "Polonezie". Miałem swój stolik i wiedziałem, że mi się nikt nie przysiadzie. Kelner pilnował. A z "Teyem" chodziliśmy do Dybizbańskiego, do "Turystycznej" na Starym Rynku. Był jeszcze "Smakosz", tam podawali golonki. Albo do "Hacjendy" nas zapraszali, ale tam specjalnością była czernina, a to nie moja potrawa. Myśmy tego Dybizbańskiego mieli zaprzyjaźnionego. Stolik był zarezerwowany. Mieliśmy 45 minut między spektaklami, od nas, czyli z ulicy Woźnej, do "Turystycznej" było kilka kroków. A trzeba było coś zjeść. Dzielnicowy też zaprzyjaźniony, więc kiedy był na sali, tośmy sobie siedzieli, wypijali po pięćdziesiątce i nikt do nas się nie dosiadał. Pięć metrów od nas siedzieli. Ten dzielnicowy był mistrzem Europy w boksie. Zresztą też przychodził na nasze programy. Dybizbański, słynny poznański restaurator jeszcze przedwojenny, miał potrawy wyszukane. "Turystyczna" była taką trochę chuligańską knajpą, ale on miał takie "swoje" stoliki, gdzie obowiązywała kultura wysoka. Wiedział, że najmniej czasu mamy na jedzenie, więc jak jest przerwa w kabarecie, to musimy szybko coś dostać. A tak poza tym to bardziej imprezowaliśmy w kabarecie albo jechało się do kogoś. W restauracjach się nie dało. Gdzie byśmy nie zawitali, zaraz ktoś się dosiadał, stawiał wódkę - i koniec. A spróbuj odmówić. No i wszyscy na ty z nami. Tego się nie da opisać.

Krzysztof Jaślar pisał w swoich wspomnieniach, że Zenon rozstał się z nim w sposób mało elegancki, zresztą nie tylko z nim. W bramie, przypadkowo. Pretekstem było to, że Krzysztof Jaślar "miał zapis" cenzury.

Myślę, że to mogło być tak: wtedy dużo osób po AWF-ie pracowało w Służbie Bezpieczeństwa. Może dlatego, że byli silni, wysportowani, mogli szybko podbiec, pierdalać i zwiać. A z kolei pewne rzeczy, teksty, informacje o Kabarecie docierały nie tam, gdzie powinny. Tak sądzę, że oni może zaczęli się wzajemnie podejrzewać? Jeden drugiego? I dlatego się rozeszli.

Ale Zenon w podobny sposób rozstał się z Rudim Schubertem.

Miał taki styl. Po prostu nie zaprosił ich do następnej premiery, nie tłumacząc, nie wyjaśniając prosto, co się stało. Dlaczego muszą odejść.

A czy wobec osób, w stosunku do których postąpił, delikatnie mówiąc, nieelegancko - Rewiński, Jaślar, Schubert - zachował się jakoś później? Potrafił stanąć naprzeciwko, powiedzieć „przepraszam”?

Nie. Zawsze było tak, jakby nic się nie stało. To my się myliliśmy. Rudi czekał parę miesięcy na zawiadomienie, kiedy będzie następna premiera. I nie dostał nic, żadnej wiadomości. Gdyby chociaż Laskowik mu powiedział: „Nie grasz”, to Rudi by sobie poszukał jakiegoś zespołu, zajął się czymś, a tak to czekał na sygnał od Zenka.

A czy jest możliwe, że ta ucieczka w inne środowisko, praca listonosza, wzięła się z wyrzutów sumienia?

Ja nie znam się na osądzaniu ludzi. Pamiętam wiele pięknych układów, jakie były z Zenkiem, a te moje domniemania mogą tylko doprowadzić do złych rzeczy. Pan Zenon tłumaczył, że musi odnieść ludziom to, co od nich dostał. Mówiłem mu wtedy: Przecież ty oddałeś im to na scenie, mówiłeś to, co oni mówili w swoich domach, to, o czym myśleli. Sprzedałeś im na scenie ich żarty, ich przemyślenia. Czyli raz im już to oddałeś.

Czytałam wywiad z Laskowikiem z 1990 roku, w którym on tak ładnie mówi o tym, że musi odejść, bo mózg ma przeżarty „układzikami”, tymi socjalistycznymi smrodami, i musi się oczyścić z tego, więc zmienia zawód. Podoba mi się to. Ale nie rozumiem, jak może przystawać spokojnie na to, że ciągle występuje jako jedyny autor waszych tekstów?

Te teksty w pierwszej wersji były bardzo czyste, higieniczne, więc nie było żadnych problemów z cenzurą. A do tego doliczyć trzeba tak naprawdę pół roku pracy wszystkich. Bo tyle trwały próby nad nowym materiałem. Musieliśmy od rana do wieczora siedzieć w kabarecie. Dochodziły żarciki, niedomówienia, interpretacje. Czasami wystarczyło głos zawiesić, wyczekać pauzę, spojrzenie rzucić i był inny sens. Miałem taką propozycję, żeby to było podpisywane tak: pomysł scenariusza - Zenon Laskowik, autorzy tekstów - zespół. Ale tak nigdy nie było.

Zawsze Zenon zawiadował całym materiałem.

Artysta kabaretowy od dramatycznego różni się tym, że dramatyczny uczy się roli i gra ją sto lat tak samo, jak ustali z reżyserem. Nie wolno mu zmienić nic. A aktor kabaretowy albo istnieje na scenie, albo go NIE MA. Niezależnie, czy mówi jakąś kwestię czy nie. Jak miałem zakaz pracy, to prosili mnie organizatorzy, żebym chociaż mikrofon wnosił na scenę, kłaniał się i wychodził. I za to będę miał płaconą stawkę. Mam jakąś nic porozumienia z widownią, trzymam za wodze i wiodę ich. Raz mi się uda na sto procent, raz na dziewięćdziesiąt pięć. Ale muszę być, niezależnie od stanu zdrowia, od humoru, od ilości ludzi na widowni. Ja muszę być obecny na scenie. Być obecny - to nie znaczy stać, to znaczy istnieć tak, żeby czuć wodze w ręce. Bo kiedyś zawiązaliśmy jakąś więź z publicznością i teraz potrzebujemy siebie. Ja ich też potrzebowałem. Nigdy nie przypuszczałem, że przyjdzie taki moment, że będę musiał zrobić tak jak teraz, że będę leżeć w domu zamiast jechać na koncert. Ale widownia też się zmieniła. Mają tyle programów, internet, możliwości. Jednym na przykład nie odpowiada wiek artysty. To, że kiedyś był czarny, a teraz jest siwy - to już go nie ma. Złom, nieważny. Każdego to czeka. Chociaż najpierw ma te swoje minutki sławy. Ja na przykład teraz nie lubię być w miejscach publicznych, zaludnionych. Przez to, że kiedyś zdobyłem popularność, to teraz zawsze się znajdzie ktoś, kto będzie mnie bratersko poklepywał, bratersko obejmował. Bratersko częstował. Cokolwiek powiem na nie, to obraza. A ja jestem człowiek nikczemnego wzrostu. Jak mnie po kolei pięć osób pierdyknie w plecy, to mnie boli. I chętnie raz chociaż bym oddał. A jak nie wypiję, to gardzę. Jak nie daję się spoufalać, to obraza.

Zostaliście zakładnikami własnej popularności. Nie można było nigdzie wyjść, do restauracji czy po cichu do domu. Musisz siedzieć i pić z wielbicielami.

No, wyjść się nie dało. Zresztą to nie miało sensu, bo w restauracji było jeszcze gorzej. Nie można było uciec. Już lepiej było się z nimi umówić u siebie, przynajmniej byli świadkowie tych rozmów. Z kromką chleba nikt nie przyszedł. Ale zawsze było pół litra. A gdybym nie pił? Byłbym uważany za kapusia albo że się wywyższam. Myśmy takich imprez odbywali kilkanaście tygodniowo. I nie dziwię się, że Zenek tego nie wytrzymał. Ja od rana nie piłem, dopiero po pracy. Kiedy wiedziałem, że mogę mieć spokój. Wystarczy tylko wypić.

I było tak samo w Polsce i za granicą.

Tak. Widownia się niczym nie różni, wszyscy lubią wódkę. Potem, jak dzieci się pytały, co tatuś widział ciekawego, to odpowiadałem: Kieliszki. To była stała wersja. A potem one opowiadały tak dalej: "A mój tata to tylko kieliszki widział po drodze" - na pytanie, jak było w Ameryce.

Myślałam nad tym fenomenem: dlaczego ludzie ciągle chcą widzieć was razem - Laskowika i Smolenia. Dorosły facet po przejściach mówi: "Panie Bohdanie! Wychowałem się na pana tekstach!", i patrzy na ciebie z taką nadzieją, jakby wierzył, że zaraz machniesz czarodziejską różdżką i on nagle stanie się czternastoletnim chłopcem z pierwszymi przyszciami i pomarańczową kasetą Stilon-Gorzów w ręce. Dlaczego jak mantra pojawia się to zestawienie waszych nazwisk? Dlaczego ciągle słyhać jakieś fałszywe informacje, że "Tey" znowu wystąpi razem? I doszłam do wniosku, że jesteście dla tysięcy osób wspomnieniem oczyszczającego śmiechu. Że tak jak śmiali się w czasie waszych występów w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, tak już nigdy później tego nie robili. Potężny huragan śmiechu, który pozwalał wyrzucić z siebie rozczarowanie, strach, frustrację. Reagowali na jeden wasz gest, na jedno słowo wręcz histerią. Wasze postacie wyzwalały w nich obraz samych siebie - młodych, pierwszy raz publicznie, w otoczeniu tysięcy innych ludzi, ryczących ze śmiechu - z siebie, z systemu, z władzy. Nie w małej salce, potajemnie, ale na widowni amfiteatru, przed telewizorem. Poczucie wolności przez śmiech. To, że coś się dzieje w kraju innego. To, że MY śmiejemy się z NICH. Solidarnie. To im zostało w głowie. I na to nakłada się wasz obraz. I ludzie teraz tęsknią do tego swojego czasu euforii, nadziei, do tego śmiechu, którego później już nie zaznali.

Może tak być. To, co się działo z publicznością na przykład w Opolu, jak graliśmy *S tyłu sklepu*, to było aż przerażające. Jak tyle tysięcy ludzi ryczało ze śmiechu.

Mimo takich wspólnych przeżyć znajomości z "Teya" nie przetrwały? Nie mówię o duecie z Zenonem, ale o reszcie zespołu. Co zniszczyło wasze relacje?

Za dużo czasu spędzaliśmy razem. Na końcu było już tak, że jak program finiszował, nie mogliśmy na siebie patrzeć. Nie można być ciągle ze sobą. Dwadzieścia cztery godziny. I to jeszcze same chłopy.

O przepraszam, a Ola Jursza?

Ona była milcząca raczej. Wolą obskoczyć dziennie pięć striptizów w Poznaniu, niż jechać z nami na występy i mieć jeszcze koszty. Wcześniej striptizerką była Basia Siuda. Rozbierała się pod piosenkę *A ty się, bracie, nie denerwuj*. Jest taka anegdotka: jak się kiedyś rozbierała - a to była gitara, klasyka kobiecości - stały jakieś dwie panie, oglądały ją i jedna mówi do drugiej: "Patrz, ale zęby to ma nierówne".

Kabaret w Poznaniu występował dwa razy dziennie. Koło 17 i wieczorem, po 20?

Godziny były różne chyba. Nie pamiętam, jak to było dokładnie.

Pan Zenek miał różne pomysły, chciał, żeby kabaret występował o 5 czy 6 rano. Miał też takie marzenie kiedyś, żeby grać górnikom koncerty, jak schodzą po trzeciej zmianie. Nie

wiem, czy w końcu nie zrobił tego teraz.

Wspominasz, że zarabialiście sensowne pieniądze. Ale w porównaniu z tym, co współcześnie potrafią zarabiać znani ludzie na estradzie, to było właściwie nic. Stawki nie były ustalane z wami, dostawaliście pieniądze od sztuki, niezależnie od tego, dla kogo, gdzie i co graliście. Dodatkowo w latach przed wolnym rynkiem osoby, które występowały na scenie - aktorzy, piosenkarze - musiały mieć uprawnienia do wykonywania sztuki estradowej. Chodziło się na jakieś zajęcia? Zdawało egzaminy?

Bez dyplomu brałem po prostu bardzo małą wypłatę. Niezależnie od tego, ile występowałem, ilu było ludzi na widowni. Dostawałem "Ministra Kultury i Sztuki najniższą stawkę kabaretową - kategoria zaszeregowania 13". Kiedy zacząłem pracę w "Teyu", musieliśmy zostać z panem Zenkiem studentami szkoły aktorskiej albo zdać eksternistycznie egzaminy. Dość przykre te egzaminy były, na przykład wątki humorystyczne w sztukach Fredry kazali nam przedstawić. A myśmy byli od tego daleeeeko. Były wyznaczone dni i jechało się do Warszawy. Jednego razu równolegle z nami zdawała Eleni. Dostała pytanie: "Czy to prawda, że urodziła się pani w Polsce?". I chociaż miała wtedy już pięć złotych płyt, to było tak, że nie umiejętności czy popularność, tylko papier Ministra Kultury i Sztuki, który trzeba było zdobyć, decydował o tym, ile może zarabiać.

Myśmy byli pogonieni przez pana profesora Bardiniego trzy razy, bo nic nie odpowiadaliśmy na pytania. W końcu profesor się pyta pana Zenka i mnie: "Jeśli wy nie dostaniecie dyplomu, to co z tą całą resztą, która czeka dzisiaj na egzamin?". Więc mówimy: "Ale panie profesorze, nam wystarczy dostateczny i już mamy papier". No i dał tróję. I zaraz pojechaliśmy na program, bo o 21 graliśmy. A reszta w "Teyu"? Rewiński był skończony aktor, więc nie musiał tego robić. Jaślar chyba nie musiał⁶, a reszta miała jakieś kursy piosenkarsko-estradowe, które im pozwalały dostać więcej niż czterysta złotych od koncertu⁷. W ramach etatu norma wynosiła dziesięć koncertów. To było na utrzymanie Estrady. Reszta była dla nas.

Czyli gdyby założyć, że graliście w jakimś miesiącu przez dwadzieścia dni, dwa razy dziennie, to - odliczając normę - wypada, że zarobiłbyś dwanaście tysięcy.

No tak to było. Ale obojętnie, czy grałem dla stu sześćdziesięciu osób czy dla czterech tysięcy, stawka była ta sama. Dziś jest inaczej.

Na wyjazdach graliście albo w parze z Zenkiem, albo cały zespół kabaretu "Tey". Miałaś jakiś wpływ na to, gdzie gracie, dla kogo?

To ustalała Estrada z panem Zenkiem. My nie mieliśmy nic do gadania. Trochę na wyjazdach graliśmy, pan Nowotny⁸ wysyłał nas na różne imprezy do zakładów pracy.

Spotkała nas taka przygoda, że graliśmy na trzydziestolecie PKS-u w Zielonej Górze. Przyszła cała wierchuszka mundurowa, milicja, wojsko. No i poszliśmy w czasie przerwy z Zenkiem do sracza. Wchodzi dwóch generałów i rozmawiają ze sobą: "Ci dwaj to dopiero dopierdalają, szkoda, że się śmiać nie wolno".

Widać mieli swoje zakazy wewnętrzne.

Ale przyjść mogli.

Przyjść mogli. Do sracza też. I to nas łączyło.

Czasami graliście kilka koncertów dziennie. Co robiliście, żeby nie zwariować?

Piliśmy gorzałę.

Przed, po, w trakcie?

Różnie. Kiedyś graliśmy na przykład trzynaście koncertów w ciągu dwóch dni, w Wałbrzychu, na hali dla górników. Zagrać siedem dziennie, to jest przecież potworne. Jeden program to jest minimum półtorej godziny. Bez przerwy, czystego grania. To Tadek Osipowicz stał z boku i nam mówił, którą scenę gramy teraz, bo ja już nie wiedziałem, czy to mówiłem, czy jeszcze nie mówiłem - bo na pewno już było i w jedną, i w drugą stronę. A ile jeszcze mam powiedzieć, to nie wiedziałem. Pięćdziesiątkę się wypijało w trakcie i szło się dalej na scenę. I nie przeszkadzało to w niczym, ani w dykcji, ani w tempie programu. A widownia była na tyle daleko, że nie czuła naszego oddechu. I jakoś to szło. Biliśmy absolutne rekordy. Takie zapotrzebowanie było. Myśmy nawet pięćdziesiąt sześć razy zagrali przy pełnej widowni w Kongresowej, w czasie jednego *tournée*, czyli w longu!

A gdybyście powiedzieli: „Jest pięć koncertów i koniec”?

Nie dało się tego powiedzieć, bo byliśmy na etacie w Estradzie i oni chcieli to wykorzystać. Ja miałem w umowie o pracę napisane, że moim obowiązkiem jest "uczestniczenie w publicznym wykonywaniu dzieła". A do tego dostawaliśmy od sztuki pieniądze. To lepiej było wieźć walizkę pieniędzy niż teczkę. Tym bardziej że to jeszcze były kwartalne wypłaty, bo ktoś tam wymyślił w Ministerstwie Kultury i Sztuki, czy może w Estradzie, że będą płacić raz na kwartał i tego nie dało się po kwartale unieść. Nienawidzili nas na przykład elektrycy w kabarecie, bo mieli pensje co miesiąc. A myśmy z Zenkiem przychodzili i dostawaliśmy: sto pięćdziesiąt koncertów razy stawka. To kiedy odbieraliśmy kwartalną pensję, to było naprawdę dużo.

No wyobrażam sobie! Skoro w 1979 roku fiat 126p w wersji 650 kosztował - w teorii, bo przecież nie można go było kupić bez talonu - dziewięćdziesiąt dwa tysiące złotych, a ty odbierałeś pensję rzędu sześćdziesięciu tysięcy, to można zwariować.

Jeszcze było weselej, jak później były w milionach pieniądze. Teoretycznie

opływaliśmy w gotówkę, ale przecież trzeba było przez ten kwartał żyć. Więc najpierw trzeba było oddać tym, od których pożyczaliśmy, żeby egzystować przez te trzy miesiące. Niewiele z tego zostawało, ale zawsze więcej niż przeciętny człowiek zarabiał.

Tak dużo pracowaliście, pełna dyspozycyjność przez tyle lat! Nie korciło cię nigdy, żeby powiedzieć: "Gram raz w miesiącu albo dwa i nie interesuje mnie nic"?!

Dopiero teraz, po tych moich dolegliwościach, musiałem zrobić przerwę, żeby ten tabor cygański zatrzymać. Tyle że jak nie możesz pracować - nie możesz zarabiać. I do tego oczywiście ja nie mam emerytury, tylko rentę i nie mogę zarabiać dodatkowo. Ale ile można spać w nie swoim łóżku, na nie swojej poduszce, jeść nie swoim widelcem codziennie obiad? I nie wiedzieć, co będzie jutro, tylko dzwonić do menedżera: "Gdzie jutro jesteśmy?"

Bo człowiek, który pracuje na jakimś etacie, normalnie, to wie, co będzie robił. A ja nie wiem. Bo mogę grać jeden koncert, a mogę grać pięć koncertów. I nikogo nie obchodzi, jak ja to robię. Jak się czuję.

W czasach po "Teyu", kiedy jechaliśmy gdziekolwiek na Zachód, to ja się zgłaszałem też jako kierowca, bo to było zdrowsze. I wątroba bardziej zadowolona była ze mnie, niż jak byłbym tylko aktorem. Bo potem jest: "Gardzisz? Nie wypijesz z człowiekiem? Nie widzieliśmy się dwadzieścia pięć lat, a ty co - nie napijesz się ze mną?"

A tych, co dwadzieścia pięć lat nie widziałem, to jest połowa sali. Ale to się nie liczy. Każdy patrzył na to, że on się szczególnie stęsknił i to z nim trzeba koniecznie wypić. Jesteśmy strasznie dziwnym narodem. Kto nie pije, ten szpieguje. Jestem na to już za słaby.

Byliście postrzegani jako najlepszy kabaret polityczny lat siedemdziesiątych, ale kiedy zaczęła się pierwsza "Solidarność", nie występowaliście w Gdańsku, w hali Olivii.

Bo chyba nas nikt nie zapraszał. Zresztą musielibyśmy tam wystąpić nielegalnie, Estrada by nas nie puściła! Może też się Wałęsa na żartach nie znał?

Myślisz, że się nie zna? Jak dla mnie, to wygląda na takiego, co się zna.

O nie, mieliśmy kiedyś spotkanie w Krakowie. Występowaliśmy w operetce. I Wałęsa miał przyjść, cała jego ekipa już była. A on coś załatwiał, bardzo ważne sprawy, i spóźnił się gdzieś 45 minut na program. Jak wchodził, to cała sala wstała i zaczęła mu bić brawo. Wszyscy się obrócili tyłem do nas. Mówię do Zenka: Widzisz, na kogo tu przyszli. I tak się głupio ludziom zrobiło, że usiedli. I nie wiedzieli, kogo przeproszać. Czy Wałęsę, czy nas. No bo przyszli na koncert. A nie na Mistrza. Potem został z nami na zapleczu. Tyle pierdół to ja się jeszcze w życiu nie nasłuchałem.

Śmiesznych czy strasznych?

Strasznych. Za to, że był przywódcą ruchu, to go bardzo szanuję, ale po co został

prezydentem?

Paranonia, czyli późniejsze Wykopaliska, Chirurgia zakaźna - to programy, w których występowałeś po roku 1982, a więc po rozejściu się "Teya". Łączy je postać Krzysztofa Jaślara. Mimo to materiały z tych przedstawień znalazły się na płytach dokumentujących działalność "Teya".

Z perspektywy czasu wyraźnie widać, że to, kto podpisuje się pod danym tekstem jako autor, ma znaczenie. Rola pozostałych członków kabaretu sprowadzona jest do poziomu odtwórcy. A z twoich słów, ze wspomnień Rewińskiego i samego Jaślara wynika jednoznacznie, że autorstwa nie można przypisać właściwie nikomu, bo było to dzieło zbiorowe. Przeanalizujemy teksty Pelagii, Historii, Malucha ze scenariusza i okazuje się, że puenty, dopowiedzenia rodzą się na scenie. To, co jest w scenariuszu, jest tylko szkicem. Ale dla ZAiKS-u autorem tekstu pozostaje jeden człowiek.

Nie było dyskusji. On to stworzył i koniec. Te pierwsze teksty Zenon pisał dla księgowości. Musiał się rozliczyć, że jest twórcą scenariusza. Bo dostawał tantiemy jako autor. To, co było później na scenie, nie miało z tym wiele wspólnego. Ale Zenek zawsze dbał, żeby scenariusz był z jego nazwiskiem. Myśmy czytali, wychodzili na scenę i każdy grał w swoim języku, tak żeby to brzmiało indywidualnie. Ja musiałem mówić swoim językiem. Inaczej byłbym Laskowikiem numer 2, Laskowikiem numer 3 byłby Gołębiowski, Laskowikiem numer 4 - Wojtek Michalski i tak dalej. Im więcej jest twórców, im większy wkład każdego, tym język się bardziej różni i są lepsze dialogi. Jest też tak, że w tym samym tekście występowali różni aktorzy. Ten sam tekst, na przykład *Mapę*, mówił Rewiński, a później ja. I każdy inaczej to grał.

Po spektaklu "Teya", kiedy schodziliście ze sceny, rozmawialiście ze sobą? Czy siedzieliście w milczeniu?

Różnie bywało. I tak, i tak.

Ton w "Teyu" nadawał Laskowik. Analizując postawę Zenona Laskowika z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, można przyjąć, że był bardzo pewny siebie. Wobec zespołu, Estrady, cenzury. Był nietykalny. Wszyscy musieli się liczyć z tym, że mogą przestać być potrzebni w kabarecie, że mogą stracić pracę. "Tey" był absolutnie autorytarnie prowadzony?

On nie czuł żadnego zagrożenia.

Czy był naprawdę wyznawcą filozofii zen?

Nie, myśmy to tak nazwali, te jego wymyślenia. Zen od Zenek.

W pewnym momencie podjął decyzję, że wszystkie programy "Teya" będą nagrywane.

To miała być podkładka, że całość jest zgodna z umową, zgodna ze scenariuszem?

Chyba tak, to nasz akustyk wszystko nagrywał. Przypuszczam, że to było później zanoszone do Estrady. A czy gdzieś dalej, to nie wiem. To była asekuracja. Gdyby na widowni siedział jakiś wysłannik, o którym byśmy nie wiedzieli, i on by poinformował, że został powiedziany jakiś tekst antypolski czy antypaństwowy, to my to mamy nagrane, proszę - z datą, godziną. Możemy udowodnić, że nic takiego nie było.

A czy "Tey" miał jakieś poważniejsze przejścia z cenzurą?

Za moich czasów nic takiego nie było, w każdym razie ja tego nie wiem.

Jak to było z występami wyjazdowymi "Teya" w Polsce? Były jakieś trasy? Oczywiście oprócz tych organizowanych przez Estradę?

Nie, najwyżej jakieś pojedyncze, jak się nam udało uciec. Estrada nie chciała nas puszczać, a byliśmy ciągle zapraszani, na przykład do klubów studenckich. Pamiętam Częstochowę, Kielce, Bytom. Dyrektor Estrady, Nowotny, miał ciągle pretensje o te wyjazdy. Nie wiem, komu on się z tego tłumaczył, czy Komitetowi Wojewódzkiemu, czy milicji. Ale takie granie nie było zbyt rentowne dla nas, bo w kabarecie były zawsze trzynastki, a po takich akcjach dyrektor nam je zabierał.

Ale byliście w dobrej komitywie nawet z Pierwszym Sekretarzem KW PZPR. A propos: krążyły jakieś pogłoski, że Urszula Sipińska była w zażyłych kontaktach z Zasadą?

Zasada był ostatnim Pierwszym Sekretarzem w Poznaniu. I rzeczywiście coś tam było. W każdym razie były takie ploty, że się żona Zasady napierdalała z nią parasolkami.

I ten Zasada też do was zachodził?

Też. On miał posiadłość swoją, tak jakoś jak się jedzie z Poznania w stronę Tuczna. No i zaprosił nas tam na obiad. Nie wypadało odmówić, przyjechał jeszcze pan Kaliszan⁹, żeby nas dowieźć, bo on wiedział gdzie, a my nie.

W jakim charakterze was zaprosił? Jako trupę umilającą komuś posiłek czy to był obiad dla was?

Dla nas. Tak nas zasponsorował. Przyjeżdżamy, i tu scena przepiękna: na polu, pod krzyżem, czeka na nas pan Zasada. Sekretarz. I trzyma bukiet kwiatów, który wręcza pani Jurszy.

Waszej striptizerce.

Tak. Widok był wyjątkowy, piękne słońce, złocące się pola i on jej daje te kwiaty. Wchodzimy do domu. Wiejska chata, taka długa. No i pokazuje nam różne cuda. Na przykład że jak się przejdzie do następnego pomieszczenia, to zaraz krasnoludki wszystko sprzątają i podają nowe potrawy, nowe trunki. Widocznie była tam cała brygada, która musiała chyba,

kurde, w kapciach filcowych chodzić, bo nie było słycać szmeru nawet. I wróciliśmy do tego pierwszego pokoju - a tam wszystko było nowe. A my musieliśmy do pracy jechać, wypiwszy najpierw u niego sporo gorzałki. Więc wracaliśmy do Poznania tak: pierwszy jechał towarzysz napruty, później dwa samochody pilnujące go, a na końcu nasz samochód. Prowadził Kaliszczan - trzeźwy.

Byliście z panem Sekretarzem na ty czy na pan?

Chyba na ty.

Przychodzili do was do garderoby, tam gdzie ta lodóweczka, prywaciarze i szklarniowcy, i pierwsi sekretarze, i ministrowie, a z opozycji też ktoś?

No jak się znalazł, to też, oczywiście. Obie strony, które miały telewizory. Ale czasami my też jeździliśmy do jakichś rzemieślników, ogrodników. Sześć taksówek jechało i później czekało na nas do rana. Oni cały czas się chcieli bratać, im to imponowało. Lubili później w towarzystwie mówić: "Znam tego, tego i tego". Ludzie potrafili takie rzeczy robić: dzwoniłi do mnie do domu, żebym przez telefon potwierdził jakiemuś ich znajomemu, że znam taką czy taką panią, pana. Najgorsze to było dla naszych żon, jak teraz tak o tym myślę. One wiedziały, że koniec spektaklu jest o 22.30 - a nas w domu nie ma i nie ma. O 3 godzinie przynosili tatusia i stawiali koło drzwi.

U nas każdy się mógł spotkać - minister, sekretarz, prywaciarz, striptizerki i ich koleżanki, goście, którzy mieli przerwę między pociągami. Każdy mógł przyjechać do "Teya", wypić pół flaszki i taksówką wrócić na dworzec. Zawsze mieliśmy dzięki temu nowe dowcipy. Wiedzieliśmy o wszystkim, co się w kraju działo. Wszystkie opcje nas odwiedzały.

Kierowniczkę sklepu mięsnego?

A, to pewno, że tak. To właśnie kierowniczkę sklepu mięsnego z ulicy Poznańskiej o trzeciej nad ranem potrafiła do mnie zadzwonić: "Tej! Właśnie mam gości i oni nie wierzą, że cię znam! Powiedz im jedno słowo!!!". Jedyne, co mogłem powiedzieć, to: Kurwa mać, bardzo się cieszę, że mnie obudziłaś! Ale ona wcale nie miała mi tych słów za złe, bo przecież tak czy inaczej potwierdziłem, że ją znam.

Najlepsza była pani, która przychodziła ze Spółdzielni Inwalidów sprzątać do "Teya". Ona miała zawsze najświeższe zaopatrzenie. Mówiła: "Jak się w »Teyu« pracuje, to się ma!". Mogła wszystko załatwić! Jakieś golonki peklowane, szynki w słoikach - rzeczy, których nigdzie na świecie nie widziałem. Wystarczyło, że dwa bilety na "Teya" dała komu trzeba i wszystko było. I to do niej przychodzili ludzie: "Wujek z Gdańska przyjedzie, czy można załatwić dwa bilety?". A ona pytała: "Dobrze, ale co wy produkujecie?". I wszystko jej załatwiali. Jeszcze był taki fajny kierownik "Teya" z ramienia Estrady, Kazimierz

Chmielewski. Jak się jemu nie podpadło, to można było dużo rzeczy mieć. Tam był normalny odbiór towaru. Zamawiało się na przykład dwa kilogramy polędwicy - i było dwa kilo.

Wiesz, co się dzieje teraz z tymi ludźmi? Z Olą Jurszą, z kierownikiem Chmielewskim?

Z Olą? Nie wiem. Podobno wyszła za mąż za jakiegoś Włocha. Kazimierz Chmielewski nie żyje, następny kierownik "Teya", Jurek Banaś, pracuje w urzędzie państwowym, Janusz Michalski chyba pracuje jako techniczny w Scenie na Piętrze.

A co teraz robi Olek Gołębiowski?

Wiem tylko, że się rozwiódł i ożenił z kobietą młodszą od swojej córki. Więc co może z nią robić? Może się rozśmieszają? On cały czas pracuje w Kabarecie "Pod Spodem".

Był taki żart w programach „Teya”, który ciebie rozśmieszał?

Ja akurat jestem taki gatunek, że rzadko coś mnie rozśmiesza. Może bardziej sytuacyjny dowcip. Było kilka takich żartów, które mnie szczerze rozśmieszyły, ale tylko za pierwszym razem. Później, drugi raz, już mnie nie bawiły, nawet jak jeszcze lepiej ktoś je zrobił, to ja już się nie gotowałem.

W czasach świetności kabaretu wasze relacje towarzyskie oparte było na żartach, łagodnym dogryzaniu czy raczej wbijaniu szpilek?

Krzysztof Jaślar miał taki świetny żart. Jak ktoś przyszedł z dziewczyną i przedstawiał ją: "To moja żona", to Krzysiek zawsze mówił: "Jak to twoja żona? Przecież wczoraj byłeś z taką blondynką???" I to było świetne. Aż któregoś dnia to on pojawił się z żoną. I ktoś mu powiedział: "Jak to z rudą? Przecież wczoraj byłeś z brunetką?". I Krzysiek dostał przy całym towarzystwie w pysk. Tak się oto żona poznała na własnego męża żartach. Ona później wyprowadziła go do Warszawy, ale długo już ze sobą nie pomieszkali. Rozwiedli się.

A twoje życie uczuciowe z Laskowikiem kwitło?

Nie.

Żadnych wakacji? Wspólnych wypraw na plaże do Międzyzdrojów, urodzin, imienin? Dzieci razem się nie bawiły?

Była raz taka koncepcja. Graliśmy w Gdańsku, w Teatrze Muzycznym, a rodziny nasze były w Dębrynie koło Kościerzyny. I mało się to nie zakończyło aferą. Bo dziecko któreś rzuciło piaseczkiem. No i teraz które dziecko jest ważniejsze. Które może sypać, a które nie. Żona pana Zenka narobiła rabanu: "Te chamy Smolenie!!!" i "Masz z tym zaraz zrobić porządek!".

W jakim wieku były wasze dzieci?

Zenka dziewczynka była rówieśniczką Piotra¹⁰.

Wiesz, ja myślałam, że mogliście tak mocno istnieć na scenie dlatego, że byliście

w wielkiej przyjaźni.

Myśmy mnóstwo czasu spędzali razem. Od rana do późnych godzin wieczornych coś tam niby robiliśmy. Bo te próby czasem były bardziej towarzyskie niż ćwiczebne. Ale żeby zaraz jakieś kumpelskie układy, to nie. Teksty powstawały przecież na scenie, na próbach... to trwało...

A miałeś jakiegoś przyjaciela? Takiego prawdziwego?

Raczej nie. Dobry kolega, to tak. Ale przyjaźń? Nie. Przyjaźń jest nad koleżeństwem. To nie jest częste. Wtedy może z Hubertem Szymczyńskim? Później to z Andrzejem Zaorskim już prawie przyjaźń była. Dość długo razem graliśmy. On miał tak szalone dowcipy, że mnie się to we łbie nie mieściło:”Kiedyś w teatrze była taka para, ani się ona nie umywała do niego, ani od do niej. Po prostu - zwąchali się”.

Jak się tylko dowiedziałem, że miał wylew, od razu telefon do jego żony: Ewa, zaufaj mi. Nie ma przyjechać tu do mnie do domu pić, tylko odpocząć”. I przyjechał do Baranówka. Był dwa tygodnie.

Odwiedzały was w kabarecie rodziny?

Żona pana Zenka była fanką”Teya”, a przede wszystkim swojego męża. Bywała bardzo często. I na próbach, i na przedstawieniach. Kiedyś staliśmy z Zenkiem na scenie, a ona mówi do mojej Teresy:”Zenek z każdym może zagrać, nawet jakby mu palmę w doniczkę postawili na scenie, to będzie świetny”.

A jak na przykład przyjeżdżali do nas goście, to było oczywiste, że przyjdą do”Teya”. Bo Zenka czy mnie wieczorem nie ma w domu. To gdzie iść? Do kabaretu.

Teresa z dziećmi też odwiedzała cię w pracy?

Tak. Jak mieliśmy próby, a ona szła na spacer z dziećmi, to zachodziła. A jak już miała sklep, to nie - wiadomo, było mnóstwo pracy. Wtedy dzieci miały opiekunkę.

Wielkim bonusem pracy w”Teyu” było towarzyszenie Laskowikowi w tournée po USA. Wyjazdy do Stanów były czystą magią. Przez sześć tygodni zarabiał się tyle, ile przez rok w Polsce¹¹. Impresario - Jan Wojewódka - przyjeżdżał do Polski ustalać skład”kompilatów”, czyli grup eksportowych składających się z piosenkarek, konferansjera i aktorów. Pan Frajtał opowiadał mi taką anegdotkę: pił kiedyś z panem Wojewódką i przekonywał go, kogo ten powinien zaprosić do Stanów. A Jan Wojewódka odpowiadał:”Słuchaj, ja mogę zaprosić całą Orkiestrę Symfoniczną, całą Operę! Pod warunkiem żeby nie były więcej niż trzy osoby”.

Zostałeś zabrany w trasę do Stanów Zjednoczonych przez Laskowika w 1978 roku. Czy towarzyszyły temu wydarzeniu jakieś szczególne okoliczności?

Przeżycie było, jasne. Paszporty dostawaliśmy w Biurze Paszportów w Komendzie

Wojewódzkiej, na Kochanowskiego. I tam też po powrocie trzeba było w ciągu dwudziestu czterech godzin oddać paszport. Pamiętam - ale to było dużo później, po powrocie w 1987 - że poszedłem oddać paszport, a pan się pyta: "I co tam ciekawego widzieliście?". Wtedy w 1988 roku miała być olimpiada zimowa w Calgary. No i odpowiadam, że słyszałem, że Polonia chce napisać pod skocznią czerwonym sprayem "Solidarność" i to będzie widać we wszystkich telewizorach. A pan mówi: "O, to ciekawe". I zapisał sobie. Więc jak pójde kiedyś do IPN-u przeczytać swoje *dossier* i jak będzie o tym napisie "Solidarność", to będę wiedział, którego dnia to było¹².

Te paszporty były służbowe, załatwiał je PAGART. I gość z PAGART-u z nami zawsze jechał i pilnował nas. On nie mówił, że nas pilnuje, a my o nic go nie pytaliśmy. PAGART to była taka firma ponad Estradami, zajmowali się obsługą "na eksport" polskich wykonawców.

Był taki znajomy mojego ojca, Wojtek Furman. On jeździł z zespołem "Mazowsze", ze "Śląskiem". To był główny ekspert od tras wyjazdowych po Stanach i Kanadzie. Odbierał nam wszystkie książki czy wydawnictwa, jakie dostawaliśmy za granicą.

Z moim starym paszportem była taka ciekawa historia. Niedawno zgłosiła się do mnie policja, że gdzieś w czasie jakiegoś przeszukania, bodajże w Kaliszu, znaleźli ten mój stary dokument. Mówię im, że to musiał jakiś milicjant ukraść, bo paszporty służbowe oddawało się w ciągu dwudziestu czterech godzin do biura. A oni nawet nie wiedzieli, że takie rzeczy były kiedyś. Młódzież!

Nie dziwiło cię to, że pozwalano wam jeździć po świecie?

Woleli nas wypuszczać, żeby pokazać, że komuna jest elastyczna, i proszę, wypuszcza nawet takich ludzi. Śmieszne, bo woleli nas wysyłać do Stanów, niż pozwalać nam na występy w kraju, w innych miejscach niż kabaret "Tey". Bo byśmy może coś mieli zdziałać - nie wiadomo co. Było mi żal tych milicjantów od paszportów. Mogli dać, mogli nie dać, ale sami nigdzie nie mogli jechać. Byli panami paszportów, ale nie swoich.

Po pierwszym tournée po Stanach zostałeś bardzo bogatym człowiekiem?

Jakim bogatym? Pan Wojewódka był strasznie oszczędny. Nie płacił takich sum, jakie teraz się dostaje. Wyjeżdżaliśmy na sześć tygodni. Najpierw musiałem pożyczyć pieniądze na tę trasę. Jako zwrot długu przywiozłem Hubertowi Szymczyńskiemu pianino. Zwróciłem dług i zęby w ścianę. A byłem przecież w Ameryce. Całe szczęście, że miałem walizkę z prezentami dla dzieci. Jakieś ubranka, zabawki.

Po przekroczeniu granicy trzeba było powiedzieć celnikowi, ile się ma pieniędzy. I wypełniało się deklarację walutową. A później się szło do banku z tą deklaracją i można

było dewizy na bony zamienić albo sprzedać. Dolary na bony - jeden do jeden się dostawało.

Bardzo to typowe dla logiki PRL-u. Wymieniałeś dolary na bony, którymi płaciłeś w polskim sklepie za polskie towary.

No tak, ale nigdzie indziej nie można było kupić piżamy dla żony, dresu dla mnie i gorzały.

Z kim na tym pierwszym wyjeździe byliście?

Wtedy jechał Maniek Załucki, pani Irena Kwiatkowska, Irena Santor, Jerzy Połomski. Po koncercie najpierw trzeba było dotrzeć do hotelu, "rozwiązać" grupę i dopiero wtedy mogli po nas przyjeżdżać miejscowi. Trudne czasy to były. Ci ludzie, którzy nas zapraszali, byli przekonani, że my mamy organizmy z gąbki i że możemy każdą ilość wódki przyjąć. A my na drugi dzień jeszcze musieliśmy wystąpić. To była tragedia: ja tę Amerykę to widziałem z perspektywy kieliszków i lodówek."Jedźcie, bo tego nie macie w domu!"

Rozumiem, że to było tak: sezon teatralny kończy się w czerwcu i zaczynają się wakacje. I wtedy mogliście jechać do Stanów na tournée?

No nie, do Stanów jeździliśmy różnie.

To co robił "Tey", kiedy byliście w Stanach?

Nic. Nie grało się wtedy.

O, to koledzy nie byli zadowoleni, jak jechaliście, bo nie mieli sztuki.

To były wyższe sprawy. Zenek rządził wszystkim. Lataliśmy do tej Ameryki chyba szesnaście razy.

Powiedzmy sobie szczerze: taki wyjazd za granicę to była nagroda za lojalność. Czuleś zniewolenie? Że jesteś na pasku? Że pozwalają wam na to, na co mają ochotę? Że jesteście gwizdkiem, który ma upuszczać parę? A jak was zamkną? Nie będzie roboty, nie będzie nic?

Myśmy mieli to szczęście, że bilety były dużo wcześniej sprzedawane, a wyjazdy do Stanów to nawet pół roku wcześniej były uzgadniane. Więc jakby nas zablokowali, to byłby straszny smród wokół tego. Pan Wojewódka musiał pół roku wcześniej dzierżawić sale, przygotowywać transport, całą trasę. Więc by pozabijał tych z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jakby nas przymknęli czy zablokowali. Zresztą jakby mieli nas za żarty karać, to za co resztę? Za jakąś działalność - kara śmierci?

Nie zastanawiałem się i nie słyszałem dyskusji na temat tego, czy jesteśmy nagradzani za lojalność. Ekonomicznie to był raj, więc pytań nie było.

Na wyjazdach Wojciech Furman był odpowiedzialny za całą grupę. Za to, żeby nikt nie został. U mnie miał zapewnienie, że ja zawsze wrócę, bo miałem dzieci. I z nim

klóciliśmy się o słówka.

Było takie coś:”To co wyście tam powiedzieli? Boisz się, jakbyś był w Chile?”. A myśmy specjalnie o tym Chile mówili, bo wtedy to tam się działo, Pinochet, junta.”Co ty, Wojtuś, ty już jesteś głuchy? W PILE mówimy, w Pile!”. Nie wiem, czy Wojewódka też taśmy nagrywał czy nie.”Tylko na drugi raz tak niewyraźnie nie mówcie!”.

Albo jak pisałem na plecach Zenka list do babci. To był taki krótki numer:”Kochana babciu, piszę do ciebie powoli, bo wiem, że i ty wolno czytasz”. W tym kawałku mogłem zawsze coś aktualnego powiedzieć, co działo się na trasie, jakieś nazwisko organizatora wpleść i to się bardzo ludziom podobało. Ale to był tekst niezgłoszony do cenzury. Bo było tak, że przed wyjazdem odbywał się taki koncert w Warszawie, na którym występowali wszyscy ci, którzy mieli lecieć. I to był koncert tylko dla cenzury, w trakcie którego program był dopuszczany do eksploatacji.

Czyli cały zespół występował przed cenzorem?

Tak, i przed kimś z ministerstwa, pewnie z Komitetu też. Wąska grupa na widowni. Zawsze się wkurwialiśmy, że skoro możemy mieć całą Kongresową, to po co mamy grać przed siedmioma osobami i patrzeć, jak oni śpią? Bo któryś raz w roku musieli słuchać, jak Santor śpiewa te same piosenki, Krawczyk te same.

Na zakończenie było mówione:”Tego żartu nie ma, tego żartu nie ma. Koniec. Krawczyk w porządku - może śpiewać”. A później musiał być na to papier.

A co, jeśli wykonaliście numer, który nie był dopuszczony?

To teoretycznie mógłby pan Wojewódka mieć nieprzyjemności, gdyby to było polityczne, antypaństwowe. Ale w niczym interesie nie leżało przemycanie jakichś niecenzuralnych tekstów.

Kim był Jan Wojewódka?

W czasie wojny on i jego koledzy założyli w Anglii zespół”Wesoła Czwórka Lotników”. Byli w Dywizjonie 300. Ale raczej w obsłudze naziemnej. Sam Wojewódka raz chyba tylko leciał na jakiś lot ćwiczebny. Śpiewali, występowali przed polskimi żołnierzami w Anglii, w Kanadzie. A po wojnie grali w składzie: Świtaj, Zieniewicz, Wojewódka i Lebioda. Później, już w Stanach, Jan Wojewódka razem z tymi kumplami rozkręcił taki interes impresaryjny, ściągali artystów. Najpierw z Kanady, Stanów, a później też z Polski. Pierwszy był chyba teatrzyk”Wagabunda”, w którym zresztą występował Marian Załuski, później piosenkarki i piosenkarze. Irena Santor, Mieczysław Fogg,”Śląsk”,”Mazowsze”, estradowcy, a nawet teatry z Polski.

Znalazłam program z jakiegoś waszego wyjazdu do Stanów: Lucjan Kydryński

prowadzi konferansjerkę, później Stenia Kozłowska śpiewa piosenkę, następnie Piotr Szczepanik śpiewa piosenkę, potem znowu Lena Brudzińska śpiewa. Później wychodzą z Laskowikiem ze skeczem, a potem znowu piosenka.

No, jak był Kydryński, to on prowadził konferansjerkę. A jak nie, to my prowadziliśmy. To była poszerzona konferansjerka. Skecz dość długi i puenta naciągana, żeby jakoś nawiązać do piosenki albo do nazwiska tej pani, co ma wejść i śpiewać.

Panie śpiewające były w wieku, że tak powiem, słusznym. Raczej nie młodzież?

Ale to już nie nasza wina. Pan Wojewódka decydował, że to ma być *Podwieczorek przy mikrofonie*. Te wszystkie panie były z *Podwieczorku*. Polonia przychodziła tylko na takich, których znała. Im więcej ich było, tym lepiej się sprzedawał program. Dowcipy też musiały być bardziej uniwersalne, bo to, co się aktualnie działo w Polsce, ich nie interesowało, bo tego nie znali.

Wyplaty za trasy były w dolarach. Za trasę sześciotygodniową dostałem na początku koło trzystu pięćdziesięciu dolarów. Ale ile pan Zenon dostawał, nie wiem, bo to Wojewódka dysponował. Miał taki fajny zwyczaj, że potrafił powiedzieć: "Byłeś dobry, masz tu jeszcze dwieście". Myśmy nie liczyli, ile zarabiał na tych trasach. A dostawał, kurwa, niewyobrażalne dla nas wtedy pieniądze! Pełne sale, po tysiąc osób, bilet od piętnastu do trzydziestu dolarów - zależy, na którą godzinę spektakl. Był niesamowicie skąpy. Nawet nam obiadu czy kolacji nie kupował.

Ale jednak był dobroczyńcą dla polskich artystów.

No tak. Mówił: "Jeszcze raz mi podskoczysz, to dostaniesz na bilet powrotny pieniądze". Jeździliśmy z Estradą Poznańską. Dużą ekipą: "Alex Band", Krzysztof Krawczyk, Urszula Sipińska i my, jako "Koledzy z Poznania". Byliśmy w New Britain. Jest tam znakomity polski rzeźnik - Nożewski. Przygotował całą walizkę wędlin dla Wojewódki. I myśmy te wędliny schowali Sipińskiej pod fotel w autobusie. Jaka to była afera! Poszukiwania tej walizki. A jak się znalazła, Wojewódka zrobił straszną scenę: "Ty głodomorze! To ja ci płacę, a ty mi kradniesz wędliny!".

W tym New Britain jest dużo Polonii?

To było prawie jak polskie miasteczko. Oni na to mówili Niu Britkowo.

Różne rzeczy robiliśmy wtedy. Krawczyka żoną była Halinka Żytkowiak. Była taka uknuta sprawa: wszyscy wtajemniczeni się składali i dawaliśmy w kopercie pieniądze Krawczykowi - później do zwrotu. Więc zawsze liczył te pieniądze tak, żeby Sipińska widziała. Sto, dwieście, trzysta: "A, Halinko, masz, to dla ciebie, wydaj sobie na kosmetyki". I Sipińska dostawała wściekizny: "Ten refrenista dostaje takie pieniądze, a ja????". Ona była

wtedy z Jurkiem Kurkiem. Mówiła do niego "Zorzyk" i tak mu się żaliła. A Krawczyk nam po cichu oddawał te pieniądze.

Ale nikogo nie oszczędzaliśmy. Kiedyś po koncercie za kulisy wchodzi pani, starsza. Po autograf do pana Krawczyka. To myśmy ją poprosili, żeby dała mu jeszcze taką kopertę. A na tej kopercie napisaliśmy: "Kochany Pan Kristof Krowczyk, polski Tom Jones". No i wręczyła mu to. A w kopercie jakieś sto złotych. I ona miała powiedzieć, że "Tu za podpisanie tej płyty jest od Polonii darowizna dla pana". I wtedy Krawiec się wściekł: "Co ona myśli, że to są pieniądze?!!!".

Kiedyś, chyba w Detroit, bardzo się chciał z nami napić taki pan - Wojtek, prawa ręka Furmana. Ale nam z Zenkiem nie pasował jako towarzystwo do wódki. A byliśmy zaproszeni do jakiegoś mojego kolegi ze studiów. Więc kluczyliśmy po całym Detroit, żeby pana Wojtka zgubić. Dotarliśmy na miejsce, balanga straszna: morze wódki, świetne polskie jedzenie. Zabawa trwała w najlepsze i gdzieś po północy ten mój kolega mówi: "Słuchajcie, tu zaraz u sąsiada są goście z Polski, też mają imprezę. Może ich zaprosić?". No to mówimy: "Jasne!". I kto oczywiście wchodzi? Ten nieszczęsny Wojtek W.

Zarabialiście wszyscy pieniądze jak mróweczki. Grzecznie, bez szemrania. Jazda w trasę na sześć tygodni, żadnego wydawania na uciechy, wszystko do skarpetki. Znani i lubiani jadą zarobić parę dolarów.

Pamiętam, jak kiedyś przed odlotem do Polski na lotnisku w Nowym Jorku zażyłem kilka piw i naszły mnie takie refleksje: "Boże, te dwie ciężkie walizy, to rodzina, znajomi. A sobie nic nie kupiłem!". I poszedłem, w tym stanie rozżalenia, do sklepu na lotnisku i jak głupi kupiłem sobie najdroższą zapalniczkę gazową. Jakąś taką, że chyba nawet pod wodą można było sobie nią papierosa zapalić. Kosztowała osiemdziesiąt dolarów. Bez sensu. Kiedy wróciłem do domu, zepsuło ją któreś dzieciątko. Po pstryknięciu wyłamała się końcówka. No i tyle miałem. Zawsze Marian Załucki powtarzał mi, że najdroższa na świecie jest wdzięczność: "Pamiętaj, jak kupujesz coś dla siebie, to dolar kosztuje mniej niż złotówka, a jak dla kogoś, to milion. Tak sobie przeliczaj". Oczywiście, że fajnie jest przywieźć komuś jakąś pamiątkę, ale to wszystko ma być w jakichś normalnych granicach. Nie może być tak, że wleciesz walizy na podtrzymanie braterstwa. Czasami było mnóstwo zamówień: sweter, kurtka, później komputery. "Jak będziesz w Stanach, to kup mi, to żaden problem tam, a tu nie ma..."

Ale za to jak gorąco was tu wyczekiwano! Ja wypatrywano powrotu!

Najgorszą przygodę nam zafundował kiedyś LOT. Zamiast wylądować w Warszawie, gdzie czekał na nas autokar Estrady i przed powrotem do domu mieliśmy jeszcze co najmniej

pięć godzin na przemyślenia i obudzenie się, to samolot wylądował w Poznaniu. I rodziny zobaczyły zwłoki wszystkich artystów. Wychodziliśmy z tego samolotu wymięci, opuchnięci. A ci z Warszawy, co się cieszyli, że za chwilę będą w domu, że już będą obejmować swoje kobiety, musieli jeszcze czekać.

Ale to była nasza tragedia, poznańska. Nasze żony zobaczyły, z jakim sukcesem wracamy.

Praca w zespole wymaga szczególnych predyspozycji, odpowiedzialności za wszystkich?

Solidarność czy braterstwo między wykonawcami i publicznością jest ponad wszystkim, ponad codziennością. Pamiętam moją żonę ciężko płaczącą, kiedy jej tłumaczyłem, że nie pojedziemy jutro na wczasy, chociaż te wczasy były zaplanowane parę miesięcy wcześniej, bo muszę jechać na jeszcze dwa koncerty. I to koncerty w takim miejscu, że trudno nawet na mapie znaleźć. A ja musiałem, bo nie mogłem pozbawiać pracy całego zespołu. A na wczasy wybraliśmy się trochę później.

Tu już wkraczamy w obszar etyki zawodowej chyba. Jaka jest zależność od zespołu, od publiczności, od organizatora? I jakie są powinności?

Widz jest w tym wszystkim najbiedniejszy, bo wszystko dzieje się poza nim. Ale to on cierpi, bo jeśli będą jakieś przepychanki między artystami, organizatorami, to albo koncert się nie odbędzie, albo widz zobaczy jakąś chałę na siłę. Jest wieczny problem między organizatorami a wykonawcami. Warunki koncertu, dotrzymanie umowy i pieniądze. Była taka pani, organizatorka koncertów, która ciągle uciekała z pieniędzmi. Zebrała pieniądze za bilety i zniknęła. No i teraz: bilety są sprzedane, publiczność jest i co mam zrobić? Mam zagrać czy nie zagrać? Było wielokrotnie tak, że występowałem, wiedząc, że gram za darmo. Tylko najpierw musiałem jeszcze policzyć, czy stać mnie na opłacenie zespołu. Bo zespołu to nie interesowało, że ona uciekła z pieniędzmi. Skoro ja decyduję, że gramy, to mam im zapłacić. I drobiazg: jak odwołam koncert, to co ludzie zapamiętają? Że to Smoleń odwołał koncert, nie zespół czy organizator. I skąd pieniądze, żeby zwrócić za bilety?

Jak to? Nie szukałeś jej później? Nie egzekwowałeś tych pieniędzy?

Wiesz, co się później słyszy?"Byłam w trudnej sytuacji materialnej, musiałam mieć te pieniądze". To pytam:"Nie mogłaś mi powiedzieć? Chociaż zwrócić za paliwo i powiedzieć: »Dziękuję ci bardzo, że mi pomogłeś«, a nie - uciekać, robić ze mnie idiotę". Tej pani sporo osób wytoczyło procesy. To są sprawy, o których widownia nie musi wiedzieć. Niech publiczność myśli, że ci artyści to są szczęśliwi ludzie.

Tacy starzy, doświadczeni wykonawcy wiedzą kto i gdzie oszukuje. I w Polsce, i za

granicą. Możemy sobie powiedzieć: Mnie przewalił już trzy razy. A mnie cztery.

W Stanach Zjednoczonych był taki organizator, który miał zawsze problemy z rozliczeniami...

Tak, on Pietrzaka oszukał, Eleni, Rudiego Schubertha, mnie przewalił na duże pieniądze. Do dziś się nie rozliczył na czysto.

To dlaczego do niego nadal jeździliście?! Skoro to nie był epizod, tylko jego norma?

Bo jeden wykonawca drugiego nie ostrzega. Jesteśmy takim narodem, który nie lubi się chwalić swoimi przegranymi. Albo jeden myśli, że inni są naiwni, ale jemu się uda. Wyglądało to tak, że kończy się spektakl, widzę, że było dużo ludzi na widowni, przychodzi żona organizatora i mówi: "Gdzie jest mój mąż? Miał wam wypłacić pieniądze, nie widzieliście go? Szedł przecież do was". A my oczywiście go nie widzieliśmy. Pora już jest, że trzeba jechać do hotelu, mamy bilety powrotne do Polski, a ona nadal: "Nie ma go, nie wiem, gdzie jest". Wracasz do Polski i co? Nic.

A jak odzyskać pieniądze?

Jak masz mocne nazwisko, takie, które przyciągnie publiczność, to czekasz, żeby ten organizator znowu się do ciebie odezwał, że zorganizuje ci koncert. Wtedy mówisz: "Najpierw oddaj mi moje tysiąc pięćset dolarów za koncert!". I on grzecznie wyciąga z kieszeni i jeszcze przeprasza, że wtedy się zgubił. Bo chce znowu zarobić i wie, że inaczej tego nie rozegra. Wtedy mówisz mu: "Tym razem płacisz z góry, a ja ci obiecuję, że nie wyjadę przed końcem trasy".

To znowu organizator ryzykuje.

Tak. Artysta może się na przykład napić za dużo i nie wystąpić. I to jest klęska organizatora. Kiedyś Wojewódce na trasie za dużo osób ze "Śląska" uciekło, kiedyś znowuż zginęły bagaże wszystkie. I wtedy to on miał problemy.

Nie znam tej historii.

To było chyba w 1960, sporo młodzieży zostało w Stanach Zjednoczonych. Była afera straszna, ale o tym się w Polsce w ogóle nie mówiło. Potem "Śląsk" nie mógł wyjeżdżać przez parę lat, tylko do Mongolii, Rumunii czy do ZSRR jeździli. Do Stanów chyba z piętnaście lat nie wyruszyli. Myśmy wiedzieli o tej historii, bo przecież tam pracowała ciotka Bobi.

Koniec dywagacji finansowych, mieliśmy rozmawiać o "Teyu"! Premiera twojego drugiego programu 11 lutego 1980 roku: Na granicy. Bilet kosztował już dwieście pięćdziesiąt złotych. Było to też grane w wersji estradowej pod tytułem Szlaban. Na plakacie z lutego 1980 oprócz was: Rudi Schuberth, w rolach dziewcząt barowych Hanna Banaszak i Ewa Bem. Występował też Zbigniew Wodecki i "Alex Band". Jako tancerki grupa "Dziwex".

Scenografia Andrzeja Mleczki. A reżyseria? Marek Wilecki? Kto to jest Marek Wilecki?

To był wicedyrektor Estrady. Był wpisany, żeby kasę mieć. Nie miał z tym nic wspólnego. Przychodził do "Teya" chyba tylko, jak był pijany.

To była decyzja Estrady, miał o to pretensje Zenek. Ale czy musiał się na to zgodzić, bo inaczej by nie było programu, czy jak to było - to nie wiem. Wszystkie sprawy były załatwiane przez samego Zenka. Mnie przy tym nie było.

Na scenie obśmiewaliście szarą rzeczywistość, która nie była waszym udziałem. Te problemy z kupnem mięsa, z załatwieniem czegokolwiek czy z wyjazdem za granicę was nie dotyczyły absolutnie.

To było kłamstwo w żywe oczy, do czego się przyznaję.

Z jednej strony naród się ma śmiać i dzięki temu się odpręży, a z drugiej władza może się cieszyć, że jest taka tolerancyjna, że u nas jest taka wolność słowa, że pozwala się nawet z siebie śmiać.

Tak, byliśmy takim łącznikiem między narodem a władzą. Wentylem dla jednych i drugich. Zenek był Wielkopolska, ja byłem Małopolska. On był władzą, a ja byłem uciśnionym narodem. Tak to było przedstawione.

Teraz w swoich wspomnieniach wszyscy, którzy występowali w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, są cichymi bohaterami. Byli uciśnieni, w głębokiej opozycji, dzielni i odważni. Ale ja wiem, że dostawali mieszkania, że jeździli do Ameryki na tournée, że mieli samochody. To były dowody uznania przez władzę dla ich niecenzuralnej odwagi? Chyba nie...

Trzeba to powiedzieć: nic z tego, co było na scenie, w radiu, nie było robione bez wiedzy władzy. Nie należy teraz zaprzeczać temu, że się w dni świąt partyjnych grało najwięcej kabaretów. 1 Maja czy 22 Lipca to były bardzo potrzebne dni. Grało się wtedy mnóstwo. I nawet gdyby teraz chciało się o tym zapomnieć... to i ja, i Janusz Rewiński, Jan Pietrzak, Marcin Wolski, Zenon Laskowik, koledzy z Wrocławia - wszyscy wiedzieli, co i dla kogo robili.

Z moich rozmów z ludźmi działającymi w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wynika, że wielu z nich miało kontakty z PZPR, z SB. Nie tylko jako uczestnicy czy pracownicy, ale na przykład członkowie ich rodzin byli działaczami.

To jest oczywiste, że nikt z nas nie żył w oderwaniu od rzeczywistości. Wszyscy na studiach byli w ZSP, nie było dyskusji, czy chcesz czy nie. Ja sam byłem za czasów krakowskich przez rok w PZPR. Nawet zdążyłem wnioskować o wywalenie dwóch kolegów z partii, bo im zależało, żeby jakoś z tego wyskoczyć. Złożyłem podanie, żeby ich wykluczyć,

bo są niepoważni. Teraz oni jakoś się do tego nie przyznają. A mnie wywalili za chwilę, za niepłacenie składki.

Słyszałam, że na przykład Jan Pietrzak miał przyjaciela, który był sekretarzem Edwarda Gierka i stąd Pietrzak miał świetne źródło żartów.

Może i tak było? To możliwe. Moja siostra pracowała jako sekretarka w Komitecie Wojewódzkim w Bielsku. I co mam zrobić?

To, gdzie pracowała czyjaś żona, ojciec czy stryj, to zupełnie inna historia. Nie chcę się tym interesować ani o tym opowiadać.

Ale wasi widzowie, słuchacze brali za pewnik, że jesteście działaczami opozycji. Jakoś im się to nie klóciło, że widzą was w TVP. Jakoś nie budziło wątpliwości, że na występ trzeba kupić bilet do Sali Kongresowej, a nie że muszą słuchać was w salce przykościelnej, gdzie pot się skraplał na suficie. Publiczność wykreowała was na bohaterów - dokładnie tak, jak tego chciała władza.

Nigdy nie wymyślałem nic na swój temat, że jestem jakimś działaczem. Myśmy nie byli w żadnej organizacji - ani partyjnej, ani opozycyjnej, po prostu występowaliśmy na scenie, a ludzie po obu stronach mieli telewizory. I po obydwu tak samo lubili to oglądać. Jak były ostatnie strajki przed 1989 w Gdańsku, grałem tam *Wykopaliska*. Pamiętam, stałem na chodniku i patrzyłem na ten tłum. Pierwszy szedł Wałęsa, potem Gwiazda, Walentynowicz, ksiądz Jankowski. I tłum zaczął skandować: "Boguś z nami, Boguś z nami!". A ZOMO na chodniku: "Boguś nie idź, Boguś nie idź!".

I pierwszy raz wtedy uciekałem do hotelu. Bo obojętne, co zrobię, to narażę się silnej grupie. I co zrobię, to zrobię źle. Gdyby to był bieg na czas, to na pewno byłbym w pierwszej trójce.

Nigdy znikąd nie uciekałem. A wtedy uciekłem.

Zenon Laskowik i ty mówiliście to, o czym ludzie między sobą szeptali w domach, ale wy głośno, ze sceny.

Ale nie mieliśmy żadnych ideologii do tego! Chcieliśmy, żeby ludzie się roześmieli, żeby zadowoleni wyszli z naszego programu. Dookoła bieda, szaro, smutno, więc skoro kupili bilet, to niech dostaną dowcipy najwyższej jakości.

Musieliśmy im dać dobry żart, żeby miał warstwowość, tak żeby widz śmiał się z tego dzisiaj, a potem pomyślał i żeby za jakiś czas mu wyszło, że mi o coś jeszcze chodziło w tym żarcie.

Te teksty przeniesione na taśmie trzymały przy życiu wielu ludzi z Polonii. Oni tam też nie mieli pracy, nie mieli, kurczę blade, pieniędzy, nie mieli co zjeść, gdzie spać. Te taśmy

to była bateria, która dawała im siłę na następny dzień, że można jeszcze poczekać. A nie wymyślać jakies głupoty, że cegłę weźmie i pierdalnie gdzieś albo weźmie pistolet i zacznie strzelać.

Wracamy do "Teya". Scenografia Na granicy była dość zaawansowana technicznie.

Tam była taka scena, że przychodzimy z baru ze szklankami z płynem. I to było mistrzostwo świata pana Zenka. Pojawiał się z kieliszkiem, stawał pod takim dachem skośnym. Wojtek Michalski, który był od dekoracji i wszelkich eksperymentów na scenie, zamontował na dachu rurę, do której wrzucał piłeczkę pingpongową. Zenek się nauczył trzymać kieliszek w jednym miejscu i ta piłeczka zawsze wpadała z dachu prosto do kieliszka.

Z tego programu pochodzi dialog o ciemności. To tekst z twojego scenariusza:

L: Ciemno, co? Możemy teraz spokojnie zmienić nazwę z kabaretu na piwnicę.

S: Tylko pod czym?

L: No pod Plastgumem! Co będziemy teraz robić?

S: Będziemy mówić w ciemno!

L: Nie! Trzeba ludziom jeszcze raz od początku wytłumaczyć. To znaczy ostateczną wersję. Tłumacz się!

S: Sąd założył! Znalazł sobie oskarżonego, prokurator jeden!

L: Tak, ty jesteś oskarżony, a my wszyscy jesteśmy świadkami procesu rozwoju!

S: To ja poproszę o łagodny wymiar kary!

L: Obojętne, co powiesz, i tak dożywocie. Albo inaczej, zagrajmy sobie raz w otwarte karty.

S: To też się nie da, bo w tej talii nie ma winnych!

L: Chodzi o to, żeby ludziom to jednak wyjaśnić. Na przykład: dawno, dawno temu, jeszcze przed narodzeniem Mieszka I, byliśmy dzikim ludem, to jest Poganiami...

S: Poganami.

L: Przepraszam, przecież to teraz jesteśmy poganiami. Chodzi mi o to, że byliśmy takie zabobony.

S: I teraz też za bony...

L: Nie przerywaj procesu historii. I nic się nie działo, aż nagle ludzie zaczęli gadać, że się znalazł niejaki Mieszko, syn kolejarza i szwaczki.

S: Ty jak tą historię czytałeś, to ci się chyba kartki posklejały. Mieszko się nazywał pierwszy, a potem był Bolesław.

L: Ja robię skróty, żeby zdążyć, bo jak światło zapalą, to będziemy nieaktualni. I ten Mieszko I był kawalerem i tak mu się chciało baby, że do południa nie wyłaził z namiotu!

S: Gdzie tam do południa. Dłużej, do 15 spał.

L: Co ty gadasz? Do południa, bo potem pojechał na południe i spotkał Dąbrówkę.

S: Córkę ślusarza i kelnerki z baru "Skoda".

L: Tego nie wiedziałem!

S: Bo to raz piszą, a raz nie.

L: I się z nią ożenił. Ona mu dała kielich wysadzany kamieniami, a on jej za to...

S: Oj, dał jej za to, dał. I wtedy założył państwo Polam i wszystko było jasne.

L: Ale masy były ciemne.

S: W Egipcie to było inaczej! W Egipcie w tym czasie masy były ciemne, ale umysły były jasne! W tym czasie rządził Ramzes i on miał brata...

L: Który nazywał się kryzys!

Rudi (jako duch): O o o o!

S: Co to?

L: Duch!

Ten tekst powstał w Warszawie. Byliśmy w Teatrze "Buffo". Na widowni Marian Załucki, Andrzej Wajda. No i wyłączyli światło i trzeba było coś mówić, bo mikrofony działały. I Zenek zaczął nawijać, a ja mu dopowiadałem.

A dużo wcześniej, jeszcze w Krakowie, było kiedyś takie wydarzenie: w Teatrze Starym występował kabaret warszawski "Stodoła" i wysiadły im mikrofony. Siedziałem na balkonie. Byłem nikomu nieznanym w Polsce artystą, a robiłem wtedy teksty Gomułki - cytaty z Gomułki jego głosem.

Na scenie stało kilku artystów i nie mogli głosu żadnego wydobyć z siebie do ludności, która zapłaciła ciężkie pieniądze i przyszła. I wtedy ja z balkonu wygłosiłem takie zdanie, że w tym roku nie będziemy elektryfikować "Stodoły". A ponieważ to Gomułka na temat elektryfikacji właśnie coś mówił, to było bardzo prawdopodobne. No i dostałem brawa do tyłu. I do dziś dnia pewnie ci ludzie pamiętają, że był taki facet, który przemawiał, tylko oni nie wiedzieli, że to ja byłem. Jeszcze młody.

Jeśli chodzi o ten cytowany ze scenariusza tekst, to on ewoluował w stronę dialogu znanego jako Historia albo Bajka, był wykonywany w Opolu i brzmiał wtedy już zupełnie inaczej:

L: Dawno, dawno temu, jeszcze tam... hen, hen...

S: To jest bajka?

L: Historia! Nie uczył się, widziałeś. Jeszcze przed narodzinami Mieszka I...

S: Kogo?

L: Pierwszego. Mieszka. E! To Mieszko już był pierwszym! Teraz się wydało... To w tych czasach byliśmy poganianymi, poganianimi, poganiani.

S: Poganami.

L: Poganami. To dziś jesteśmy poganiani... Wtedy były takie czasy, że ludzie w nic nie wierzyli.

S: Jak dzisiaj.

L: Taaaa... leżeli, byczyli się...

S: Kamienie łupali.

L: Ta... orzechów nie było...

S: Jak dzisiaj...

L: Prawie... ale to się skończyło, bo poszła plotka w naród, że gdzieś tam, hen, na południu Polski pojawił się niejaki Mieszko. Jeszcze nie był wiadomo kto to, ale jak podali życiorys w gazetach, to się okazało, że on był zaangażowany, aktywny, energiczny. Działacz już był! Taki syn kolejarza i szwaczki.

S: Ty jak tę historię czytałeś, to chyba ci się kartki posklejały.

L: No, bo co?

S: No bo Mieszko był pierwszy, a potem był Bolesław!

L: Przestań, na skróty jadę! Do Oświecenia trzeba dojechać. Średniowiecze przeżywamy.

S: No to Odrodzenia nie będzie?

L: Nie wiadomo. I Mieszko był kawalerem. Jurny taki, chodził nagrpany, napalony. Dużo szczawiu jadł.

S: Koło Nowej Huty mieszkał...

L: A baby mu się chciało! Ludzie, jak mu się baby chciało!

S: Taki babiarz.

L: Kto?

S: Babiarz.

L: Taaaaa... leżał sobie w hałasie do 12.

S: W szalście.

L: Jak nie wiesz, to mi nie przerywaj!

S: A skąd ty wiesz, że on do 12 spał?

L: Nieważne, od 7 do 15. Leżał sobie, w hałasie.

S: A przecież oni zegarków nie mieli!

L: A skąd ty wiesz?! Historyk sztuki się znalazł, masz... Taka Stasia już prawie!

Leżał sobie w hałasie... Bodziu, to nie można tak argumentować: mieli zegarki czy nie mieli. Nie wiadomo! Nie wykopali żadnego, nie wiadomo, może mieli!

S: Ale oni nie mieli zegarków!

L: No ja go zabiję zaraz... A dlaczego nie mieli?

S: Bo u komunii nie byli.

L: No i jak się teraz czują ci, co zegarki mają? No jak się czują, powiedz????!!

S: Komuniści...

L: Aaaaa, zgadza się, bo oni chrztu nie mieli... I Mieszko pojechał do Czech. We trzech.

S: Dużo ich tam pojechało... wybierają się z rewizytą...

L: Nie, nie, nie! Proszę państwa, ja nie o tym! On pojechał do Czech i wew Czechach spotkał miłość swojego życia, Dąbrówka jej było.

S: Córka górnika i kelnerki z baru "Skoda".

L: Tego nie wiedziałem.

S: A bo to raz piszą, a raz nie.

L: Młodzi jak to młodzi. Skumali się od razu. Zakochali się od pierwszego zajrzenia. Poszli na spacer. Na tym spacerze... hmmm, hmmm, jak to opisuje Anonim, był taki. Coś tam, tego. Skręcili do lasu.

S: A ten Anonim za nimi.

L: No i tak powstała pierwsza służba leśna. Bo on napisał raport i dzięki niemu wiemy, że ona mu tam dała kielich. Ze złota. Ludzie! Ręczna robota, takie to ładne było, kamieniami wysadzane. Jako swój posag. A on jej dał...

S: Oj, dał jej za to, daaaaał... Do dzisiaj to mają.

L: Bodzio, trzymaj się faktów! Idziemy przez całe milenium, od Mieszka I do mieszka pustego, ale powoli, nie?

Co Mieszko zrobił?

S: On? Zamek odbudował.

L: A tam, pomyliło ci się z kimś innym.

S: To on założył państwo Polam i wszystko było jasne!

L: Kompromitujesz się, proszę ciebie! Jak było wszystko jasne, jak masy były ciemne? Masy były zabobony!

S: A teraz też za bony.

L: O co ci chodzi, powiedz.

S: No, bo ja chciałem opowiedzieć, jak było w Egipcie.

L: Nie ma czasu, zostaw Egipt w spokoju.

S: Ale w starożytnym Egipcie! Tam masy były ciemne, ale umysły były jasne! I oni sobie założyli kulturę starożytną. A u nas - nową żytnią, wyborową, extra...

L: Pędzoną po ciemku, z ryżu, na strychu... Bodzio... będziesz opowiadał głupoty...

S: Wtedy tam rządził Ramzes. I on miał starszego brata.

L: Nazywał się Kryzys.

S: Tak! Ten Ramzes umarł...

L: A kryzys żyje do dziś!

Kiedy powstawał pierwszy scenariusz, był suchy. Był zupełnie inny niż to, co pojawiała się później, w czasie prób. Każdy coś od siebie dokładał. Zaczynała się nowa wartość. Pan Zenek mówił: "To nieważne, kto bombki na choinkę wymyślał, trzeba było najpierw wymyślić choinkę". Więc się go pytam: "A ty wolisz jeść chleb z masłem czy suchy?". To on mi odpowiadał: "Ty se mały nie wlewaj, bo ty masz pieniądze w oczach", a ja mu na to: "A ty, kurwo, w kieszeni!". I takie były nasze rozmowy. Proste, chłopskie. Tylko że on dostawał tantiemy z ZAiKS-u za każde puszczenie programu potem.

Znalazłam stary biuletyn festiwalowy. Na XXIX Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu w czerwcu 1981 w konkursie kabaretowym "nie przyznano głównej nagrody, podkreślając tym samym, że maraton kabaretowy był jednostronny ideowo i artystycznie. Drugą nagrodę przyznano Jackowi Kaczmarowskiemu i Przemysławowi Gintrowskiemu za piosenkę Epitafium dla Wysockiego, trzecią nagrodę, trzydzieści tysięcy, przyznano Leszkowi Wójtowiczowi za Litanię. Dodatkowo zaproszony do koncertu finałowego został zespół »Wały Jagiellońskie« z piosenką Elementarz".

Za to ty zostałeś pierwszym mężczyzną w historii, który dostał tytuł Mistera Obiektywu na festiwalu opolskim.

Fotografowali mnie cały dzień na scenie. Miałem kiedyś takie zdjęcie - było w gazecie - gdzie stała koło mnie striptizerka w toplesie i podpis pod zdjęciem głosił: "Bohdan Smoleń - po lewej".

A pamiętasz kogoś z wykonawców z tego Festiwalu?

Ładny był numer wtedy, bo Maria Koterbska nie miała wejściówki na Opole i wprowadzałem ją, żeby nie musiała biletu kupować. To jest moja przyszywana ciotka z Bielska. Ona się bardzo przyjaźniła z ciocią Elwirą i szczególnie z moim tatą.

Z tego festiwalu to pamiętam Kaczmarskiego, Gintrowskiego, Banaszak...

Z Hanną Banaszak to chyba dobra znajomość.

Niestety wszyscy się znamy... Czasami się zastanawiam, że poznałem tylu ludzi, tyle

czasu spędziłem na scenie i poza nią z nimi, ale czy to miało prawdziwą wartość w życiu?

A z Hanią Banaszak graliśmy w "Teyu". Kiedy występowaliśmy w Warszawie, opowiadałem jej, że największe przygody miałem zawsze, kiedy jeździłem autostopem.

- Boguś! Nigdy stopem nie jeździłam.

- No to ci pokażę, jak to się robi.

Wzięliśmy sobie taksówkę z "Forum" i mówię:

- Jedź pan w stronę Poznania.

W końcu stajemy, machamy.

- No to teraz, Haniu, powiedz, jakim autem chcesz jechać? BMW, mercedes? Żółty, zielony? Możesz sobie wybrać.

I ona mi mówi:

- Niebieskim mercedesem.

Patrzemy, kurwa, jedzie! No więc ja go zatrzymuję. Staje... i się okazuje, że to mój sąsiad z Przeźmierowa. Tylko się bał, bo jechał z żoną, że jego żona powie mojej żonie, że ja sobie jeżdżę stopem z Hanią Banaszak po Polsce. Wziął nas do samochodu, wyjął szampana, otworzył.

To niezłych sąsiadów miałeś.

Dobrze mu się powodziło, to był wesoły facet. Z Hanią i z tą jego żoną wypiliśmy, jeszcze jakieś kanapki wyjęli, jakaś ikra była. Fantazja, pojebana zupełnie!

No i Zygmunt powiedział: "To my cię, Haniu, odwieziemy do domu, bo tak się autostopem jeździ, że się podwozi do domu". "No to chodźcie". Poszliśmy. Jeszcze jej mamusia nam kawę zrobiła. Taką mamę miała.

I później Hania opowiadała: "Autostopem? To tylko ze Smoleniem!".

Ale z sąsiadem to nie było umówione? To był przypadek?

Tak. Absolutny.

Całkiem sympatycznie sobie poczynaliście. W ogóle dużo czasu spędzaliście z kolegami i koleżankami ze sceny...

No, niestety, tak było. Za dużo. Dużo za dużo.

Z programu Na granicy pochodzi twoja sztandarowa piosenka Coś się z narodem dzieje niedobrego.

To była piosenka napisana przez Zenka dla mnie.

Tu mam nuty do tej piosenki. Tytuł: Za oknami świta. A z kolei w scenariuszu tytuł: Smutasy, mazgaje.

To miało z piętnaście nazw.

Coś się z narodem dzieje niedobrego, Nie ma za grosz poczucia humoru ludowego. Ja was widziałem o świcie w tramwaju, Gdy powracałem luźno sobie z balu. Zawsze myślałem, że rano w tych tramwajach Jest wesolutko jak na 1 Maja. A tu Garbary szare mary, Junikowo zdroj... Dlaczego, ludu ty mój? To wycie syren i ranne bicie dzwonów To najpiękniejsze odgłosy mego domu. Przez osiem godzin wylegania w tych pierzynach już dość. Więc skąd ta poranna złość? Tym bardziej, że Za oknami świta, Widać, że rozkwita. Rosną domy z prawej, z lewej będą też. Przecie to jest nasza Duma Pospolita, A wy jacyś tacy. Toż to przecież grzech. Przez chwilę myślałem: może coś się stało?! Ale to by nasze polskie radio dawno już podało... Pisałaby prasa, we wszystkich gazetach, na pierwszych stronicach. No bo jakaż z tego byłaby tajemnica? I tak podniecony, już nie wytrzymałem. Razem z motorniczym, kumplem z partyzantki, Tramwaj zatrzymałem. I jak ten natchniony poeta, Horacy, zawołałem: Ludzie! Kochani! Coście tacy smutni? Przecież jedzicie do pracy! Patrzenie, Za oknami świta, Widać, że rozkwita. Co by tu nie mówić, kiedy słuchamy tego trzydzieści lat później, ciarki przechodzą. Mnie jakoś szczególnie poruszają brawa przy zdaniu: "To by nasze polskie radio dawno już podało". Jak bardzo ludzie zlaknieni byli prawdy... A drugi moment to ten wybuch śmiechu przy twoim pytaniu: "Coście tacy smutni? Przecież jedzicie do pracy?!"

Ten gogolowski śmiech pasażerów tramwaju zasiadających zgodnie na widowni... No, wzruszam się dosłownie. Moc tej piosenki to twoja interpretacja i muzyka. Kto ją skomponował?

Hubert Szymczyński.

Jaka jest historia powstania tej piosenki?

Jechaliśmy...

Czyli to jest prawda!

... od Zbyszka Górnego, tramwajem. Taksówek akurat nie było i Zenek, w tym tramwaju, rzucił tekst: "Ludzie, coście tacy smutni, przecież jedzicie do pracy".

To było rano, o świcie?

No tak. Bo my do domu, a oni do pracy. Cały tramwaj się zaśmiał.

To mieliście szczęście, że się wam trafił naród z poczuciem humoru. Mogli wam lanie spuścić.

A tak, jakoś dojechaliśmy do centrum i stamtąd mogliśmy się rozejść. No i tak powstała piosenka.

W scenariuszu jest napisane: "Zawsze myślałem, że rano w tych tramwajach jest wesoluśko, jak na 26 maja". A jak ty to śpiewałeś?

Na 1 Maja.

Miałem potem ingerencję cenzury. Na któregoś maja ma być, byle nie na pierwszego.

W Poznaniu odbiór tej piosenki musiał być szczególnie. Tramwajarze w 1956 roku odegrali znaczącą rolę. A tutaj jest: "razem z motorniczym tramwaj zatrzymałem".

Ja lubiłem dodawać teksty swoje: "razem z motorniczym, kumplem z partyzantki, tramwaj zatrzymałem". Trzeba się było w rytmie, w muzyce wyrobić.

Chyba rzeczywiście byliśmy najweselszym barakiem w tym obozie. Potrafiliśmy się śmiać do łez z własnego kiepskiego położenia. Pan Zenon witał publiczność słowami: "Tytuł: Na granicy. No, już chyba nie ma nikogo, kto by nie czuł, że jesteśmy na granicy". Był luty 1980 roku i wytrzymałość ludzi się kończyła.

Graliśmy to jeszcze, zanim się zaczęło gotować w kraju, i już w trakcie. To było bardzo publicystyczne przedstawienie momentami.

Do tego programu była przygotowana industrialna scenografia według projektu Andrzeja Mleczi, rzecz działa się na przejściu granicznym. Pełno tam jakichś przedziwnych urządzeń, wskaźników. Był też telewizor, na którym odtwarzano z magnetowidu cztery filmy. Były realizowane specjalnie do tego programu?

Tak. Między innymi taki film, jak striptizerka jedzie na rowerze po podkładach kolejowych. I potem zsiada, a ten rower jest bez siodełka.

Tekst do tego filmu był taki: "Każda wolna chwila z Wackiem. Niezawodny, precyzyjny, dający pełne zadowolenie Wacek", i tak dalej. Ten rower składak miał na rurze nazwę - Wacek. Bardzo gruby żart. Dla mnie na granicy, naprawdę.

Strasznie lubiliście takie rubaszne żarty? Żeby tam jakaś goła dupa przeleciała, to przyjemnie.

To Zenka ulubione były.

Nie brakowało ci takiego literackiego kabaretu w "Teyu", takiego krakowskiego?

Brakowało na pewno, ale... trochę tego też było.

Taki sztandarowy wasz tekst, naszpikowany aluzjami, to Maluch.

To było grane chyba z dziesięć lat. Tekst powstał gdzieś w 1974 roku, a graliśmy go jeszcze po zmianach w 1989. Dostosowywało się go do aktualnych wydarzeń, ale rdzeń był ten sam...

Proszę - tu tekst z maja 1981 roku, z występu w hali „Urania” w Olsztynie, z programu Muzyka małego ekranu w reżyserii Jerzego Gruzy. Wielki Zenon napada na ciebie, a ty odgryzasz się i ośmieszasz go. Czyli crème de la crème waszego duetu:

L: Tak jak stoimy, podzielimy się rolami.

S: I co?

L: Ja będę za sterem...

S: A ja?

L: Będziesz motor.

S: No śmieją się z ciebie! Patrz, na kobitę!

L: Z ciebie się śmieją! Z ciebie!

S: Z mnie?

L: Z cie! Z cie się śmieją! Masz genialną rolę, tylko jej nie rozumiesz! Kobita zrozumiała, a ty nie rozumiesz. Przecież ty jesteś motor! Nasza siła napędowa to ty. TY! Dziurę masz tutaj...

S: O kurde! Medal mi odpadł.

L: Zostaw to, jak zagrasz tę rolę, to ci dadzą nowy, lepszy! Patrz, jaka rola! Narodzie!

S: Odzie...

L: Dobra. Ty będziesz echo!

S: Narodzie!

S: Odzie...

L: Jam jest twój motor!

S: Ooor...

L: Siła napędowa to ja!

S: Aaaaaa...

L: Która ruszy bryłę posad świata!

S: Tatata...

L: To jest taka rola, że aż ci zazdroścę...

S: Dobrze, że jestem motor, bo ci za sterem to się zmieniają...

L: Mhmmhy... ty nie bądź taki dowcipny! Bo taki motorek, z takim cylinderkiem, jak ty masz, to jeszcze dzisiaj może na złom wylecieć!

S: Jak go głupek eksploatuje!

L: Słuchaj! Jeszcze słowo, i skończą się pertraktacje! Rozumiesz?! I osiągniemy znowu nieporozu...

Co ty?! Citroena udajesz? Przecież u malucha jest motor z tyłu, nie?! Jeszcze z nami nie jest tak źle, żeby nas musieli ciągnąć. Pchać trzeba jeszcze! Pchać...

Dobra. Ruszajmy, bo czasu mało, a zaległości wiele... Kierunek dobry, a przed nami... Przed nami w szerokiej perspektywie nowego programu... Jak my ten zakręt wyrobimy, to ja nie wiem!

S: Zakręt to pół biedy. Ale cały czas jest pod górę...

L: To jest wasza sprawa. Byłoby z górki, motorek byłby niepotrzebny...

Wiecie co? Ja pierwszy raz w życiu słyszę, żeby motor gadał!

S: Wigilia była!

L: Była i się zmyła, i skoncentruj się teraz. Skup się, bo nastąpi bardzo ważny moment. Ja będę ciebie, niestety, zapalał do pracy. Jest to bardzo ważne, od tego dużo zależy. Bo jak ty zapracujesz... tak my razem daleko zajedziemy.

S: Obiecuję! Dam z siebie wszystko!

L: Łaski nie robisz, i tak na pedał będę dusił!

Gotowy?

S: Tak.

L: DO PRACY!

S: Ouououo... srrrrr...

L: Ty, co ci jest? Co ty?! Bublą udajesz? To ja ci piękne hasło: Do pracy! A ty: "srrrr"?
Sprayem?

Podnieś maskę! Pokaż wlew. Za dużo palisz. Do baku muszę zajrzeć. O! Paliwo jest.

S: No! Od świąt.

L: To dobrze, bo myślałem, że na rezerwach jedziemy... Motor jest sprawny, to motor musi pracować. MUSI. Bo jak pracujemy, to znaczy, że jedziemy. A tak - stoimy. I wstyd. I tylko wzbudzamy niepokój u przyjaciół. A jedziemy razem na jednym wózku. Raaazem. Tylko mamy różne zadania. Waszym zadaniem jest pracować, a naszym - patrzeć, czy dobrze jedziemy.

Do pracy!

S: Ououououo... zdechłem...

L: Chciałem ci przy świadkach powiedzieć, że jeżeli jeszcze raz wstanę z wózka, to się żarty skończą! I pojedziemy do specjalistów... Wezmą was na kanał, śrubę przykręcą, luzy zlikwidują... i olej wymienią! Dociera do ciebie? Dotarty motor? Czy szkolenia trzeba? Uszczelki pokaż. Zasmarowane, że prześwitu nie ma. Gaźnik to ci chodzi... gaźnik! To się nie psuje, nie?

S: Nie... na ssaniu od rana!

L: Ale jak na mocy zarządzenia Wojciecha to ssanie się teraz przykręci... i będziesz musiał z kopa startować... to jak ja cię korbą zakręcę!

Ale ktoś mi lakier zdarł! I to przy samej głowicy! To ja teraz wszystko wiem! Jak ty masz lakier zdarty, to ty jesteś stuknięty!

S: Po wypadkach...

L: Do pracyyyyy, do pracyyyyy, od samego ranaaa, dana moja dana... pracy ukochana!
Jak pójdę po linkę...

S: SIADAJ!!! Do pracy!

L: Jak ja ci dam samozapłon, to zobaczysz! Kierowców będzie straszył! Prowokację będzie robił! Uważaj, cię dam na parking strzeżony, to zardzewiejesz tam. Kontrola musi być! Wytyczne! Proszę, teraz: do pracy!

S: Ouououou... hohohoho! Gość z koniem nas wyprzedza!

L: Co cię to obchodzi? Ja jestem obserwatorem wydarzeń. Ty masz robić brum, brum.
Do pracy!

S: Ououo, o! (pokazuje gest Kozakiewicza)

L: Chcieliśmy was z tego miejsca serdecznie przeprosić. Ale chcemy dalej współpracować. Dobry motor, dobry motor...gili, gili, gili!

S: Gili, gili...

L: Dobra. Mówcie głośno, jakie macie żądania. Słucham.

S: Zdejmij mi tłumik.

L: Żebyście środowisko zatruli?! Realne żądania.

S: Ja już dwanaście godzin jestem na chodzie!!!

L: No już bez przesady! Dwanaście godzin na chodzie. W sytuacji obecnej dwanaście godzin?! Dwadzieścia cztery jak trzeba! Doba, dwie, osiem dób!

S: Nie zmieści się.

L: KOLEGO! Nie, dobra. Spokój. Nas musi cechować spokój i rozważa. Zdrowy rozsądek. Rozwiążmy problem inaczej. Propozycja nasza: jest nowa ustawa - soboty i niedziele macie wolne...

S: Brawo!

L:...po południu. Ale resztę dni tygodnia pracujemy na takich obrotach, że świat zadziwimy! Wskaźniki nie wytrzymają! Normy poprzekraczamy, bo stać nas na to. I trzeba mieć pełną świadomość, że jeden dzień przestoju w pracy, strajki, to automatycznie dziewięć tysięcy izb mieszkalnych mniej. Dwanaście milionów pięćset tysięcy łyżeczek do herbaty mniej. Dwanaście milionów noży mniej. Osiemdziesiąt pięć par milionów butów mniej. I tak dalej, i tak dalej!

S: Oraz osiemset tysięcy dziewięćset czterdzieści trzy złote i trzydzieści sześć groszy to kosztuje!

L: Co?

S: Takie pieprzenie w telewizji.

Te... a to jest ta ustawa, co sama w życie wchodzi?

L: Tak. No, spróbujmy. Może wyjdzie? Do pracy!

S: Już?

L: Już!

S: Oooooouuu, brum, burumbum, tuturuđu, tutusrutu, dupa z drutu!

L: No, no, no! Co ty mi tu: "srtutu drutu"? I to ma być ta jakość?!

S: No, to jest ilość!

L: Jaka ilość? Czy wyście się w lesie urodzili?! My już o jakość walczymy! O jakość!

I to ze znakiem... bym wam powiedział, z jakim znakiem!

S: Noooo... jakość nam nie wychodzi, a znak został!

L: Kolego! Czy wy jesteście dwusuw?

S: Nie, ale ochrzczony!

L: Nie o to chodzi! Chodzi o to, że nikt wam nie karze pracować systemem dwusuwym! Wdech, wydech, wdech, wydech... druga zmiana... wdech, wydech. Ja już nie wiem. Albo wy głupka udajecie, albo kompletnie nic nie wiecie.

S: Nie, panie, bo skąd?!

L: Skąd, skąd... Czytać trzeba więcej samemu! Do księgarni trzeba pójść! Nie tylko do mięsnego, z krzeselkiem i kocykiem. Przecież wszyscy wiedzą, od dawna, że mamy nowy system pracy. Lepszy. Żeby nam wszystkim było trochę lżej. CZTEROTAKT. Czterotakt ludowy: ssanie, sprężanie, praca! Wydech...

O, widzisz, ten dialog ma wartość historyczną, nie wiedziałam, że kartki na alkohol wprowadził generał Jaruzelski na początku 1981.

Kiedy po Gierku nastał Jaruzelski, postanowił polepszyć zaopatrzenie ludności w artykuły pierwszej potrzeby. Więc wprowadził kartki. Na wszystko: na mięso, na cukier, na wódkę, na czekoladę, masło, mąkę, ryż, papierosy, papier do... żyłki. Był też taki odcinek kartki rezerwowy, na wszelki wypadek.

To tekst z Na granicy o tym jest...

L: Masz pocieszyć. Obiecuj im coś. Więcej kartek może obiecuj? Na cukier? Pięćdziesiąt dwie kartki będą teraz, do końca kwartału! Cała talia, żeby sobie ludzie mogli w tysiąca pograć. I na Wielkanoc - już gramy! Wchodzę margarynką, przebijam cielęcinką!

S: Karpia - w ciemno!

L: A ja kakało - i wymiotujemy!

Słuchajcie! A co chcecie wiedzieć? No? Co chcecie wiedzieć?

S: Sami nie wiedzą...

L: To my wam powiemy... To my wam powiemy, kiedy będzie lepiej! Chcecie wiedzieć? No Bodzio, powiedz, no...

S: Noooo...

L: No!

S: Nooo... Już było.

Długo graliście Na granicy?

W wersji estradowej nazywało się to *Szlaban* i było grane do stanu wojennego. W *Szlabanie* doszła jeszcze taka fajna piosenka:

*Schowajmy w sobie co polskie, co nasze,
miejmy nadzieję, że wiatr nie rozwieje marzeń po stepie. Rozkołysani od granic do granic
prawdy szukamy i w prostych słowach,
gdy będzie, od nowa ją wyśpiewamy.* Przepięknie Wodecki to w Kongresowej śpiewał. Już taką wolność się czuło. Na widowni komplety, ponad dwa tysiące ludzi, a on tak przejmująco śpiewał. Leciało z tyłu, zza sceny, kilka tysięcy piłeczek pingpongowych. To było niesamowite.

Po sierpniu 1980 roku cenzura cały czas była? Czy wtedy już wam tak się nie wtręcali?

Jak najswobodniej się wpierniczali.

Występy w Sali Kongresowej były nastawione na bicie rekordu Guinnessa.

O ile pamiętam, to było pięćdziesiąt sześć koncertów. A na sali na raz prawie dwa tysiące osiemset osób. Zespół mieszkał w "Forum", do Kongresowej blisko. Jeśli chodzi o pieniądze, to nam - niezależnie, ile koncertów, ile publiczności (a była zawsze cała Kongresowa) - przysługiwała stawka Ministra Kultury i Sztuki, i koniec. Pensję odbieraliśmy kwartalnie, w Poznaniu, a dokąd szły pieniądze za te imprezy, nie wiem. Ale wiem, że to dla Estrady był zawsze kłopot, bo im więcej zespołów miała - tak jak w Poznaniu, a była tu i orkiestra Górnego, i Sipińska, i "Tey", i "Alex Band", i jeszcze paru innych wokalistów - to były tak zwane nieplanowane zyski. I w następnym roku musieli taki sam obrót zrobić. No i tu problem, bo co, jak się rozwiąże "Tey" czy "Alex Band"?

Mi się wydaje, że wtedy siedzieliśmy longiem w tej Warszawie. Hotel, sklep, występ, hotel. Wyborowa, żytnia. A czasami moda na takie wynalazki - jarzębiak, żołądkowa gorzka. Teraz wiem, że jak się chce zniszczyć jakiś zespół, to trzeba załatwić to tak: pół roku grania codziennie, do tego żeby jeszcze jakieś dwie reklamy zrobili, jakiś program do telewizji i już koniec. Łby wypłukane i koniec.

Na takich maratonach to potrzebna była pięćdziesiątka. I Tadiusz Osipowicz, bo on

podpowiadał: "To już mówiłeś, to już było, teraz to..."

Na scenie jest taka reakcja organizmu, taka adrenalina, że nawet jeśli pod koniec spektaklu może być po nas coś widać, że jesteśmy bardziej drażliwi, ale dykcja, ruch i tempo żartu były bez zmian. A tempo i rytm są najważniejsze w kabarecie. Myśmy doszli do perfekcji z Zenkiem. To musiało być dokładnie tak zagrane. I to, że się pomyliłem, przejęczyłem, że wpadłem na tę myśl przed chwilą - wszystko musiało być idealnie przygotowane. Jak w marszu: tratata, tratata - równo.

Po takich seansach to tylko hotel i łóżko?

Eeee, nie! Myśmy byli młodzi ludzie, dopiero się balanga zaczynała. Przyjęcie w hotelu - przywozili nas, restauracja otwarta do rana. Dyrekcja serdecznie zaprasza. Wszyscy nam stawiali, byli naszymi przyjaciółmi.

To psycholog się powinien tym zająć, do czego można mózg doprowadzić.

Kiedy Krzysztof Jaślar rozstał się z "Teyem" i został przesunięty na odcinek telewizji, redaktorem naczelnym poznańskiego oddziału TVP był Zbigniew Napierała. Jaślar zaczął szybko realizować programy telewizyjne, w których pojawiał się Laskowik. Czego, szczerze mówiąc, nie rozumiem, bo przecież w przyjaźni się nie rozstali.

Narodziny gwiazdy, Muzyka małego ekranu, Studio Gamma i opolskie kabaretony - wszystko reżyserował Krzysztof Jaślar. Telewizja to była popularność.

Bardzo szybko po przeprowadzce do Poznania zaczęła się moja współpraca z telewizją. Scenariusze w papierach są podpisane przez Jaślara i Laskowika. Tak jakoś to wyszło.

Pierwszy mój film to były *Narodziny gwiazdy*. Kręcone było to w Domu Kultury MO "Olimpia". Była tam scena obrotowa. Wchodziłem tylko na jedną piosenkę, na *Kaczorka*. Miałem garnitur ze złotej lamy. Uszyty został na występ w *Spotkaniach z Balladą* jeszcze w Krakowie. Bogusław Sobczuk wnosił mnie na scenę w tym ubranku i wręczał Teresce Budzisz-

- Krzyżanowskiej jako Oscara. A ona mnie ze sceny zносиła.

I później ten garniturek przywieziono do Estrady Poznańskiej. Mam go do dzisiaj. Ale teraz jest dla mnie za duży już.

W filmie Doroznosiciele dwóch inteligentów rozpoczyna pracę w charakterze roznosicieli mleka. Młodzieży należy wytłumaczyć, że w zamierzchłych czasach mleko w szklanej litrowej butelce czekało na człowieka o poranku grzecznie i cichutko przed drzwiami. Ale zanim sobie tam stanęło, odbywało bardzo hałaśliwą podróż starem - szczególnie mieszkańcy blokowisk mogliby się barwnie wypowiedzieć.

Cały ten nasz dialog na pace stara kręciliśmy w studio. Siedzieliśmy na skrzynkach z butelkami po mleku i się trzęśliśmy - tak było kręczone to, że jedziemy z tym mlekiem na osiedla. A sceny z otwieraniem klapy nagrywaliśmy pod jakimś blokiem, który miał być oddany za dwa tygodnie. Musiał być pusty, bo inaczej by ludzie nas pozabijali."Raz, dwa, trzy i kłapa leży". Kierowcą poetą był Schubert."Rozwożę w nocy mleko, choć do domu daleko".

W *Przejeździe* kierowcę-gitarzystę grał Krzysiek Daukszewicz. Kręciliśmy to koło Poznania, gdzieś w okolicy Biedruska. A Daukszewicz akurat był w Poznaniu, wzięliśmy go, bo nowa twarz była, żeby się nie kisić we własnym sosie. W tym filmie Zenon sprzedaje mi węgiel na lewo, za co ja muszę mu parowóz popchnąć, bo już nie miał na czym jechać.

Filmów było sporo: Przejazd, Uzdrowisko, Śpiew, balet, piosenka, cykl Muzyka małego ekranu, cykl Allewizja. Powstawały nie tylko programy telewizyjne i etiudy filmowe, były też jakieś programy "z okazji" i "ku czci"?

Pamiętam taki program, który graliśmy w Jastrzębiu. Dla górników. A wtedy mi się Bartek rodził.

Czyli 1979?

Tak. Cała telewizja pilnowała nas wtedy z Zenkiem, żebyśmy nic na tę okazję nie wypili, broń Boże. Mariusz Walter chodził za nami, Bożenka - jego żona, pani Lipińska, pani Dziedzic...

Robiliśmy taką przeróbkę tańca, pani Dziedzic z Demisem Russosem. Bo on z nią w Sopocie na festiwalu zatańczył na scenie. Ja - taki podobny do Russosa, w takiej szmacie, zerwanej firance, bo on w takich sukniach występował - wchodził: *Goodbye, my love, goodbye*. No i Zenek do niej mówi:

- Pani Ireno, ludzie w mieście gadają, że pani się ostatnio hmmy, hmmy...

A ona zaskoczona, spięta cała:

- O co Panu chodzi!

Zamiast powiedzieć cokolwiek:"Tak, oczywiście!", i już byśmy uciekli z żartu, to ona się zaczęła dopytywać. I tak się przejęła, że się spociła cała i na końcu nosa zrobiła się jej taka kropelka potu, i tak jak ona oddychała, to ta kropelka się pokazywała i znikała. Myślałem, że się ugotuję wtedy.

- A co to znaczy "hmmy hmmy"???

- Pani nas pyta, co to znaczy "hmmy hmmy"???!

Hit kabaretu "Tey", czyli S tyłu sklepu, to program estradowy. Powstał na Poznańską Wiosnę Estradową. Okazjonalnie do składu Kabaretu dołączali Hanna Banaszak,

grupa "Vox", Zbigniew Wodecki, Jan Kaczmarek.

Rzecz cała działa się na zapleczu sklepu warzywniczego, stąd jako elementy dekoracji gigantyczne ogórki, monstrualny słoik z miodem. Była to kompilacja starych tekstów, nowych skeczy i piosenek.

Niektóre teksty były bardzo stare. Ale piosenki były specjalnie pisane. A ta cała dekoracja jeździła z nami. Przed występem było parę dni prób. Wtedy zaczęła się już taka ogólnopolska popularka. Szaleństwo. W Opolu było przymusowe bankietowanie, bo o wyjściu do miasta nie było mowy. Mogliby człowieka zaklepać na śmierć. Myśmy tam za sceną schodzili do takiego pomieszczenia i tam można było toasty wznosić z panami od *Bananowego songu*. A w skromnym gronie, za kulisami, to można w dwójkę spełnić toast. Po spektaklu piliśmy w swoim gronie, w hotelu. Jak już masz dość, możesz windą jechać do siebie.

A słuchaliście jakichś kabaretów w radio? "60 minut na godzinę"? Albo czy jeździliście gdzieś w Polskę, do kogoś, zobaczyć, jaki ma nowy program?

Nie, chyba że jakoś indywidualnie ktoś tak robił. Mieliśmy tak dosyć tych żartów kabaretowych, że...

A jak był Festiwal, to na dole w garderobie był telewizor, można sobie było popatrzeć.
Zenon miał w zespole kogoś, kogo szanował, kogo uważał za równego sobie?

Eee, chyba nie. Oprócz siebie nie miał nikogo.

Edward Gierek był kiedyś na waszym występie?

Nie. Był jakiś ważny sekretarz od Gierka, ale Gierek nie miał absolutnie poczucia humoru.

Za jego czasów powstała Pelagia, która się chwaliła wszystkim. Pelagia się narodziła przed *S tyłu sklepu*. Pomysł na *Pelagię* jest Zenka, on w tym tekście był odpowiedzialny za atak, ja za obronę.

Ile z ciebie jest w Pelagii?

Moje puenty z *Pelagii*? "Tego nie mogę powiedzieć, bo to jest tajemnica państwowa".

S: To słuchaj, jak taki mądry jesteś, to zrób ze mną wywiad.

L: Autentyczny mam talent! Nie śmieję się. Tylko z babą zawsze gadam, bracie...

S: To ja zrobię zaraz... zrobię... (zakłada chustę na głowę)

L: Z babą.

S: Zara bede baba, obróć się, hehe. Zaraz, nie patrz się jeszcze, bo nieprzygotowana jestem...

L: Baba! Proszę państwa! Sam tego chciał! Sam tego chciał! Uwaga, telewizja! Dzień

dobry! Jesteśmy z telewizji! Dzień dobry!

S: Dobry!

L: Czy może nam pani powiedzieć, na terenie jakiego zakładu się obecnie znajdujemy?

S: Tego ni mogę powiedzieć, bo to jest tajemnica państwowa! Mogę tylko powiedzieć, że mam pięć złotych od bombki!

L: Jak pani ma na imię?

S: Pelagia! Jestem starszą pracownicą w tym zakładzie. Pracuję tutaj hoo, hoo, a może i dłużej! Mój mąż i dzieci tu też pracują, a ich zdjęcia są za zakładem!

L: Przed zakładem!

S: Za, bo się rozbudowujemy!

L: Znaczący - za starym!

S: Stary też tam wisi! Z zakładem jesteśmy bardzo związani, szczególnie przez kasę zapomogowo-pożyczkową!

L: Pani się uspokoi. To wszyscy tak mają. Pani Pelagio, czy pani jeszcze może...

S: No pewno!

L: Czy pani jeszcze może nam powiedzieć... Jakie bombki produkujecie?

S: Panie, różne, różniste! Tu się robi tak: kuliste, w kształcie grzyba i cygara.

L: Cały czas mowa o bombkach choinkowych!

S: Też! Panie, wie pan, jaki mamy asortyment? Od A do N!

L: Cicho! Cicho!

S: To się wytnie.

L: Pani Pelagio, tutaj, widzę, ma pani napisane na karteczce...”brygadzistka oraz mistrz zmiany”, ale”mistrz” się inaczej pisze!

S: Sama pisałam! Tak coś czasem kombinuję! Jak tak siądę i myślę...

L: To, prawda. głupieję na starość... Niech pani nam powie, ile pani sama takich bombek zrobi?

S: Sama jak tak siądę i robię... to zrobię gdzieś tak dwieście osiemdziesiąt trzy!

L: To jest norma dzienna?

S: A dla kogo ten wywiad?

L: To jest dla widzów *Dziennika* wieczornego.

S: O, to bez kozery powiem pińcet! A co ja dumna baba! Dziesięć tysięcy! Pięćdziesiąt! Milion sześćset!!!

Nie mogę ci powiedzieć: to słowo wymyśliłem czy tamto. Wszystko powstawało na

scenie. Mówiłem tak, żeby było dobrze, płynnie, żeby wszystko było na swoim miejscu.”A dla kogo ten wywiad? Dla *Dziennika* wieczornego. To bez kozery powiem pińcet!”. Bo wtedy Kozera był w telewizji.

Wygrywasz każdą kwestię, każde słowo, gest. Nie ma autora tekstu. Jest własnością wszystkich, nie mogę podać jednego twórcy. W 1989 roku powstała druga Pelagia, ta od”Najlepiej nam było przed wojną”. Ta druga Pelagia była ze Smoleńska.

Miałeś jedną chustę do przeobrażania się w Pelagię?

Oj, pokradli tych chustek. Wielbiciele... Była walizka, w której były rekwizyty. Bez tego nie ma sztuki.

Byliśmy, pamiętam, w Ameryce i Irenie Kwiatkowskiej zaginęła walizka z rekwizytami. I ona biedna nie mogła grać swojego skeczu. Miała od lat ten sam rekwizyt, jakiś szal, jakąś ramkę. Wyciągała to i miała rolę. A bez tego - dosłownie zapominała tekstu, kiedy nie czuła w ręce tego przedmiotu. Tam gdzieś szukali, Polonia pożyczła, ale to ciągle nie było to. Nie ta miękkość, nie ten kolor. Dopiero pod sam koniec się znalazła, obleciała pół świata ta walizka. Ale największe koncerty w Nowym Jorku odbyły się z innym rekwizytem. Coś strasznego.

Miałeś taki swój rekwizyt?

Kitel, odwieczne bluzy wojskowe...

W S tyłu sklepu, kiedy próbujesz kupić buraki od kierownika Laskowika, mówisz kilka słów po węgiersku.

Pamiętałem to z domu: *Egeszegedre csók a kutya a farkát a gyökér*, to znaczyło mniej więcej”pocałuj psa w ogon u samej nasady”.

Kasety magnetofonowe z nagraniem tego spektaklu krążyły po Polsce długie lata.

Władza wtedy zrobiła błąd. Trzeba to było od razu puścić, ludzie by się pośmiali i byłby spokój. A tak zrobiła się wielka tajemnica, co myśmy tam mówili. Kabareton już był zapowiedziany w radio, w telewizji, a tu znienacka nadano program *Piękne głosy z Pszczyny*. Zenon to przerobił na”piękne szczyzny z Pszczyny”. A kasety zdążyli wydać w listopadzie, miesiąc przed stanem wojennym. Wydały to Polskie Nagrania”Muza”. Tytuł był: *Z tyłu sklepu, czyli Benefis Zenona Laskowika*. Sprzedało się sto tysięcy.

Graliście to jeszcze gdzieś?

Wojtek Furman zdążył zrobić trasę po Polsce.

Byliście u szczytu kariery, a tu nagle stan wojenny.

Wtedy w grudniu, koło 10, wyjechaliśmy na takie występy, ostatni rejs Batorym. Batory wy pływał na redę i stał trzy dni, a wszyscy ludzie, którzy mieli pieniądze, mogli się na

nim bawić. Myśmy tam grali koncerty codziennie, śpiewali Hanna Banaszak i Wodecki, a my z panem Zenkiem mieliśmy dialogi.

Jest 13 grudnia i co się dzieje?

To było takie totalne szaleństwo. Każdy się chciał sprzeciwić, tylko nikt nie wiedział przeciwko czemu i jak. Ja wracałem stamtąd z Wodeckim i z Banaszak do Poznania, bo miałem samochód pod hotelem.

13 czy 14? Czy później?

W pierwszy dzień stanu kazali spadać. Śniegu było pełno. Zenek zostawił auto u jakiegoś mechanika gdańskiego i nie mógł go znaleźć. Nie było jak się dodzwonić, bo nie było telefonów, a ten mechanik był załatwiany przez któregoś koleżę. Zenek nie wiedział dokładnie, gdzie ten warsztat, i tak został bez samochodu. A ja pojechałem. Pamiętam, jak na kolejnych posterunkach widziałem te lufy wycelowane w moje auto i podchodziłem do żołnierzy: Dzień dobry!”Dzień dobry”. Chcesz zobaczyć zmarzniętą Banaszak i zimnego Wodeckiego? A oni mówili:”Jedź dalej”. Tak że dojechałem do Poznania bez większych problemów. A Zenek potem pomału wyjechał na drugi dzień. Znalazł auto. Nie będę wymieniał nazwiska faceta, u którego zostawił to auto. Facet do dziś dnia jest słynnym mechanikiem samochodowym w Gdańsku i go pozdrawiam.

Kiedy dojechaliście do Poznania, to jakie decyzje? Co dalej? Kabaret istnieje? Nie istnieje? Nie wolno się gromadzić, nie wolno się spotykać. Mogą być próby?

Mieliśmy klucze do kabaretu. Zawsze przychodził kierownik i otwierał. Siedzieliśmy sobie, ciepło było.

To był Klub Transportowca Emeryta, tak?

Tak, teraz tam bank jest. Estrada to od emerytów odkupiła i tam był kabaret.

W stanie wojennym wszystko się zmieniło.

Nie graliśmy imprez. Nie było żadnych koncertów, fuch, na początku nie było też prób w”Teyu”. Jak już nie trzeba było przepustek, to załatwiłem kartki na benzynę i jeździłem dużo po Polsce. W Gdańsku byłem, w Katowicach, w Krakowie. I ludzie się dziwili:”Jak to, pan nie w więzieniu?”. To mówiłem, że akurat dzisiaj mam przerwę.

Dokładnie nie pamiętam kiedy, ale zaczęliśmy dość szybko grać. Pan Zenon wymyślił nowy program. Ja osobiście nie uważam takiego protestu, że trzeba być kelnerem, jak się ma papiery aktora. Ludziom też coś się należy, więc zaczęliśmy próby. Dość szybko. To była wspólna decyzja.

Czy środowisko poznańskie, to, które ty znasz, dotknął jakoś stan wojenny? Ktoś był internowany, ktoś wyjechał za granicę?

Z naszych znajomych nikt nie był internowany, a za granicę wyjechał Szymczyński.

Na zawsze?

Tak.

Gdzie mieszka?

W Szwecji. Jego żona wygrała konkurs na pierwsze skrzypce w szwedzkiej filharmonii. Był śmieszny numer, bo w czasie przeprowadzki prom długo stał na redzie przed wpłynięciem do portu i tak nim huštało, że doszło u żony Huberta do jakiejś utraty równowagi. Jak później w tej Szwecji zagrała na pierwszych przesłuchaniach, to się wszyscy dziwili, czemu ona coś innego gra, a nogą inny rytm tupie. A ona starała się utrzymać równowagę.

W Szwecji był jeszcze jeden kolega z Krakowa, co miał poloneza, i ja mu przez kierowców TIR-ów wysyłałem części do samochodu. Chodziłem do kierowców i pytałem: Czy możesz wziąć klamkę do Szwecji? Byli bardzo uczynni: "To daj mi tylko numer telefonu do tego gościa, to zadzwonię, że już jestem". On przyjeżdżał, odbierał klamki. I dziwił się strasznie: "Jak podesłałeś ze stanu wojennego klamkę?". Ale dało się i to była wielka robota polityczna.

Te nowe projekty Zenona Laskowika zaczęły powstawać od roku 1982. W ramach Teyatru: Przedszkole, Szkoła, Uniwersytey. Brałeś udział we wszystkich?

Tylko w *Przedszkolu*. Zenek zmieniał ten scenariusz. Najpierw wychodziłem na scenę po 10 minutach, a później pojawiałem się na scenie po 40 minutach spektaklu. Miałem sporo czasu, a było blisko do sklepu Tereski, mogłem sobie tam pójść, posiedzieć. A wolałem to niż atmosferę w Teyatrze. Pan Zenek chciał udowodnić sobie i wszystkim, że beze mnie jest tak samo dobry.

W dużym skrócie: Laskowik jest wychowawcą-przedszkolankiem, Olek Gołębiowski jest kurratorem, a ty jesteś Bogusiem-dzieckiem. Z tych fragmentów tekstu i recenzji, które znalazłam, trudno odtworzyć cały spektakl. Trudno mi też zrozumieć, jaka prawda objawiła się Zenonowi Laskowikowi. Że nic nie jest czyste w intencjach? Że "Solidarność" i Lech Wałęsa nie byli od budowania czegoś nowego, tylko od budowania podziału? I zdecydowana pogarda dla pogoni za pieniędzmi?

To jest tekst mówiony przez kurratora:

„Dzieci kochane! Mówi wasz głupek. Mówię do was z przedszkola, gdzie widać ślady naszych nieporozumień. Dzieci kochane, fragmenty murów, świadectwo naszej głupoty narodowej. Pierwszy mur, który sobie sami zbudowaliśmy, powstał z 56 cegieł, potem tych cegieł zamiast ubywać, przybywało: 68, 70, 76 i budowa ostatniego muru została nagle przerwana.

Powiedzmy: nie wiadomo, z jakich pobudek. Na to pytanie na pewno odpowie historia, oby za naszego żywota. Amen. Sami w sobie musimy znaleźć własną cegielkę głupoty, by przystąpić do całkowitej rozbiórki tego wstydu. Naród to pojęcie dzisiaj całkowicie zmieszane z gorzałą. Sprzedaliśmy naszym nieprzyjaciółom największy skarb, który brzmi: Polacy! Przeistoczmy się w naród nie do pokonania! Patrz druga wojna światowa. Lecz jako społeczeństwo, jesteśmy do kupienia za każdy cent...”.

Zresztą motto tego występu wiszące nad sceną też było na ten temat: ”Dzieciem w kolebce, kto łep urwał chydrze, ten się zadusił Cent... em. Włodzimierz Mickiewicz”.

Jako Boguś-przedszkolak śpiewasz piosenkę:

[...] lata ptaszek po chodniku, jedzie mięso w bagażniku.

Kradną ludzie, co się da, a szef już obrasta w piórka [...].

Laskowik-wychowawca tłumaczy: ”Na wypadek porażki należy z godnością opuścić plac gry, by znaleźć czas na przeanalizowanie własnych błędów”, ”oj, Lechu, Lechu... coraz więcej z ciebie śmiechu”.

Nagle nadjeżdża TIR z darami. Boguś:

Co za czasy dla pieniędzy i kielbasy.

Im wystarczy jedna chwilka, by z człowieka zrobić wilka.

No i piosenka:

Pieniążki, pieniążki, diabelskie nasienie,

Pozłocą ci rączki, w dal skrócą patrzenie.

Dość mamy już koszmarów, dość mamy prowizorium.

Pieniążku, oszczędź naród! Nam trzeba sanatorium.

Dlaczego my za tobą, a nie, że ty za nami,

Jakim dziękować bogom, że ludzie są ślepcami.

Wkładałem sobie monety w oczy, jak to śpiewałem... Tym TIR-em z darami przyjeżdżał Peter Dopita, kolega z Czech, który pracował w ”Teyu”:

Świat przywozi wam paczki. Paczki, paczki, Polaczki! Dla każdego bezpracującego, Dla profesora und dla szwaczki. Świat wam życzy smacznego! Paczki, paczki, Polaczki... Co? Ambicja, honor, skrucza? Wiwat Soplica! Wytlumacz mi proszę, o co chodziło. O to, że mamy być dumnymi Polakami, którzy ciężką pracą zapewniają sobie podstawowe środki do życia? Skupić się na pracy miast na romantycznych zrywach? Wielkopolski pozytywizm?

Nie wiem, naprawdę. To był całkowicie pomysł pana Zenka, chciał mieć teatr. Co przy tylu amatorach wychodziło bardzo słabo. Nikt tego nie zrozumiał. Ludzie przychodzili do kabaretu, a dostawali jakąś nieprofesjonalną sztuczkę. Jakby miał ktoś potrzebę obcowania

ze sztuką, toby szedł do teatru. A ludzie przychodzili do kabaretu, a tu rozczarowanie.

Pamiętam, że w tamtym czasie była jeszcze taka propozycja, żebyśmy pojechali do Hiszpanii na Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej. Mieliśmy jechać jako "zabawiacze" naszej drużyny. Pewnie Piechniczek nas lubił. Mieliśmy ich relaksować. Były rozmowy z Zenkiem. Olek Gołębiowski bardzo chciał jechać - on też po AWF-ie. Ale o coś poszło - pewnie o pieniądze - i nie pojechaliliśmy.

A co potem się stało?

Pan Zenon zaczął bardzo poetycko myśleć i zespół nie mógł sobie z tym poradzić. Zenek zmienił religię. Z alkoholizmu na antyalkoholizm. Zaczął walczyć. Miał taką wizję, że musi zanieść każdemu to, co kiedyś od niego dostał. A my? Zespół? Nam się nic nie należało? Od nas też brał energię, pomysły, twarze, nazwiska. I po kolei się rozstawał po cichu: z Jaślarem, z Rewińskim, z Schubertem, z Żuzu. Ja sam odszedłem, ze mną się nie musiał rozstawać.

Docieramy do tego momentu, kiedy zaczyna być już bardzo trudno, kiedy nie możecie ze sobą współpracować. Tak naprawdę to przecież nie ty i Laskowik się rozeszliście, to Laskowik i "Tey" się rozszedł.

On zaczął dziwne rzeczy robić. Przyszedł na próbę i mówi:

- Nie rozumiecie tego, co ja chcę przekazać widzom. Za karę nie będziecie grali miesiąc.

A były już sprzedawane bilety. Więc mówię, że chcę rodzinę utrzymać.

- To ty tu dla pieniędzy przyszedłeś pracować?

- No a od kiedy inaczej? To jest moja praca. To nie jest twoje widzim się, że tu jestem. To jest moja praca.

- Kto tu pracuje za pieniądze?

I tylko ja podniosłem rękę.

Powiedziałem wtedy reszcie:

- Słuchajcie, jak jutro któryś z was zadzwoni do mnie, żebyśmy jakąś chałturkę zorganizował, to dostanie ode mnie w pysk, a później będzie telefon do Zenka.

A do Zenka:

- Skoro nie rozumiemy, co gramy i po co, to trzeba dodatkowy miesiąc prób zrobić, a nie karać nas za to, że nie możemy zrozumieć twojej paranoi. Nie rób eksperymentu na ludziach, jak masz coś do mnie, to mi powiedz. A nie karz mnie tym, że nie będę miał pracy. A tymczasem ja Państwu dziękuję. Jestem aktorem kabaretowym i kiedy pracuję, to chcę za to dostawać pieniądze.

I koniec. Byłem jedyną osobą, która zakończyła współpracę z "Teyem" samodzielnie. Sam zamknąłem za sobą drzwi - nie zwolnił mnie ani dyrektor Estrady, ani Zenek.

Co pomyślałeś w pierwszej chwili?

Że będę mieć dużo czasu.

Głupio to zabrzmiało, ale powiem: coś się skończyło, coś się zaczęło.

Zenek nie miał już partnera. Byłem na następnych premierach. Czy mi się podobało? Nie powiem.

W każdym razie zawsze musiałem się tłumaczyć, dlaczego jestem na widowni, nie na scenie. Zenek chciał uczyć ludzi, jak się należy zachowywać, co robić, co myśleć. Pouczał publiczność. Chciał pokazać ludziom, jak mają żyć, ale było to tak niezrozumiałe, że nie wiem, o co w tym chodziło. A to, co on mówił, to był bełkot.

Może zachorował?

To była bardzo cienka granica. Aktor kabaretowy chciał zostać guru. Przestał pić. Higieniczny tryb życia, higieniczny rozum.

A jednak to wasze pierwsze rozstanie nie było konsekwentne. Pan Zakreta, impresario z USA, doszedł do wniosku, że Polonia "postsolidarnościowa" dałaby duże pieniądze, gdyby mogła zobaczyć Laskowika i Smolenia znowu razem.

Tak było. Ten ostatni wyjazd był dla pieniędzy. Kabaret to jest fabryka, w której się pracuje i zarabia. Na tym wyjeździe było tak, że spotkali się już sami liderzy. Każdy z nas już robił swoje, pracował indywidualnie. Każdy też wiedział, że ten, kogo wybrałby sobie pan Zenon do dalszej współpracy, będzie ustawiony. A jakby z każdym z osobna coś zrobił, to mielibyśmy programów na kilkanaście wyjazdów. Rewiński, Jaślar, Gołębiowski, Schuberth, ja. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to są ostatnie nasze koncerty. To była "walka o Zenka". Kto z nim ewentualnie powróci na scenę. I nikt nie wrócił.

Pomysł na taką trasę powstał w czerwcu 1988. Organizatorami zostali: BART - Bałtycka Agencja Artystyczna (czyli Estrada Gdańska) w osobie pana Kowalika - i pan Krzysztof Zakreta. Zenon Laskowik się zgodził. Co dalej? Bo chyba jedyną niewiadomą było to, czy na scenie znowu staną koło siebie Laskowik i Smoleń?

Ja powiedziałem: Tak. Wtedy pierwszy raz w życiu Zenon Laskowik przyszedł do mnie do domu w Przechmierzowie. To była jedyna jego wizyta. Siedzieliśmy na łące, na trawie, i on mówi: "Co się takiego stało, Mały? Bzdura. Pokłóciliśmy się, a teraz jedziemy do Stanów szmal zarabiać". Tak było na początku - "Tey" to miała być "Fabryka Żartów i Pieniądzy". I tak miało być do końca życia. Dopiero później się coś panu Zenkowi zmieniło w głowie. Cały ten ostatni program to był KaBeWueL. Klub Byłych Współpracowników Laskowika.

Stare teksty na wyjazd do Ameryki zostały przerobione, dodano kilka nowych. Zrobiła się afera towarzyska, bo stare teksty były sprzedawane jako nowe. Czyli nowe tantiemy z ZAiKS-u za stare teksty.

Program Przeboje Kabaretu "Tey", czyli Najlepiej nam było przed wojną był gotowy już w październiku 1988. Jak swoiste credo brzmiała piosenka, którą, lekko kiwając się z nogi na nogę w rytm muzyki, śpiewali, stojąc ramię w ramię na scenie: Laskowik, Jaślar, Rewiński, Schuberth, Smoleń.

Trudno nam wyrwać z serca świat Lat siedemdziesiątych, Bo był uroczy mimo swych wad W tych swoich wizjach pstrokątnych. Pierwszy po Bogu to był pan Mąż bez wątpienia - ojciec narodu. Wyniósł górników ponad stan, A nas przyzwyczaił do samochodu. Najlepiej nam było przed wojną, Gdy rodził się mały fiat, Gdy naszą krainą spokojną Nagle zachwycił się cały świat. Najlepiej nam było przed wojną, Gdy maluch przemówił do mas I z Pięknej ulicy na Gnojną Królewską jak nikt przewiózł nas. Trasa trwała siedem tygodni. Jak wytrzymałaście ze sobą?

Ciężko. To była trudna trasa. Długa, całe Stany i cała Kanada. Nie było wtedy komórek, dobrego, szybkiego kontaktu z domem. Naprawdę było bardzo trudno. Był jeszcze z nami Zbyszek Górny z zespołem, wziął jakąś młodzież grającą, bo to zawsze taniej, niż jakby chciał zatrudnić ich rodziców.

Pan Zenek już nic wtedy nie zażywał i miał pretensje, że my do obiadu pijemy piwo. Ale jakoś przeżyliśmy.

Tam były strasznie trudne sprawy finansowe. Nagle zaczęły się rozmowy o zupełnie innych pieniądzach. U pana Wojewódki to było pięćset, siedemset dolarów. Zakreta powiedział, że mamy zaproponować, ile chcemy za tę trasę dostać. Ja chciałem dwadzieścia pięć tysięcy. Pan Zenek więcej. A ile chcieli inni koledzy? Nie wiem. Ale dużo, dużo mniejsze pieniądze niż myśmy dostali. Więc kiedy pod koniec trasy robiliśmy przelewy do Polski, to niektóre tajemnice przestały być tajemnicami. No i pojawiła się żyła. Pan Zakreta był taki zadowolony z tej trasy, że z tej radości auto zmienił na nowego lincolna, dzielnicę, w której mieszkał, na lepszą, dzieciom szkoły prywatne opłacił. Więc wyrzutów żadnych z powodu pieniędzy, które dostałem, nie mogę mieć.

Przedstawialiście nowe wersje starych numerów. Taki remake "Teya". Nawet Pelagia przeszła lifting:

L: Zaraz, zaraz... skąd ja panią znam? Czy pani czasem nie pochodzi ze Smoleńska?

S: A skąd!

L: No mówię! Ze Smoleńska.

S: A gdzie tam, panie redaktorze! Jestem miejscowa!

L: Mam wrażenie, że myśmy się już kiedyś spotkali. Czy pani nie ma przypadkiem na imię Polonia?

S: A gdzie tam! Polonia to już teraz taka restituta!

L: No i jak ten pani zakład? Rozbudował się?

S: Ja już tam nie pracuję.

L: Co? Zachciało się być w opozycji?

S: O pozycjach w moim wieku trudno mówić...

L: Strajkowało się?

S: A co pan, redaktorze? Gazet nie czyta?! My już bombek nie produkujemy. Powiem więcej. Likwidujemy. Świat się opił gorbaczówki. Wytrzeźwieje, będzie za późno!

L: A jak likwidujecie?

S: Biedniejsi to tną i i przerabiają na mniejsze, a bogatsi - wysadzają.

L: To gdzie pani teraz pracuje?

S: Zrobiłam sobie takie małe zoo. To jest spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

L: Tak. Na pewno pani za to kiedyś odpowie... A co pani sądzi o naszej obecnej sytuacji?

S: My jesteśmy przygotowani!

L: Mam nadzieję...

S: A jak się nadzieje, to my mamy.

L: I jak pani sądzi. Co teraz będzie?

S: Ja myślę, że teraz będzie ten... co ludzie chcą, a tego nie rozumieją... No ten...

L: Socjalizm?

S: To już było!

L: No właśnie nie było!

S: Nie było?! Ale mnie oszukali... Tyle składek na marne! No to teraz będzie ta... no...

L: Demokracja?

S: E tam! Panie, już wcześniej kradli! Będzie ten, no... co go w telewizji pokazują. Nie Disney, nie Myszka Miki, tylko ten...no... Pies Pluto!

L: Aha, rozumiem! Pani sądzi, że teraz będzie pluralizm!

S: No właśnie! Pluralizm! Ludzie już plużą na to wszystko!

L: A z tego pani zoo to można wyżyć?

S: Co najwyżej wyżywić, więc dorabiam trochę na boku, bo z samych czerwonych żyć się nie da. Potrzeba trochę zielonych.

L: A co na to niebiescy?

S: Z aniołami nie fruвам...

L: Pytam, po ile stoją?

S: Po trzech na rogu...

L: A gdzie pani dorabia?

S: Mówiłam już! Na boku... Czasem, po cichu, po nocach bijemy...

L: A kogo?!

S: Na razie swoich! Waryńskiego, Świerczewskiego, Moniuszkę, Chopina.

Wyspiański dostał dziesięć tysięcy na gołą...

L: A! Rozumiem! To pani pracuje w mennicy państwowej?

S: Zgadł pan! W męczennicy...

L: Tak patrzę na panią, pani Pelagio, i dostrzegam pierwszy siwy włos...

S: Gdzie?!!

L: Na pani skroni.

S: Też czuję, że się posunęłam...

L: I widzę blizny!

S: A, to - to stare. To jeszcze z wojny. Ta - jak wracałam z Berlina. A ta - jak mnie rowerem przejechał. Trzy razy. Takie było okrażenie.

L: Ciężkie czasy... Posiwiła nam pani przez te lata...

S: A co?! Może miałam ocipieć?!

No i drugi odświeżony tekst: Maluch.

Z tym, że to był *Maluch bis*...

L: Musimy Państwa serdecznie przeprosić za to, co teraz nastąpi. Albowiem pokażemy teraz Państwu malucha.

S: Razem?!

L: A co? Boisz się? Wracamy teraz do roku 1976...

S: To nie będzie maluch standard!

L: Ja wiem, że nie będzie standard, tylko bis.

S: No bis, bis...

L: Wiesz, co to jest BIS?

S: No, to jest skrót. Bierz i spadaj!

L: Przez te skróty tyle poruty... Ty skrótów nie umiesz czytać! Bis to jest: bieg i spłaty. I jedźmy, bo czasu mało, a zaległości wiele! Jedźmy...

S: Ty! Ale ja też chcę jechać!

L: Co?

S: Bo wózek jest jeden, a nas jest dwóch! BO WÓZEK JEST JEDEN, A NAS JEST DWÓCH!

L: Ty mi nie tłumacz jak głupkowi! Widzę, nie? Myślę, co zrobić...

S: Już raz myślałeś! Dojechaliśmy z Pięknej na Gnojną. Drugi raz nie jadę.

L: Oj, przestań, Bodzio! Teraz jest nowe myślenie! Co ty? Gazet nie czytasz?! Pierestrojka jest!

S: To już było!

L: To będzie rozpierestrojka! Coś będzie. Oj, nie kłóćmy się! Tak jak stoimy, podzielmy się na role.

S: No i co?

L: Ja będę za sterem.

S: A ja?

L: A ty będziesz... ten, co warczy...

S: Warcho!?!

L: Nieee, ten co, brum, brum... no motor! Przecież to jest takie proste, nie?

S: Dobrze, że jestem motor, bo ci za sterem to się zmieniają.

L: Skup się teraz. To będzie najważniejszy moment. Ja będę cię zapalał do pracy. Kolejny raz. Od tego bardzo dużo zależy. Bo jak ty zapracujesz, tak my razem daleko zajedziemy! A już czas się ruszyć z miejsca, bo cały świat się śmieje. Ten PGR trzeba skończyć.

S: Jaki PGR?

L: PGR to jest skrót. Pić, gruchać i ruchać, za pożyczone zielone!

A przed nami, w szerokiej perspektywie kolejnego programu... jak my ten zakręt wyrobimy... he, he, he.

S: Zakręt to pół biedy. Ale cały czas jest pod górę!

L: Byłoby z górki, motorek byłby niepotrzebny! Gotowy?

S: Yhy...

L: Do pracy!

S: Ououououououo... tfu...

L: To ja rzucam hasło: Do pracy! A ty mi...!

Podnieś maskę! Otwórz wlew! Za dużo palisz.

S: Spryskiwacz?

L: Co to? Ci dam samozapłon, to zobaczysz! Co to? Bis-automat czy co? Uszczelki

pokaż! Zasmarowane, że prześwitu nie widać! Gaźnik to ci chodzi! To się nie psuje...

S: Nie ma prawa! Na ssaniu od rana!

L: Przecież musimy się ruszyć! Bo tu będziemy tak dalej stali, to nam tylko zostaną wycieraczki! Czy ty to rozumiesz? Weź, popraw se pasek klinowy, świece do przodu! I... DO PRACY!

S: Ououououo... zdechłem...

L: Przy świadkach mówię! Jeszcze raz wstanę z wózka, to się żarty skończą! I pojedziemy do specjalistów! I tam was wezmą na kanał, śrubki przykręca, luzy zlikwidują i tłumik nałożą!

S: Ci... łośłoś?

L: Jak łośłoś przyjedzie, to cię zaciągną na parking strzeżony! I tam zardzewiejesz!

Ale ktoś mi lakier zdarł! Przy samej głowicy.

S: Gość się śmieje, jakby miał cały lakier!

L: Faktycznie. I też przy głowicy. Słuchaj, jak ty masz lakier zdarty, to ty jesteś stuknięty!

S: Po wypadkach.

L: Jak to się stało?

S: Gość z koniem nas wyprzedza!

L: To jest moja rola! Jeszcze raz z uporem maniaka powtarzam! Waszym zadaniem jest pracować, a naszym patrzeć, czy dobrze jedziemy! Do pracy!

S: Ouououou (pokazuje gest Kozakiewicza)

L: Cooo? To wy w takiej sytuacji pokazujecie mi wał korbowy? Pójście na zderzak?! Czy wy wiecie, że jedno takie"ou" to automatycznie dwa miliony pięćset tysięcy pięćset pięćdziesiąt dwie łyżeczki do herbaty mniej na rynku? Dwadzieścia milionów osiemset tysięcy trzydzieści dwie zakrętki mniej? Od pasty"Pollena" pilnie poszukiwanej?

S: Oraz sześćset dwadzieścia cztery tysięcy osiemset piętnaście złotych i siedemdziesiąt groszy na godzinę to kosztuje!

L: Co?

S: Takie gadanie pierdół w telewizji!

L: Chwileczkę! Bez emocji, bez emocji... Spokojnie. Pogadajmy. Jak motor z motorniczym.

S: O niczym...

L: Dlaczego?! O co wam chodzi?

S: Ja już dwanaście godzin jestem na chodzie!

L: Dwanaście godzin w tej sytuacji? Trzeba dwadzieścia cztery! Doba! Dwie, osiem dób!

S: Nie zmieści się! Mimo, że biss.

L: Dobra! Rozumiem. Pójdźmy na ten kompromis. Ale wszyscy! Soboty i niedziele macie wolne!

S: Brumbrumbrumbrum!

L: Po południu. Ale resztę dni tygodnia pracujemy na takich obrotach, że świat zadziwimy! Wskaźniki nie wytrzymają, normy przekraczamy!

S: To jest ta ustawa, co sama w życie wchodzi?

L: Tak! Trzeba przejść z ilości w jakość! I to jakość ze znakiem... Bym wam powiedział, z jakim znakiem!

S: Jakość nam nie wychodzi, a znak został...

L: Wy tak czasami się odzywacie, jakbyście mieli tylko pół baka... Czy wy jesteście dwusuw?

S: Nie... ale ochrzczony...

L: Chodzi o to, że nikt wam nie karze pracować systemem dwusuwowym! Że od dawna mamy już nowy system pracy!

Czterotakt ludowy! Na cztery! Ssanie, sprzężanie, praca! Wydech...

W styczniu 1989 zagraliście jeszcze w Anglii.

Mieszkaliśmy w takim słabym polskim hotelu "Shalimar". Właścicielem był Polak, pan Konopka. Był z nami wtedy Piotr Szczepanik, Stenia Kozłowska. Zenek twierdził, że świetnie zna angielski. Ktoś się pyta, co znaczy "Shalimar". "Do dupy hotel".

Chyba za karę nocowaliśmy razem z panem Zenkiem w jednym pokoju. Ja chciałem piwo wypić, a on już był przeciwnikiem. Podobno ześmy się przyjaźnili i dostaliśmy wspólny pokój. Niestety, nikt się nie chciał ze mną zamienić.

Ten wyjazd w ogóle był bardzo nieudany.

Finansowo też?

No, ktoś przechytrzył. Jak się za organizację koncertów brał rzeźnik, który wiedział, że na tym się zarabia pieniądze, ale nie wiedział, jak się to robi, no to wyszła afera finansowa. Artysta nie jest potrzebny tylko do tego, żeby kierownik zespołu się mógł załapać, a organizator zarobić, tylko musi zagrać i musi mieć za to zapłacone.

Błąd polegał na tym, że po sukcesie w Stanach Zjednoczonych zamiast stawki rozliczaliście się na procent?

To trudno było przewidzieć. Umówiłeś się na stawkę, przyszła kupa ludzi, ale ty już

z tego nic nie miałeś. I odwrotnie - umawiasz się na procent, a tu kłapa frekwencyjna.

Dlaczego tak wyszło? Nie byliście popularni wśród emigracji brytyjskiej?

Może to był zły okres? Jakieś szkoły, wakacje, słaba reklama.

Po tych dwóch tygodniach dla środowisk kombatanckich w Wielkiej Brytanii wystąpiliście jeszcze w Poznaniu w Teatrze Polskim i w Teatrze Wielkim. Ostatni akord to wyjazd na dwa dni do Częstochowy i ostatnia szansa porozumienia: czy kabaret ma być zawodem czy powołaniem. W efekcie każdy poszedł w swoją stronę. Nie da się zrobić zespołu z liderów.

Ale mnie się tu coś nie zgadza. Na początku stanu wojennego Zenon deklaruje, że ważna jest sztuka, nie pieniądze, i ten, kto pracuje dla pieniędzy, w kabarecie nie ma czego szukać. W latach 1989-90 zaś jedzie na tournée za bardzo duże pieniądze - z odgrzewanymi kotletami, zmiany polegają na odświeżeniu panierki.

Trzeba by się pana Zenka zapytać, co miał na myśli, mówiąc to, co mówił, i robiąc to, co robił. Ja wychodzę z założenia, że skoro wykonuję swój zawód, to chcę się z tego utrzymać. Dopóki mogę pracować.

No właśnie. Patrząc na ludzi, z którymi spotykałeś się na scenie, to chyba wszyscy - oprócz Urszuli Sipińskiej - dalej się szarpią z tym kieratem. Ona jedna znalazła inną drogę, nie musi się odmładzać, stroić, bywać, pokazywać, świetnie bawić się na scenie, kiedy korzonki rwą.

Dlatego wolałem mieć sklep z rybkami, żeby tu coś kapało i tu. Jak się te dwa strumyki połączyły, to można było nawet odłożyć, nie przejadało się tego. Było jakieś zabezpieczenie. Mogliśmy dom mieć, dobre życie. Dzięki temu mogłem synów zabezpieczyć. Sklep przepadł, nowego pomysłu nie było.

No i ostatni epizod Smolenia i Laskowika: Rejteyrada, maj 1990 roku, producent Jurek Krawczyk.

Zenek w tym czasie, choć już nie występował, wyjechał jeszcze do Ameryki. Nie na występy, tylko na takie spotkania w klubach polonijnych, gdzie opowiadał o kabarecie "Tey" jakieś anegdoty. Dostawał za te spotkania pieniądze. Wtedy znalazł go Jurek Krawczyk i zaczął przekonywać, że jak już tam występuje, to w Polsce też może. Wymyślił trasę koncertową w największych halach w całej Polsce. Zapytał Zenka, jaki chciałby skład na taką trasę. No to Zenek podał. Wszyscy się na początku bardzo cieszyli, bo skład był znakomity. A później o mało go nie zabiliśmy. Niepotrzebne to było. Te koncerty, te pieniądze. Straszny niesmak po tym został. Przynosił takie karteczki małe z fragmentami jakichś myśli swoich. Ale na scenie zjeżdżał z tematu cały czas. Ustalał ze mną przed wejściem na scenę, do jakiej

puenty dążymy, a kiedy wchodziliśmy, zaczynał od tej puenty i mówił:”A teraz co powiesz?”. Walczył cały czas. Ze sobą, z nami. Ze mną. Wymyślił scenografię, taki gigantyczny mur oparty na rusztowaniu. Musiał to TIR wozić, ale użyte było tylko raz na koncercie w Toruniu.

To była taka objazdowa impreza: trzy wejścia na dialog Zenka ze mną i Hanna Banaszak, Grażyna Szapołowska, Magda Umer, Edyta Geppert, Jan Kaczmarek, Krzysztof Jaroszyński, Janusz Gajos, Michał Bajor, Janusz Strobel, Kazimierz Kaczor.

To była chora impreza według chorej koncepcji Zenona Laskowika. Nie było żadnego scenariusza, nawet szkicu. Zenon zaczął zachowywać się jak człowiek szalony. Magda Umer występowała ubrana na czarno, Zenon ją zapowiedział:”Prosto z pogrzebu najbliższych - Magda Umer”. Janusz Gajos w czasie tych występów wyjechał na godzinę na Noc Kabaretową do Opola. Kiedy wrócił, Zenek podszedł do niego i powiedział:”Kręcisz się jak gówno w przeręblu”. Był nie do zniesienia. Nikt nie wiedział, czego się spodziewać, co on powie. Miał jakiś monolog o Hitlerze, Stalinie, papieżu, Bogu - wszystko było tak pomieszane, że nic nie można było zrozumieć. Tak jakby chciał zaszokować, wstrząsnąć.

Wszyscy go obchodzili wkoło. Był agresywny. Kiedyś obraził Grażynę Szapołowską, żeby sobie nie wyobrażała, że może śpiewać. Odpowiedziała mu:”Synku, ja ciebie razem z tym twoim teatrykiem mogę kupić. I chętnie zapłacę ci, żebyś już więcej nie grał”. I zjechała z trasy. Czyli - przestała z nami występować.

Dlaczego tak się stało? Pomieszenie pracy z misją? Zagubienie się w rzeczywistości?

Nie wiem.

Wtedy powiedziałem: Twoja matka miała na imię Maria, ojciec Józef, aż się dziwię, że tobie Zenek dali. I jeszcze: Pan Zenek w kolejce do Boga po talent stał trzy razy, ale po charakter jeszcze nie stanął.

Pan Laskowik lubił sobie po was pojeździć.

No, jak to on... Wszystko”to był tylko żart”. Wtedy z tą *Rejteyradą* występowaliśmy też we Wrocławiu. To było już po śmierci mojego syna. Był przy okazji jakiś artykuł w prasie wrocławskiej o śmierci Piotrka. Występowaliśmy w Hali Ludowej. I Zenek się zapytał ze sceny:”Wiecie, co się Bogusiowi stało?”. I taka cisza była.”Co się gapicie? Szyba mu pękła w mercedesie”. Zaczął mówić, że pracuję z drugą ligą, a ja wtedy pracowałem z chłopakami z”Pod Spodem”. Że mnie zajeździli jak łysą kobyłę. Zszedłem powoli ze sceny. Jeszcze miał być drugi koncert w tej sali. Ale ja już nie byłem na nim. Wsiadłem w samochód i wyjechałem. Bez względu na konsekwencje.

Spotykaliście się prywatnie kiedyś później?

Nie, nigdy. Po co jeszcze w domu miały mnie obrażać?

Po kilku latach, w październiku 1993 roku Zenon Laskowik przyszedł na spektakl Hurtownia Polska. Nie spotkał się wtedy z Bohdanem, ale zostawił kartkę. Kilka słów: że przeprasza, że bywał trudny, że choroba alkoholowa...



33. Teresa Smoleń. Kraków, ok. 1973 r.



34. Teresa i Bohdan Smoleniowie. Wakacje, okolice Krakowa, ok. 1971 r.



35. Warszawa "Karola", Krzysztof Sajdak (kierowca i właściciel Karoli) oraz Bohdan Smoleń.
Wyjazd na występy, początek lat siedemdziesiątych.



36. Teresa i Bohdan Smoleniowie ze znajomymi z czasów studiów. Ok. 1970 r.



37. Bohdan Smoleń, Władysława Tyran (teściowa Bohdana), Teresa Smoleń. Mieszkanie w Mistrzejowicach, ok. 1976 r. Widoczne meble zrobione przez Bohdana.



38. Teresa, Piotrek i Maciek Smoleniowie. Prawdopodobnie Kraków, ok. 1976 r.



39. Bohdan Smoleń. Poznań, ok. 1978 r.



40. Bohdan Smoleń. Kabaret "Tey", program *Zbiórka, czyli Z rolnictwem na Tey*. Poznań, 1978 r.



41. Bohdan Smoleń, Zenon Laskowik, zespół "Girls" oraz magik Ramigani. Kabaret "Tey", program *Zbiórka, czyli Z rolnictwem na Tey*, Poznań. 1978 r.



42. W drugim rzędzie: pierwszy od lewej Aleksander Gołębiowski, trzeci od lewej Marek Wilecki, trzeci od prawej Rudi Schuberth. Kabaret "Tey", program *S tyłu sklepu*. Poznań, ok. 1981 r.



43. Program Kabaretu "Tey" z 1980 r. *Na granicy*. Projekt Andrzeja Mleccki.



44. Program spektaklu *Uśmiechnij się - jutro będzie lepiej* granego w Wielkiej Brytanii. 1980

r.



45. Od lewej: Piotrek, Bartek, Afrodyta, Eleni, Teresa, Maciek, Bohdan. Wakacje rodzinne.
Grecka wyspa Korfu, ok. 1985 r.

Rozmowa IV

Tak bardzo czekaliśmy na wiosnę. Na zielone cokolwiek. Na skowronki wyznaczające

śpiewem swoje terytorium, na czajki, które mają głos jak jakieś urządzenie elektryczne, na bociany wracające do gniazda na słupie za stajnią. I stało się w tym roku tak, że wszystkie te ulubione symptomy, wypatrywane drobiazgi, pierwsze kielki, pędy i pąki przeszły bokiem, niezauważone.

Wypadek samolotu w Lesie Kabackim pamiętam jak przez mgłę. Jakaś informacja w *Dzienniku*, jakieś zdjęcia spalonych kikutów drzew w gazetach. Teraz - Smoleńsk - wszystko jest inaczej, media coraz umiejętniej sterują emocjami, nastrojami. Internet daje pole do popisu wszelkiej maści "społecznym dziennikarzom", gazety i telewizja dokładają do pieca z prawa i lewa. Dla kogo tragedia jest "najmojsza". Komu wolno przeżywać, a komu nie. Za to każdy bez ograniczeń może zobaczyć symulację komputerową ostatnich sekund lotu, przeanalizować najmniejszy nawet fragment roztrzaskanego kadłuba samolotu, porównać stroje żałobników, wyraz ich twarzy i zachowanie. Absolutny raj dla stabilizowanych nadawcy i odbiorcy.

Z uszami rozdartymi między radiem państwowym a TOK FM, ze wzrokiem wbitym w ekran TVN24, postanowiłam coś zrobić. W swojej naiwności wsadziłam dzieci do samochodu i pojechałam szukać jakichś zbiorowisk wspólnego przeżywania, jakichś spontanicznych zniczy, kwiatów. Chciałam, żeby dzieci poczuły, że jesteśmy częścią społeczeństwa, że możemy być razem. Przed cmentarzem w Puszczykowie pani sprzedawała znicze i kwiatki. Kupiliśmy, poszliśmy zapalić lampkę. Nie, nie pod krzyżem - poszukaliśmy jakiegoś opuszczonego grobu, gdzie można by... Oprócz nas nikogo nie było. Chodziliśmy po cmentarzu, rozmawialiśmy o śmierci.

Kiedy wróciliśmy koło południa do naszej miejscowości, na rynku atmosfera i frekwencja były takie jak w każdy inny weekend. Prowincja polska jest jak skała - nie ugnie się łatwo w swojej introwertyczności. Przy straganach kręcili się zwolennicy świeżych warzyw i chińskich bluzek za pięć złotych. Z daleka poznałam niebieskiego, mocno zdezelowanego żuka. Kupuję tam czasami ziemniaki i pszenicę dla kur. Nagle uświadomiłam sobie, że przecież oni mogą nic nie wiedzieć! Przyjechali na targ o świcie, a nikt nie chodzi z radiem przy uchu. Poszłam do żuka i wstrząśnięta tą niezmiennością rynkową zapytałam delikatnie mocno starszego przedstawiciela wsi, czy wie, co się stało. "Pani, podobno całą górę szlag trafił!". Ot co!

Na kanapie w Baranówku smutno. Nawet bardzo. Bohdan przeżywa Smoleńsk 2010. Relacja z powrotu pierwszej grupy ciał. Papierosy, papierosy. Pyta mnie grubym głosem: "Wiesz, jak nazywają taki samolot, który wozi trumny?". "Nie mam pojęcia". "Czarny tulipan". Siedzimy, pijemy, jak zwykle każde z nas co innego. Oglądam obrazki, bez

dźwięku. Samolot, żołnierze, flagi, delegacje, kwiaty, rodziny. Boję się, że Bohdan zaraz zacznie płakać, ma oczy zupełnie mokre.

Zastanawiam się, czy nie zadziałał syndrom zwany w psychologii nieprzeżytą żalobą? Wiem, że nosi w sobie historię, przeżycia, które są jak nocny koszmar.

Może to dobry czas, żeby zacząć tę najtrudniejszą ze wszystkich naszych rozmów?

Z nieba do piekła

Czasy poznańskie to stabilizacja, lepsze, coraz lepsze pieniądze. Mieszkanie, później dom w podpoznańskiej miejscowości Przeźmierowo. Na świat przychodzi trzeci syn Bohdana i Tereski. Smoleniowie otwierają sklep zoologiczny w samym centrum Poznania. Branża była logicznym następstwem ich wykształcenia i zainteresowań. Lokalizacja, wystrój lokalu, asortyment i nazwisko Bohdana miały być gwarancją sukcesu. Co prawda do sklepu częściej przychodziły wycieczki żądne zobaczenia Smolenia prywatnie niż wielbiciel skalarów i gupików, ale interes się kręcił. Inicjatywa wyprowadzała z równowagi kolegę z kabaretu, Zenona Laskowika. Wiele razy żartował ze sklepu, dogryzał na temat zarabiania "na rybkach". Jednak bilans był dodatni. Chociaż nadmierne zainteresowanie wielbicieli nie było łatwe. Ani dla Bohdana, ani dla jego rodziny. Czy można się przyzwyczaić do ciągłego wytykania palcami? Głośnych komentarzy? Uwag na swój temat wygłaszanych przez stateczną głowę rodziny do gromadki pacholąt? "Zobaczcie, to jest ten Smoleń! Patrzcie jaki cwaniak! Sklep se założył". Teresa była dość odporna, dzieci dawały sobie radę gorzej. Uwagi nauczycieli na temat tatusia plus ciągle "specjalne" traktowanie. Każde przewinienie kwitowano: "Co ty sobie myślisz?! Że jak tatuś jest w telewizorze, to tobie więcej wolno?!". Nie wpływało to dobrze na samoocenę chłopaków. Najtrudniej znosił to Piotrek. Nie chciał być ciągle wytykanym palcami synem Smolenia, chciał być sobą. Nawet jeśli to miałyby znaczyć, że jest... rozrabiaką.

Po rocznym rozstaniu przyjeżdżają do ciebie, do Poznania, Tereska i chłopcy. Gdzie zamieszkaliście?

Pierwsze mieszkanie było przy ulicy Gwardii Ludowej 10 / 4. Dwa wysokie pokoje w starej kamienicy. Mieliśmy tam nawet kominiek. Estrada się ciągle odgrażała, że załatwi mi lokum, ale ostatecznie po prostu zamieniłem moje krakowskie mieszkanie na poznańskie. I tak osiedliśmy się na Wildzie (dzielnica Poznania).

Ale najpierw, jak Teresa przyjechała z chłopakami do Poznania, to kilka dni mieszkaliśmy u Wojtka Michalskiego - kolegi z "Teya". Okazało się, że za wcześnie dotarli,

remont mieszkania jeszcze nie był skończony. A Wojtek był akurat po rozwodzie i kilka dni u niego byliśmy. Zaraz mój Maciek miał pierwszą pamiątkę z Poznania, bo przebiegał pod skrzynką na listy, pierdaknął głową i miał dziurę.

Z dziećmi było dużo różnych przygód. Kiedyś wieczorem byli już w łóżkach, mogliśmy z Tereską usiąść chwilę sami. Zrobiło się cicho w pokoju dzieci, myślałem, że nareszcie posnęły. Nagle słysząc wrzask! "Auuuuuu!!!". Wpadam do pokoju, chłopcy w łóżkach ponakrywani kołdrami na głowę. Pytam, co się stało. Cisza. Rozglądam się po pokoju, a w kontakt jest wciśnięty taki wielki gwóźdź. Pytam się, kto to zrobił. Nikt. Mówię do Piotrusia: Wyciągnij to."Nie, bo boli..."

Później kupiłem ziemię i dom w Przeźmierowie. Sad, łąka. A koło domu zbudowaliśmy oranżerię. To było takie spełnienie marzeń.

Przeglądam rachunki, faktury, umowy z czasów remontu i budowy. Różne ci pseudonimy fachowcy dawali: Bogumił, Bogusław, Bogdan, ale jakoś im ten Bohdan nie pasował. W 1983 zarejestrowaliście, a właściwie twoja żona, działalność gospodarczą. Otworzyła sklep.

To było rozszerzenie mojego hobby. Zawsze miałem akwaria, lubiłem to. W naszym sklepie było inaczej niż w innych sklepach zoologicznych wtedy. Nie było czuć zwierząt, było elegancko. Miałem rybki nawet z Tajlandii. Wymyśliłem taką akcję marketingową - w Dzień Dziecka na Starym Rynku były różne konkursy, występy. Wysłałem pracownika z wiadrem pełnym rybek. No i on dzieciom dawał w woreczku po dwie rybki, po trzy. I stoją dzieci z tymi rybkami w rękach. I co teraz? Rodzice mówią: "Przecież nie mamy w domu akwarium". A mój sklep był sto metrów od Rynku. I wszyscy przyszli do mnie kupić dla rybek wyposażenie: akwarium, roślinkę, piasek, jedzenie.

Dla pana Zenka to było niewyobrażalne, żeby artysta kabaretowy handlował rybkami.

Mój pomysł polegał na tym, żeby była jakaś alternatywa dla kabaretu. Teresa bardzo dobrze prowadziła ten sklep.

A nie było wtedy łatwo inicjatywie prywatnej. Urząd Skarbowy prowadził na przykład tak zwane kontrole z nasłuchu. Stał pan w kolejce i nasłuchiwał, że ktoś kupił trzy gupiki i dwie zeberki. A później wpadał i pytał: "Gdzie to jest odnotowane?!". Remanent roczny - gupik samiczka, gupik samczyk, mieczyk, platynka, brzana - każde zwierzątko i każda smycz: ile sztuk i "gdzie te rybki". Urząd Skarbowy dbał o prywatną inicjatywę, tak jak teraz. Z czułością dużą. Kontrole i podatki. Ale niektórzy urzędnicy lubili rybki. I kupowali taniej, a nawet dostawali za darmo. A to chyba nie było zgodne z przepisami. Ja się mogłem zawsze wytłumaczyć, że coś tam było pomyłonego, że mogło mi się coś źle podliczyć. Zrobiliśmy też

kiedyś z Tereską interes życia. Kupiliśmy w Tajlandii ponad trzy tysiące krabów, takich malutkich, akwariowych. I wszystkie te kraby padły w ciągu kilku dni. Przewoziliśmy je w plastikowych mydelniczkach. Zostaliśmy z tymi setkami mydelniczek.

Kiedy tak opowiadasz o intensywności waszego życia na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, i tego zawodowego, i towarzyskiego, to trudno mi uwierzyć, że dałeś radę być jeszcze troskliwym ojcem trzech synów.

To jest taki okrutny paradoks. Chcesz utrzymać dom, musisz pracować. Im więcej pracujesz, tym większe pieniądze. I coraz więcej bankietów, znajomych. Możesz powiedzieć stop? Zatrzymać to szaleństwo? Nie. Bo to jest już tak rozpędzone, że jak zahamuje, to zgniecie i ciebie, i innych. Ja powiem - nie jadę, nie pracuję! A koledzy, którzy są ze mną w zespole? A ci, którzy przygotowywali koncert? Nasze życie polega na tym, że nie ma ośmiu godzin pracy. Nie ma jakiejś normy. Na przykład: tata jest rano w domu i odprowadza dzieci do szkoły. A ja rano mam odespać, bo ja pracuję w nocy. Obojętnie, ile godzin. A jeśli po koncercie jest bankiet, to wiadomo, że muszę dłużej spać. Albo wyjazd w trasę. Wtedy mnie fizycznie nie ma w domu przez tydzień albo miesiąc.

Teresa była bardzo związana z chłopcami. Wszystko o sobie wiedzieli, ona była od problemów w szkole, od takiego życia codziennego. Ja tylko wtedy, kiedy byłem w domu, mogłem się nimi zajmować. I wtedy pracowaliśmy w ogrodzie, w sadzie. Rozmawialiśmy, znałem ich marzenia, potrzeby.

Udawalo się wam nawet wyjeżdżać na rodzinne wakacje.

Niezbyt często, ale jeździliśmy. Helka¹³ zorganizowała dla nas wakacje w Grecji, na Korfu. Ona z rodziną, z córką Afrodytą, i my wszyscy: Teresa, Maciek, Piotrek, Bartek. Wspólne lato. Ledwie przyjechaliśmy, chłopcy wyskoczyli z samochodu, bo jakieś kwiatki zobaczyli. I Maciek na skale rozwalił stopę. Zaraz pojechaliśmy na pogotowie. A tam lekarz chciał uparcie ze mną po angielsku mówić, więc ja do niego: Katastrofi! Krzyczę i igłę mu do ręki wkładam: Szyj, nie gadaj tu ze mną!

No i Maciek do końca wakacji chodził w bandażu, nie mógł do morza wchodzić.

Na zdjęciach z Grecji jest córka Eleni Afrodyta, twoja żona Teresa, syn Piotrek. Uśmiechnięci, opaleni... Byliście tam w lipcu 1985 roku. Jeszcze tylko pięć lat i wszystko się zmieni.

Powiedz mi, jaka jest twoja wiara w Boga? Jest, nie ma jej?

Wiara mi w niczym nie przeszkadza. Jest kilka religii, które mi się podobają. Buddyzm na przykład.

A ślub kościelny miałeś?

Nie, jestem jeszcze przed ślubem kościelnym.

Synowie byli chrzczeni?

Tak, poszli sobie piechotą do chrztu. Zdecydowaliśmy, że jak skończą co najmniej szesnaście lat i będą chcieli być ochrzczeni w wierze katolickiej, to wtedy sobie pójdą do kościoła. Załatwiałem im kościół, księdza. Chciałem, żeby zdecydowali sami, a nie żeby ktoś ich wodą polewał zimną po głowie - nieświadomych.

We wszystkich sprawach tak świadomie wychowywaliście dzieci?

Raczej tak.

Maciek urodził się w 1973, Piotrek w 1974, a później dłuższa przerwa.

Ale tatuś sobie przypominał, jak się dzieci robi, i jeszcze sobie jedno zrobiliśmy. Bartek urodził się w 1979 w Poznaniu.

Właśnie z twoją rodziną związany jest temat, który nurtuje opinię publiczną i media. Tajemnica, tragedia, niejasna historia. Co dla mnie zrozumiałe, nigdy nie chciałeś mówić o tym publicznie. Ale zawsze byłeś podpytywany, spekulowano, co się właściwie stało. Ludzi bardzo interesują cudze nieszczęścia, a dziennikarze wierzą, że nic tak nie podnosi sprzedaży jak śmierć.

W 1989 roku wasz środkowy syn, Piotr, odebrał sobie życie.

Czy rozmawialiście, roztrząsaliście z Maćkiem i Bartkiem, jak to się stało, że Piotrek zginął? Że stracił wiarę w to, że może przyjść do braci, do rodziców, powiedzieć coś ważnego, szukać pomocy?

Teraz nie jest to tajemnicą między nami, wiedzą tyle, co ja. Ale...

Bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak wyglądały te ostatnie godziny życia Piotra. Miał piętnaście lat. Wyszedł po taśmy z "Teya", które pożyczył koledze. I już nie wrócił do domu.

A dlaczego pożyczył? Chłopcy pożyczali kolegom te taśmy?

Chyba się chciał ojcem pochwalić.

Skąd miał odebrać kasety?

Z Poznania, z Wildy.

Czym pojechał? Z Przeźmierowa na Wildę jest kawalek.

Autobusem.

Ale dojechał w ogóle na Wildę? Był u tego kolegi?

Nie wiem. Znali się ze szkoły, wcześniej mieszkaliśmy przecież na Wildzie, Piotrek chodził tam do podstawówki. Ale czy do niego dotarł i czy odebrał kasety - nie wiem. Ten kolega się nigdy do mnie nie odezwał. Może coś go natchnie jeszcze. A te kasety zniknęły.

W Przeźmierowie Piotrek kolegował się z wieloma chłopakami. Listonosz, jak mnie widział, to dostawał spazmów, dwa razy miał atak serca.

Dlaczego?

Bo w rzeczach, które znaleziono przy Piotrusiu, był nóż pożyczony od syna tego listonosza. Pasek, na którym wisiał, też był jego.

Z kim się kolegował Piotrek? Z jakimi grupami?

Z różnymi. Miał wielką umiejętność zaprzyjaźniania się z różnymi ludźmi.

Myślisz, że synowie musieli walczyć z twoim mitem? Musieli udowodniać, że nie świecą światłem odbitym, że są sobą?

Tak. Nie tylko wśród rówieśników mieli ciężko. Pani w szkole potrafiła do mojego syna mówić "Pelagia". Albo pytać na lekcji chłopców: "Gdzie ojciec teraz chałturzy?". Cokolwiek zrobili, narozrabiali, to zaraz z tego była afera, że mają przewrócone w głowie, że im się wydają, że mogą więcej. Ciężko mieli, naprawdę.

Udowodnij, że jesteś twardy, że możesz iść ukraść coś ze sklepu, pobić się, pić. Podpuszczanie.

Tak. Taki Piotruś był. W domu nie było żadnych konfliktów, z Maćkiem i Bartkiem nic nie rozrabiali. Nie zażywał narkotyków. Bardziej go interesowało wino. Potrafił jabola w parku z kolegami wypić. Bardzo chciał imponować innym, że on sam coś potrafi, za wszelką cenę. To nie był taki grzeczny chłopiec, zawsze miał swoje zdanie, swoje pomysły. Myślę, że mogło być tak: spróbuj się powiesić, a my cię odetniemy... albo sam się odetniesz. Miał pasek i nóż nie swój.

Milicja go znalazła?

Nie, osobiście go odcinałem. Rano przyszła sąsiadka. Zapytała, czy Piotrek jest w domu. Powiedziałem, że tak, i poszedłem do jego pokoju, bo byłem pewien, że wrócił w nocy, on tak robił. Wchodził przez taką swoją drogę, przez dach. Ona wiedziała już, co się stało, ale nie była w stanie mi tego powiedzieć. Zobaczyłem, że Piotrka nie ma - wyszedłem go szukać. Powiesił się jakieś trzysta metrów od domu, na płocie, od zewnątrz. Tam była taka dzika ścieżka. Z okien nie było nic widać. To były resztki płotu, taka konstrukcja. Piotrek zmarł w Wielki Piątek.

W czasie dochodzenia milicji okazało się, że w Przeźmierowie wszystkie dzieci chodzą spać o dwudziestej. Nikogo nigdzie nie było. Nikt nic nie widział, nikt nie rozmawiał z Piotrkim. Jedynym dzieckiem, które nie było o ósmej wieczorem w łóżku, był Piotr. Piotrka największym marzeniem był motocykl. Był w Przeźmierowie ktoś, kto pożyczał chłopakom ten motocykl, oni jeździli w trójkę, czwórkę. I tego wieczoru jeździły ukochane

motory Piotrusia, był widziany wieczorem, jak prowadził motocykl w Przeźmierowie.

Czyli był w Przeźmierowie od wieczora, chodził gdzieś, krążył. O której godzinie to się mogło stać?

Koło 1 chyba. Wyrzuciłem wszystkie papiery, dokumenty. Nie jestem jakimś hobbystą czy masochistą.

Kiedy odciąłeś swojego syna, myślałeś, że zrobił to sam czy że ktoś mu pomógł?

Jestem przekonany, że był ktoś drugi z nim. Ktoś mu to zrobił albo kazał mu to zrobić.

Nie było podejrzeń, że to miało być wymierzone w ciebie? Że to ciebie ktoś chciał postraszyć?

Nie, absolutnie. Nigdy nie miałem żadnych przykrości, podpaleń, kradzieży, nie robiono mi nic z samochodem. Nikt mnie nie straszył, nie szantażował. Nigdy tak nie było.

Po śmierci Piotrusia nie pojawił się ktoś, kto mógłby ci pomóc zrozumieć? Jakiś świadek, kolega?

Nie. Tam jest skrywana jakaś tajemnica przeźmierowska albo może wildecka.

Czuliście się winni oboje z żoną? Że nie zauważyliście, że dzieje się coś złego?

Nie mogłem się winić. On miał swoje tajemnice. Nie można kontrolować we wszystkim dziecka.

Szukaliśmy wszędzie odpowiedzi, jak to się stało. Teresa przez rok właściwie nie oprzytomniała. Byliśmy nawet u jakiejś domorosłej wróżki. I ona powiedziała, że Piotrek był niekochany w domu. Że nie zaznał serca. To dobiło Teresę. Była bardzo wrażliwa. Powiedziała mi: "Ty dasz sobie radę z dziećmi, ja już nie mogę, bo brakło tego jednego". Strasznie tęskniła za Piotrkim. Jeszcze wypowiedzieli nam miejsce, w którym Teresa miała sklep. Nie wiem... To już było za dużo.

A dlaczego uważała, że dasz sobie radę bez niej?

Bo wiedziała, że jestem silniejszy. Piotra zabrakło, ale dwóch jeszcze zostało. Nie wiem, dlaczego nie dała rady. Za dużo była sama w domu, dużo rozmyślała.

Ona miała ewidentną depresję. Nie szukaliście pomocy u lekarza? Nikt wam nie pomógł wtedy.

Myślałem, że matka trojga dzieci ma wielką siłę życia, że jest silna. A ona była zupełnie załamana, oskarżała się. Do tego dochodziły plotki, ludzie ciągle obserwowali, gadali. W ten dzień, kiedy się zabiła, mieliśmy w domu gości. Gdyby była w jakimś złym nastroju, nie zgodziłaby się na wizytę gości przecież. Nie pomyślałem, że jest aż tak źle.

Teresa zabiła się prawie rok po śmierci Piotrusia.

Wieczorem przyjechał kolega Andrzej, on wtedy już mieszkał na stałe w Szwecji. Piliśmy, rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o śmierci. W pewnej chwili Teresa poszła na górę, była zmęczona.

Kiedy goście już wychodzili, bo mieli spać w Baranowie - od nas kawalek - poszedłem po nią, żeby się zeszła pożegnać. Powiesiła się na biustonoszu. Odszarpnąłem ten stanik, próbowałem ją reanimować, ratować. Zmarła mi na rękach. Nic już nie powiedziała, była nieprzytomna. Zawołałem: "Andrzej, Andrzej! Popatrz, co się stało!". A on, jak był pijany strasznie, tak wszedł w samochód i uciekł. Nie wiem, jak dojechał do Krakowa. Ale jakoś dojechał. Potem pogotowie.

Jak to się stało, że nie zwariowałeś?

Jeszcze musiałem przytrzymać zwłoki żony tak długo, żeby dzieci poszły rano do szkoły, dopiero wtedy pozwoliłem ją wyprowadzić. Chłopcy wiedzieli, że mama zmarła, ale jak, dlaczego - nie wtajemniczałem ich. Dopiero później. Maciek miał szesnaście lat, Bartek jedenaście. Potem zmarł ojciec mojej żony, matka.

Gdzie szukałeś pomocy?

Przyjechał mój ojciec i siostra z córką. Przez rok mieszkali z nami.

Ilona, twoja siostra, często jest pytana przez znajomych i nieznajomych: „Jaki jest brat? Jakie opowiada dowcipy w domu?!”. Mnie powiedziała tak: „Wszystkim się wydaje, że Bohdan jest taki wesoły, dowcipny. A on jest smutniejszy, niż wszyscy myślą. Pamiętam, po śmierci Tereni, kiedy wracał z trasy, to siadał przy stole, podpierał głowę i tak siedział, i siedział... parę godzin”.

Pierwsze pytanie kolegów z zespołu brzmiało: "Kiedy będziemy grać następny koncert?". Nie jak ja się czuję.

Bardzo kochałeś Teresę?

Tak.

Ona ciebie?

Też.

Zostawiła jakiś list, coś dla synów?

Nie.

A Piotrek?

Też nie.

Czułeś gniew, szukałeś winnych?

Ciągle pytałem - dlaczego? Ale nie czułem żadnej nienawiści. Nie robiłem żadnej nagonki na nikogo, nie chciałem się mścić. Musiałem zająć się Maćkiem, on też próbował po

Piotrku.

Był wtedy taki tygodnik "Poznaniak". Jakaś panienska i fotoreporter mnie dopadli. Powiedziałem: Jeszcze jedno zdjęcie mi zrobisz, to ci to szkiełko do oka wsadzę. A panienska mówi, że nie szkodzi: "I tak mam zdjęcia z sekcji zwłok pana żony". I że zamieści to w gazecie. Poszedłem do właściciela tej gazetki, żeby nie grzebał w moich trumnach. Ten artykuł się nie ukazał.

A zupełnie już mi odpuściło po tragedii córki Eleni. Zastrzelił ją narzeczony. Pojechałem Helce pomóc, stałem pod domem i krzyczałem do tych dziennikarzy, którzy tam się kłębili: Spierdlajcie!

Nie poszedłeś w stronę Kościoła?

Nie, a jeszcze jakiś wikary z Przeźmierowa mi powiedział, że to moja wina. Bo Piotrek nie mógł w domu się alkoholu napić, tylko z kolegami musiał ukradkiem. Chwyliłem go za szmaty: Jak będziesz miał swoje dzieci, to możesz z nimi pić w domu, jak będą miały szesnaście lat.

Teorie niektórych religii mówią, że cierpienie uszlachetnia, że człowiek po konfrontacji z ostatecznością wraca na drogę wiary czy prawdy, że zmienia podejście do życia.

Na mnie to nie działa. Śmierć moich najbliższych nie zrobiła mnie lepszym ani gorszym. Zrobiła mi wielką, niewyobrażalną dziurę. Ale nie była do niczego potrzebna, nie dała nic dobrego.

Sprzedalem tamten dom. Za dużo się przypominało.



46. Irena Kwiatkowska i Bohdan Smoleń.
USA, lata siedemdziesiąte.



47. Barbara Krafftówna i Bohdan Smoleń. USA, lata siedemdziesiąte.



48. Bohdan Smoleń i Michał Grudziński. Spektakl *Paranoia*, scenariusz Krzysztof Jaślar, reżyseria Leszek Czarnota. Poznań, 1983 r.



49. Od lewej: Jerzy Banaś, Aleksander Gołębowski, Andrzej Zaorski, Bohdan Smoleń, Andrzej Czerski, Krzysztof Deszczyński. Komedia antyczna *Wykopalska*, reżyseria Krzysztof Jaślar. Ok. 1985 r.



50. Od lewej: Krzysztof Deszczyński, Bohdan Smoleń, Andrzej Czerski. Spektakl *6 dni z życia kolonisty*, reżyseria Krzysztof Deszczyński. Łódź, ok. 1985 r.



51. Widownia dziecięca na spektaklu *6 dni z życia kolonisty*.
Łódź, ok. 1985 r.



52. Drugi z lewej Aleksander Gołębiowski, obok Bohdan Smoleń. Spektakl *O!... smolone nosy!*, reżyseria Krzysztof Deszczyński. Ok. 1992 r.



53. Okładka programu spektaklu *Wykopaliska*.



54. Strona z programu

Wykopalisk.



55. Bohdan Smoleń i Aleksander Gołębiowski. Spektakl *Wykopaliska*. Ok. 1987 r.

Lot 304 - 6. Combined.

ARTEX INTERNATIONAL
POLSKIE LINIE LOTNICZE **LOT**
prezentuje
najnowszy program kabaretowy

Hurtownia Polska
spółka Z.O.O.

opracowali:
Bohdan SMOLEŃ
Jan T. STANISŁAWSKI

z udziałem:
Marzena Osiewicz
Julia Rosińska
Krzysztof Deszczyński
Rafał Piechota
Grzegorz Rehliński

Producent:
Andrzej Kołaczyński

DNIA 6 MARCA (sobota)
godz. 4:00 i 7:30 pm
PATRIOTIC HALL
1816 S. Figueroa LA

Bilety w cenie: \$12, \$15, \$20 na przedstawienie o godz. 4:00
\$15, \$20, \$25 na przedstawienie o godz. 7:30

PRZEDSPRZEDAŻ BILETÓW: TADEUSZ I ELŻBIETA BOCIANSKI tel. (310) 837-9542
POLISH ART & CULTURAL AGENCY **POLART**
4022 Indian Wood Rd. # 387 Culver City, CA 90230

Handwritten notes on the right side of the poster:
Jadwiga Andruszewska
818-761-8254
1310/1721903

56. Plakat reklamujący spektakl *Hurtownia Polska* na trasie w USA. Pierwsza połowa lat dziewięćdziesiątych.



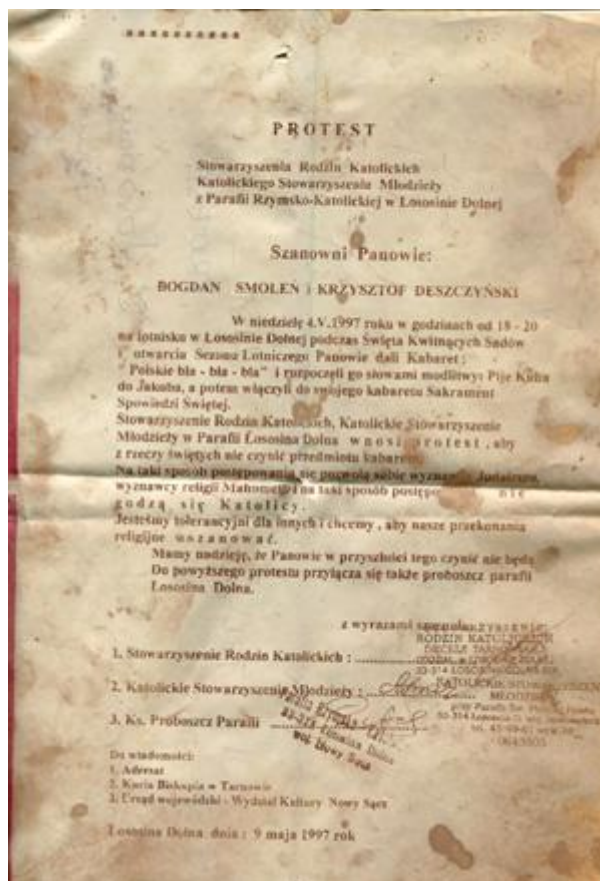
57. Członkowie Kabaretu "Długi", z tyłu Elżbieta Jodłowska. Spektakl *Chirurgia zakaźna*, reżyseria Krzysztof Jaślar. Początek lat osiemdziesiątych.



58. Bohdan Smoleń w roli Sumienia Narodu, "Kabaret Bohdana Smolenia". Ok. 2000 r.



59. Bohdan Smoleń i Józef Romek. "Kabaret Bohdana Smolenia". Ok. 2000 r.



60. Pismo Stowarzyszenia Rodzin Katolickich. 1997 r.



61. Australia, ok. 2000 r.



62. W środku Jolanta Smoleń (druga żona Bohdana).
RPA, ok. 2000 r.



63. Soweto, RPA, ok. 2000 r.

Rozmowa V

A więc - powódź! W życiu nie przypuszczałam, że nasza płaska rzeczywistość jest zagrożona wielką wodą. Wąska droga łącząca domy Bohdana i mój jest nieprzejezdna.

Zastawiona przez strażaków, zalana wodą, obłożona workami z piaskiem. Wytyczony objazd gwarantuje ciekawą i długą wycieczkę po okolicy. W tym przejażdżkę leśnymi duktami. Jest trochę nerwowo, śmieszno i straszno. Woda podchodzi pod domy w Rogalinku, co nie przeszkadza ludziom na wyprawy rodzinne, „żeby sobie pooglądać”. Nasza trasa dojazdowa do Poznania też jest zagrożona zalaniem, co chwilę słychać syreny straży pożarnej. W szpitalu w Puszczykowie wybiły studzienki kanalizacyjne, w Luboniu zatopiony stadion, a na Dębinie ujęcie wody dla Poznania.

Zalane łąki - Bohdan martwi się, że nie będzie siana. A jak będzie, to drogie. Oglądamy wiadomości w TVN24. Fala kulminacyjna coraz bliżej. Jakoś mało wiarygodnie wygląda szereg białych worków ułożony na wielkiej płachcie folii wzdłuż drogi. Może gdyby strażacy stanęli razem i trzymając się za ręce, zaczęli powtarzać: "Woda sio!", byłby lepszy efekt? Teraz nagle wszyscy wiedzą, żeby nie stawiać domów na terenach zalewowych, nie siał tam, gdzie starorzecze. Nie budować osiedla nad brzegiem rzeki. Ale za pół roku znowu zapomną. Nasze gminne władze pochylają się z troską nad rozlaną wodą i szybko zmykają do położonych wyżej budynków. Nikt nie lubi chodzić w przemoczonych butach. Bohdan nie używa parlamentarnych słów w rozmowach z telewizorem. Jest zły i nie czuje się dobrze. A do tego robi się coraz cieplej.

Lata osiemdziesiąte

Jaki zapach miał pusty sklep? Bardzo charakterystyczny. Zwłaszcza jeśli był to sklep wyłożony kafelkami, czyli nabiałowy bądź mięsny. Czuć było chłód ceramicznych ścian, jakiś zapach metalu, ledwo błakającą się woń mokrej ścierki do mycia podłogi. Głęboko w tle - lizol. To był zapach niczego, czyli tego, co było w sklepie.

Aż nagle czasem z okazji święta państwowego, a czasem zupełnie bez przyczyny, rzucono towar. I wtedy w kolejkach, całkiem demokratycznie, wystać można było wszystko. Papier toaletowy i meble kuchenne, kawę i pralkę. Nie było różnicy. A pod sam koniec lat osiemdziesiątych w kolejkach demonicznych, w kolejkach jak panoptikum, jak niewyobrażalny twór o tysiącu głów, w kolejkach dwudziestoczerogodzinnych, wielodniowych wystać można było nawet paszport.

Lata osiemdziesiąte - kilka miesięcy pierwszej "Solidarności" i kilka lat stanu wojennego. Od 13 grudnia 1981 do 22 lipca 1983. Dziwny to czas był zaiste: co innego widzisz, co innego słyszysz, a zupełnie co innego myślisz. W sierpniu 1980 wszyscy zasmakowali wolności, mogli już prawie przywitać się z realnym ruchem demokratycznym. W porównaniu z latami siedemdziesiątymi było bardzo dużo dość łatwo dostępnych wydawnictw niezależnych. Prasa, książki. Były wydawane nawet pamiątkowe medale. Z drugiej strony agresja rządzących stała się groźna dla życia i zdrowia rządzonych. Ile osób zginęło? Szacuje się, że około stu. W stanie wojennym mieliśmy godzinę milicyjną, cenzurę korespondencji oraz "rozmowy kontrolowane", a w zamian zdelegalizowano między innymi Niezależne Samorządne Związki Zawodowe, Niezależne Zrzeszenie Studentów, zlikwidowano Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, Związek Polskich Artystów Plastyków,

Związek Literatów Polskich. Kilkaset tysięcy Polaków wyjechało za granicę i to nie na wakacje...

Jeśli dane IPN-u są prawdziwe, to do 1989 roku z SB współpracowało około trzech milionów Polaków. Czyli szanse na spotkanie z TW (tajnym współpracownikiem) były bardzo duże. Możemy przyjąć jako pewnik, że kabaret "Tey" i jego pracownicy mieli swoje "teczki". I Smoleń, i Laskowik byli figurantami, a więc osobami szczególnie interesującymi dla Służby Bezpieczeństwa państwa. Tak w każdym razie wynika z treści tajnego dokumentu z sierpnia 1980: "występy (w latach 1978-79) figurantów Wydziału III KW MO w Poznaniu - Z. Laskowika i B. Smolenia, zabezpieczone były przez utrwalanie ich występów".

Zaskakujące jest to, że większości dokumentów i taśm dotyczących działalności kabaretu "Tey" i samego Bohdana Smolenia, które były skrzętnie gromadzone w Wydziale III KW MO w Poznaniu, już nie ma. Zniknęły. To, co przetrwało, podnosi włosy na głowie nie z powodu przemyślnego zła, ale dokładnie odwrotnie - z powodu absolutnie nieproporcjonalnego stosunku zaangażowanych: czasu, środków i ludzi pracujących nad sprawą, do efektów.

Jedynymi istniejącymi materiałami są bowiem fragmenty sprawy obiektowej z lat 1980-84 o kryptonimie "Derby". Sprawa dotyczyła spotkań kabaretowo-estradowych, które odbywają się w Koninie od roku 1978 do dziś, z przerwami między innymi na stan wojenny.

7 sierpnia 1980 roku w piśmie tajnym specjalnego znaczenia w egzemplarzu pojedynczym inspektor Wydziału III w Koninie, podporucznik Stanisław B., pisał plan. Wyznaczał cel, opracowywał taktykę. Celem sprawy miało być "objęcie kontrolą operacyjną całości przebiegu imprezy, niedopuszczenie do powstania szkodliwych aktów, rozpowszechniania negatywnych treści politycznych przez wykonawców tekstów oraz zapewnienie ładu i porządku publicznego". Ład i porządek miało zapewnić usadzenie w każdym sektorze publiczności po funkcjonariuszu SB, uruchomienie "osobowych źródeł informacji usytuowanych w środowiskach Wojewódzkiego Domu Kultury i dziennikarskim (TW Ryszard, TW Mirecki, TW Mirek, TW Arnold)", nagrywanie występów i wzmocnienie patroli MO. Między Warszawą a Poznaniem i Koninem krążyły tajne pisma, szyfrogramy, kasety z nagraniami, dyrektywy i rozkazy. Na czterech stronach formatu A4 rozpisano, gdzie i kiedy będą spali wykonawcy i ekipa techniczna. 14 sierpnia 1980 roku o godzinie 9.30 nadano z Poznania szyfrogram rozszyfrowany w Koninie o godzinie 9.35. Naczelnik III Wydziału KW MO, major Jerzy S., prosił o "operacyjne zabezpieczenie występów kabaretu". 18 sierpnia w odręcznej notatce urzędowej starszy inspektor Wydziału IV (podpis

nieczytelny) podsumowuje występy: "najbardziej tendencyjne wystąpienie mieli Z. Laskowik, B. Smoleń, Drozda, Ofierski, Ross, Komar, Łazuka - nawiązywały one do obecnej sytuacji polityczno-

- gospodarczej". "Tey" musiał być naprawdę bardzo popularny, skoro tylko Smoleń i Laskowik zapadli starszemu inspektorowi w pamięć nie tylko z nazwiska, ale i imienia.

Mimo takiej ochrony i wysiłków wielu mniej lub bardziej tajnych pracowników nie osiągnięto żadnych spektakularnych efektów. Nie wytropiono KOR-owców na widowni, żadnych ulotek, transparentów ani nawet napisów na murach. Tyle że 21 sierpnia do rąk własnych naczelnika z Poznania trafiły² (dwie) taśmy magnetofonowe z nagraniami kabaretu »Tey«.,.

Po zniesieniu stanu wojennego, w 1984 roku Konińskie Derby wróciły. Tym razem do imprezy zaczęto przygotowywać się już w kwietniu i to dość ambitnie. Nawet na etapie kompletowania wykonawców trwały narady "w zaświatach": koniński kapitan Bogumił W. pisze naczelnikowi Wydziału I Departamentu III w Warszawie, iż "chciano również nawiązać kontakt z Andrzejem Szczepkowskim, jednak na skutek naszej interwencji zrezygnowano z usług tego wykonawcy. W przypadku gdyby wśród wykonawców znajdowały się osoby, które nie powinny wystąpić w imprezie proszę o podanie ich nazwisk celem niedopuszczenia do sfinalizowania z nimi umów". A 11 lipca Bohdan Smoleń doczekał się tajnego pisma w całości poświęconego jego osobie. Tym razem zastępca naczelnika III Wydziału z Konina spieszy donieść naczelnikowi z Warszawy: "niektórzy wykonawcy [...] zamierzają prezentować teksty, które nie zostały zaakceptowane przez Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk. Sytuacja ta dotyczy zwłaszcza Bogdana Smolenia [...]. Istnieje obawa, że podobnie jak podczas Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu wykonawca przedstawi program wg własnego uznania, godząc się na zapłacenie ewentualnej kary". Taka ewentualność zagniewała pułkownika Krzysztofa M. z Warszawy: "W sytuacji znaczących odstępstw tekstowych, o antysocjalistycznym wydźwięku, od zatwierdzonych przez cenzurę (Smoleń, Pietrzak) proszę zabezpieczyć możliwość wykorzystania operacyjnych nagrań do celów procesowo-śledczych". Już 30 lipca kapitan Bogumił W. z Konina uspokaja Warszawę: "Informuję, że blok programowy B. Smolenia został zdjęty z programu imprezy [...], w załączeniu (27 stron maszynopisu) przesyłam teksty Jana Pietrzaka".

Po wszystkim, 9 sierpnia, pułkownik inżynier Zenon J. recenzował smętnie Pierwszemu Sekretarzowi KW PZPR w Koninie, towarzyszowi dyrektorowi Lechowi C.: "do imprezy zaangażowano zbyt dużą ilość wykonawców [...], z komentarzy na widowni należy stwierdzić, iż aktualnie istnieje wielkie zapotrzebowanie społeczne na wszelkiego rodzaju

impresy satyryczne i kabaretowe [...], fakt odbycia się Derbów spowodował rozładowanie atmosfery i ironicznych komentarzy na terenie Konina i województwa, co do postawy władz wobec imprez kontrowersyjnych”. A na zakończenie uwaga dobitnie udowadniająca, że szef Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, pułkownik inżynier Zenon J., był obrońcą moralności.”ponadto Szubert, Komar, Mec, Drozda, Gajos wyróżniali się również w sensie negatywnym na terenie m. Konina (pijackie rozróby, spanie na schodach w hotelu lub postoju taxi, pobicie oraz publiczne prezentowanie nagości)”. Pocięciem była mu pewnie postawa mieszkańców Konina:”Godnym podkreślenia jest fakt, iż w trakcie trwania imprezy nie zanotowano żadnych wrogich aktów na widowni”.

No dobrze, to teraz bez ogródek: kto prezentował nagość w Koninie? Może ty, nie daj Boże?

Nie mam pojęcia, kto się rozbierał. Ale jeśli chodzi o to pobicie, to wiem doskonale.

Władek Komar. Otóż w Domu Kultury w Koninie była pewna pani Krysią. Zaprzyjaźniliśmy się z nią przez te lata, kiedy występowaliśmy na tych festiwalach. Po koncercie poszliśmy do Domu Kultury na normalne pijaństwo wieczorne. Żeby nie pić przy gościach hotelowych, tylko w swoim gronie. No i tam Władek Komar sobie coś ubzdurał, chciał się bliżej zapoznać z panią Krysią. Przekonywał ją do tego dość gwałtowną przemową pod toaletą. Jakoś tak się stało, że machając rękoma, popchnął ją na drzwi. Przypuszczam, że nie specjalnie, bo gdyby chciał jej coś zrobić, to mógłby jej urwać głowę. Był niesamowicie silny, jedna jego dłoń ważyła chyba tyle, co wiadro kamieni. Po tej dyskusji ona wróciła do nas. Siadła, zobaczyłem, że ma krew nad okiem:”Krysiu, musisz iść do lekarza, masz przecięty łuk brwiowy!”.

Po chwili ktoś zawołał Władka Komara, że jest proszony na zewnątrz. A tam jakiś młody obrońca panny Krysi, chyba karateka, zawiesił się na rękach na balustradzie nad wejściem. Zamachnął się i kopnął butem wojskowym Władka w czoło tak, że mu odcisnął na skórze całe sznurówki i rozerwał łuk brwiowy.

Było zamieszanie, nagle ktoś krzyczy, że Władek Komar oszalał. Że wpadł do sali restauracyjnej i wołał:”Ja cię, gnoju, po butach poznam!” i zaczął wywalać stoliki i szukać tych butów. Pobiegliśmy za nim. Ja jako jedyny poważny mężczyzna chciałem jakoś to zakończyć i mówię: Władek, uspokój się, bo cię stąd wyprowadzę! Co wzbudziło dziki śmiech, bo był dziesięciokrotnie większy ode mnie. I to rozładowało atmosferę. Potem Władek zawsze opowiadał, że jestem niezwykle odważny, bo chciałem go wyprowadzić z imprezy. A na drugi dzień poszedł do pani Krysi z kwiatami i sprawę załagodził.

A szykany milicyjne?

Pukanie rano do drzwi hotelowych. Pytam rozespany: Kto tam?"Milicja". Mówię: Nie róbcie sobie jaj, my śpimy, ja jeszcze w gaciach. Bo byłem pewien, że to jakiś kolega chce od rana flaszkę wypić. Znowu pukanie. Otwieram, a tam MO. Że mamy się z Zenkiem ubierać i jechać z nimi. Tośmy pojechali. Idziemy korytarzami w tej komendzie, do pokoju komendanta, a tam profesjonalnie przygotowany bankiet. Stół zastawiony bogato: jedzenie, napoje wszelakie, nawet oranżada. Ale oranżady nie piliśmy.

W innych miastach też mieliście takie przygody?

Nie, tylko w Koninie. To była regionalna specjalność. Komendant nam tłumaczył, że gdyby nas zaprosił normalnie, to byśmy nie przyszli.

Rozumiem, że to jest tak: wszędzie jest jakaś grupa wielbicieli, którzy chcą z wami wypić, i grupa wielbicielek, która chce z wami zaznać doznań?

To jest zawód jak marynarz. Każde miasto to jest port. Jak przyjedziesz, to masz swoich wielbicieli i straszycieli.

A w tych portach zawsze ci sami ludzie czy jest rotacja?

To są całe grupy ludzi, którym nie wiadomo, jak dogodzić. Najważniejsze dla nich to było napić się z artystą. I nie myśleć, jak to się skończy. Jak ktoś był cierpliwy, to mógł poczekać do końca i wtedy mógł zobaczyć, jak wygląda finał.

Jeździłeś zawsze w towarzystwie innych wykonawców. Biorąc pod uwagę warunki zewnętrzne, nie miałeś problemów z konkurencją kolegów wśród pięknych pań?

W tych sprawach nie chodzi ani o urodziwość, ani wysokość. Kiedyś kolega mnie pytał w Nowym Jorku, jak to jest, że idzie taki mały, łysy, a wszystkie baby się za nim oglądają. Wtedy mu odpowiedziałem: I co z tego? Tylko się oglądają. I nic więcej.

Miałem taki test. Jak rano na pudełku od zapalek na szafce koło łóżka nie było zapisanego żadnego imienia, to znaczyło, że nic nie było.

Te spotkania miały jakieś znaczenie?

Były zupełnie nieistotne. O niczym nie świadczyły. Tylko o miło spędzonym wieczorze.

Dla Teresy i twojej drugiej żony były też takie obojętne?

Staralem się, żeby do nich to nie docierało. Ale na pewno coś tam koleżanki im mówiły. Że to niemożliwe, żeby chłop tyle czasu był poza domem i nic tam nie było, tylko wódkę żeby pił.

A w Poznaniu jak chłop był, to też miał takie erotyczne przygody czy tylko na wyjazdach?

Tylko na wyjazdach. Jak się jest sześć tygodni bez stałej partnerki, to można podać

rękę innej kobiecie też.

Ale można też uprzeć się i jednak pomocnej dłoni nie podawać.

Trudno sobie wyobrazić, jak naprawdę wygląda takie życie. Ja brałem czasami drugą żonę na *tournée*. I kiedy już zostawaliśmy sami, to mówiła: "Jak ty to wytrzymujesz? Cały czas tłum ludzi, każdy coś chce, każdy chce wypić". Nie mówię o innych, tylko o sobie - bo odpowiadam za to, co robiłem ja. Ale co jest większym wstydem? Zbierać kogoś rano w hotelu z klatki schodowej, całego w jakichś dziwnych plamach, czy zejść elegancko na śniadanie w damskim towarzystwie?

Czy panie, które mają takie hobby, żeby zaliczać znanych ludzi, mają jakieś cechy charakterystyczne? Młode dziewczyny? Starsze?

Wiek nie ma znaczenia. To zawsze jest dziewczyna, która chce coś przeżyć. Dostają się do hotelu różnymi sposobami.

Przychodziły po autograf i już tak zostawały? Wchodziły przez okno?

Różne są sposoby. Jak kobieta chce coś zrobić, to to zrobi. Nawet przez komin przejdzie. Przekupywały portierów w hotelach i przychodziły do pokoju. Pojawiła się kiedyś pani - autentycznie! - i powiedziała przy wszystkich siedzących gościach: "Przeleć mnie szybko, bo mi się dziecko obudzi!". Albo - w najczulszym momencie - pani zaczyna krzyżeć: "Boże, artysta mnie pieprzył!". Nie sprawiało to radości temu, kto pieprzył. Nawet zupełnie odwrotnie.

A te dziewczyny chciały jakiegoś continuum? Przysyłały kartki, zdjęcia?"Przyjeżdż kochanie, bo tęsknię"?

Nie, znikwały. Jak chciała dalszego kontaktu, to było wiadomo, że to nie o to chodzi - przygoda jest przygodą. Była kiedyś taka historia na trasie w Polsce, że przyszła mamusia z córką.

I każda znalazła swojego wielbiciela?

Tak. Ja byłem z matką, a kolega z córką. Można powiedzieć, że kolega został moim zięciem.

Kolega z "Teya"?

Nie, ale nie powiem skąd.

Rozmawiamy o takich tajemnicach, nie-tajemnicach. Tak było, jest i będzie, że gdzie świat estrady, filmu, tam i chętne ciekawych przeżyć dziewczyny.

Dzięki tym zapiskom na pudełkach od zapalek, jak rano pani mówiła: "Na pewno nie pamiętasz, jak mam na imię", to obracałem się na drugi bok i wszystko wiedziałem: A właśnie, że wiem! Zosia!

A nie baliście się - ty i koledzy - że znajdzie się taka pani, która zrobi aferę? "Ja cię kocham, musisz się ze mną ożenić, będziemy mieli dziecko". Albo: "Zrobiłam parę zdjęć na pamiątkę i teraz chcę je opublikować".

Nieeee... Nigdy czegoś takiego nie było. O to, żeby nie było dzieci z tego, każdy dorosły umie sam zadbać. A co do zdjęć, to gdzie w latach siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych można było opublikować zdjęcie czyjegoś tyłka bez majtek?

No ale już na początku lat dziewięćdziesiątych pojawiają się publikacje typu Pamiętnik Anastazji P. Erotyczne immunitety.

Kontakt z artystą kabaretowym jest w innym celu niż z politykiem! Zaliczyć kogoś, pośmiać się, spotkać, a nie wykorzystać to jakoś.

Nie bałeś się, że na przykład SB nagra jakieś kompromitujące materiały i będzie chciało was szantażować?

Nie. Nie miałem takich pomysłów.

Za czasów teyowskich bawiliście się wspólnie?

Każdy miał swoją grupę. U mnie najwięcej, oprócz kobiet, zjawiało się muzyków. Zawsze wesoło, pełne kieliszki, drzwi otwarte, klucz pod wycieraczką. Można było nawet spać. Mój pokój to był pokój gościnny. Panie, które sprzątają w hotelach, mówiły, że do mnie najwięcej ludzi się schodziło.

A był ktoś święty? Ktoś, kto mówił: "Nie, dzięki, ja idę do siebie, nie bawię się z wami"?

Nigdy żaden ksiądz z nami nie jeździł, tak więc nie mogę sobie takiego wydarzenia przypomnieć.

Dostawałeś jakieś pamiątki miłych spotkań? Biustonosz, zdjęcie z dedykacją: "Miłemu Bohdanowi - Bożenka"?

Kiedyś to była taka przygoda, że mogła się skończyć rozwodem. Za niewinność. Razem z artystą warszawskim spaliśmy w hotelu "Rzeszów" w Rzeszowie. Wracając do hotelu z miasta, spotkaliśmy dziewczynę chlapiącą. Pytamy: "Co się stało?". Mówi, że jest jej bardzo smutno, bo przyjechała tu z wycieczką, ale się oderwała od niej, zgubiła bagaż, no i ogólnie jest smutna. Kolega był gentlemanem i postanowił się nią zaopiekować. Poszli do sklepu, kupił jej piękną sukienkę, garderobę damską i dał jej pieniądze na bilet do Warszawy. No i powiedział, że my właśnie jedziemy w trasę, ale ona może w naszym pokoju umyć się, przebrać, a jak skończy, to ma zamknąć pokój i oddać klucz w portierni.

Na drugi dzień wróciliśmy do tego hotelu, zabrałem walizkę i wróciłem do Poznania. Żona otwiera walizkę, bierze ciuchy do prania, a tu w woreczku spakowane brudne ubrania

tej dziewczyny. Bielizna, skarpety, bluzka. Mało brakowało, żeby to była ostatnia afera. Musiał być telefon do tego kolegi, czy on potwierdzi moją wersję. Widać pani pokojowa, sprząając, wsadziła tę siatkę do mojej walizki. Kolega potwierdził, żona uwierzyła.

Czyli byliście dość solidarni, nawet lojalni wobec siebie?

No tak, bez tego by nic nie było.

Ty też miałeś takie miękkie serduszko i zbierałeś sierotki z chodników?

Nie, nie miałem takich zwyczajów. Spotykałem czasami koleżanki z odległej przeszłości. Z nimi też można miło czas spędzić. I wspominaliśmy przeszłość.

No proszę cię! Nie powiesz mi, że jak mężczyzna ma czterdzieści lat, to wybierze równolatkę!

A dlaczego nie? Ja nie byłem nigdy za małolatami. Nie chciałem nikogo zaliczać ani nic takiego.

A były takie panie - kolekcjonerki, które chciały mieć zaliczony cały "Tey"?

Na pewno coś takiego było, ale nikt się nie chwalił, z kim noc spędził.

Spotykałeś tylu ludzi. Co ci najbardziej imponowało? Pieniądze, mądrość czy władza?

Wieczorem nic nie ma znaczenia. Ktoś przychodzi z gorzałą i to obojętne, czy profesor, czy kolejarz. A rano mało kogo obchodzi, czy majtki wiszą na lampie, a skarpety na parapecie.

Z wypowiedzi kolegów na twój temat zrozumiałam, że otaczało cię szczególnie dużo osób mających pieniądze: przedstawiciele biznesu, rzemiosła.

Czy oni mi imponowali bardziej niż inni? Dla mnie zarabianie pieniędzy to nie był powód do wstydu nigdy. Może było więcej takich kolegów związanych z robieniem pieniędzy koło mnie, teraz ich nie ma.

Życie po "Teyu"

W poznańskim studenckim klubie "Od Nowa" (tym działającym przy Okręgowej Radzie ZSP, a po 1976 roku ZSMP) pod kierownictwem Piotrka Niewiarowskiego w 1978 roku odbył się VI Festiwal Kultury Studentów PRL oraz Festiwal Piosenki Kabaretowej. W spadku po festiwalach został zespół muzyczny, który miał grać na stałe w "Od Nowie". Niewiarowski wymyślił, by do zespołu dodać występy kabaretowe. Zaprosił Jacka Baszkiewicza i Marka Szpendowskiego, chłopców ze szkolnego kabaretu "Kluczydło". Wpadli w oko Krzysztofowi Jaślarowi, który dostał właśnie propozycję ze Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych, by stworzyć świetny kabaret w Poznaniu. Ponieważ

najbardziej podobają się nam te piosenki, które już znamy, pomysł na to, jak zrobić nowy kabaret, był stary. Do amatorów należy dołączyć zawodowych aktorów. W pierwszym składzie występują więc: studenci Jacek Baszkiewicz, Darek Bogacki, Andrzej Czerski, Maciej Nowak, Marek Szpendowski, i aktorzy Teatru Nowego: Michał Grudziński i Lech Łotocki. I tak powstał Kabaret "Pod Spodem". Nazwa związana była z lokalizacją kabaretu, w Piwnicy "Pod Browarem". Nie była to *de facto* piwnica, a bardzo dobrze urządzonego klubu, który - jak niesie wieść gminna - Pierwszy Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR Jerzy Zasada przygotowywał dla Urszuli Sipińskiej. Ale Zasada we wrześniu 1980 odszedł - na własną prośbę - z Komitetu, a klub stał się ogólnodostępnym miejscem kulturalno-gastronomicznym. W Piwnicy Artystycznej "Browar" działały: restauracja, bar oraz dwa kabarety, oba pod auspicjami Krzysztofa Jaślara - "Elektrownia" i "Pod Spodem". "Pod Spodem" działa z jedną przerwą - na stan wojenny - do dziś.

Kiedy powstaje program *Chirurgii zakaznej*, początkowo występuje w nim, obok Kabaretu "Pod Spodem", Elżbieta Jodłowska. Później dołącza Kabaret "Długi". Po swoim rozstaniu z "Teyem" dochodzi do nich Bohdan Smoleń. *Chirurgia* stała się wielkim przedsięwzięciem z baletem i orkiestrą. Na miesiąc przed festiwalem opolskim w 1984 roku w czasie występów w Łodzi tamtejsza cenzura dopatrzyła się, że rekwizyty *Chirurgii* godzą w ustrój. *Chirurgia zakazna* w dotychczasowym kształcie przestała istnieć.

Aby obejść zakaz, w czasie Kabaretowej Nocy na Festiwalu zagrano program *Ostry dyżur*, kompilację dialogów z *Chirurgii* oraz występów innych wykonawców. I znowu zatarg z cenzurą. Bohdan za swój monolog dostał skierowanie na kolegium i karę grzywny za to, że mówił ze sceny teksty niezgodne z tymi, które były złożone w Głównym Urzędzie Kontroli Publikacji i Widowisk.

Po festiwalu teksty z *Chirurgii* grano dalej, ale w ograniczonym składzie osobowym. Był to mały program objazdowy "do zarabiania pieniędzy". Zespół "Pod Spodem" plus Bohdan oraz kolejny osierocony przez "Teya" Olek Gołębiowski. Grali masę przedstawień w Polsce oraz w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Australii, Niemczech, Szwecji, a nawet w Szwajcarii.

Finanse w latach osiemdziesiątych rozkładały się nadal "w duchu kolektywu". Monopolistą producenckim była Estrada, mówiło się, że na artystę grały dwa pierwsze rzędy. Cała reszta widowni utrzymywała Estradę.

Czy po odejściu z "Teya" zostałeś bezrobotnym?

Jakoś tak zaraz po moim odejściu z "Teya" Krzysztof Jaślar robił eksperyment - komedię antyczną *Paranonia*. Grali poznańscy aktorzy dramatyczni i ja. Działo się to

w antycznym Rzymie. Nie mogłem się tego tekstu na pamięć nauczyć. Graliśmy to w "Scenie na Piętrze" przy Maształarskiej. Tam jest taka dziwna akustyka, że jak mi suflerka podpowiadała kwestię, to ja jej na scenie nie słyszałem zupełnie. Ale za to na widowni było słychać świetnie. Więc publiczność mi podpowiadała. I bawiła się doskonale, może nawet ludzie myśleli, że tak ma być? Zagraliśmy to raz albo dwa i okazało się, że jest jakaś awaria elektryczności w teatrze. Powiedziano nam, że spalił się transformator i ze względu na bezpieczeństwo ludności nie może być przedstawień. Miała być przerwa na dwa tygodnie. Ale czas mijał i okazało się, że już w ogóle tego dłużej grać nie będziemy. Bardzo się komuś ten tekst nie spodobał. Ja tam byłem takim protoplastą Lenina, to wszystko to była aluzja do Związku Radzieckiego, do ustroju komunistycznego. Zdjęto nas i koniec. Dopiero po kilku latach to zostało wystawione.

W 1986 już jako inny projekt...

Wykopaliska. Tekst został zmieniony. Jeździliśmy z tym po całej Polsce, do końca lat osiemdziesiątych, było to zarejestrowane dla telewizji. Scenariusz i reżyseria - Krzysztof Jaślar, muzyka - Zbigniew Górny. Konsulem Piniendzorem był Andrzej Zaorski, Jacek Baszkiewicz był Skurczybykosem, Furiuszem - Olek Gołębiowski, a Romanofilosem - Andrzej Czerski. Jeszcze był Koniokrades - Jerzy Banaś. No i ja - Marek Chytrus. Produkowały to firmy, które zaczęły powstawać z tych państwowych. Graliśmy na scenach teatralnych. W Krakowie dwanaście razy i zawsze była pełna widownia Teatru Słowackiego i recenzje pozytywne. Przy okazji setnego przedstawienia, właśnie w Krakowie, razem z Andrzejem Zaorskim wręczyłem kwiaty kwiaciarczyce na Rynku. *Wykopaliska* niewiele miały wspólnego z kabaretem. Była to sztuka teatralna, alegoryczna, wymagająca gry aktorskiej.

Ale twoją działalnością podstawową jest sztuka kabaretowa. Zaczęłeś pracować w zespole zjednoczonych sił - Kabaret "Pod Spodem", Elżbieta Jodłowska, Kabaret "Długi" i zespół muzyczny.

Najpierw występowałem gościnnie, później program się rozrastał. Nazywało się to *Chirurgia zakaźna*. Występowaliśmy w całej Polsce. Trzy auta jechały, w tym mój bus z przyczepą. W każdym miasteczku powyżej dziesięciu tysięcy mieszkańców chyba byliśmy. Jeśli był dom kultury. Krzysiek Gruszka miał zespół muzyczny. Śpiewały Marzena Osiewicz, Julia Rosińska.

Grały dwa kabarety: "Długi" i "Pod Spodem". Jeśli chodzi o picie, to wszyscy lubili. Mieliśmy bardzo zajęte wieczory. W trasie byliśmy tydzień, dwa. Jeździliśmy z tym też za granicę. Byliśmy w Niemczech i w Szwecji, w Stanach, w Australii. No ale przygody australijskie są mało ciekawe. Kiedyś, za przeproszeniem, członek zespołu lał z trampoliny do

basenu komuś. I właściciel wyszedł z dubeltówką. Zasłoniłem kolegę własnym ciałem, żeby go nie odstrzelił. Ale nie dziwię się temu właścicielowi, bo jakby mi w domu ktoś tak zrobił, też bym próbował przegonić bronią. A wcześniej już mu życie raz uratowałem, bo byliśmy u kogoś w domu na przyjęciu i on tak z żoną gospodarza czule tańczył, że gospodarz wyjął nóż i chciał go pokroić. Musiałem stanąć między nimi.

„Pod Spodem” to był kabaret powstały pod auspicjami Krzysztofa Jaślara. Z takiego uczniowskiego kabaretu przy II Liceum w Poznaniu.

Ja z nimi grałem prawie dziesięć lat. *Chirurgia zakaźna, Wykopaliska, Przystrojone, Oby nam się udało i dla dzieci: 6 dni z życia kolonisty i O!... smolone nosy!!!*

Ten kabaret wymyślił Krzysiek Jaślar, działali najpierw w Piwnicy”Pod Browarem”, w składzie na początku był aktor dramatyczny Michał Grudziński, ale on nie mógł się zdecydować, żeby zostawić na rok teatr. Bardziej się spełniał w teatrze niż mówiąc w pilotce *Łubidubidu* na estradzie. Taki miał słynny monolog, który pewnie do dzisiaj pamięta. Ze mną grali Andrzej Czernski, Jacek Baszkiewicz, Darek Bogacki, Olo Gołębiowski. No i był tam Marek Szpendowski.

A wiesz, co pisano o Szpendowskim?

Nie.

Kilka lat temu. Że jest TW”Ojo”, że w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych donosił na wszystkie możliwe osoby związane ze środowiskami twórczymi w Poznaniu. Tak w każdym razie poinformowali 21 marca 2007 roku w”Głosie Wielkopolskim”.

Nie, nie wiedziałem o tym nic. Marek Szpendowski pracował najpierw z ZPR w Poznaniu, później w Agencji Koncertowej ZAKR-u. Miałem z nim często kontakt. Niestety nawet w sądzie. Ale nie o donoszenie, tylko o pieniądze. Był producentem imprez, też tych dla dzieci w”Arenie”. Przekręty finansowe robił. Tłumaczył się tak: robił przestępstwa dlatego, że ja żądałem coraz wyższych stawek i on nie miał wyjścia, musiał dopisywać swoją rodzinę do składu zespołu i te nadwyżki wypłacał mi do ręki. A ja miałem umowę z dyrektorem Estrady Ankiewiczem, że dany tytuł gram za jedną stawkę. I nigdy nie zmieniałem stawek w czasie grania. Wymyślił sobie takie kłamstwo, żeby ratować swój tyłek. Zresztą to wcale nie były duże pieniądze, więc nie rozumiem, po co mu to było. Bo skończyło się nawet wyrokiem dla niego... siedział pięć miesięcy.

Słyszałam taką plotkę, hipotezę, że to aresztowanie Szpendowskiego to miała być taka przykrywka, żeby go jeszcze głębiej zakonspirować. A w czasie tej „odsiadki” nauczył się angielskiego, co dało mu nowe szanse w pracy menedżera. Ale wróćmy do Chirurgii zakaźnej.

Z tego programu pochodzi twój autorski monolog. Nie było to częste zjawisko, żebyś sam dla siebie coś przygotował.

Co do Szpendowskiego, to nie wiem, czy to prawda czy nagonka. A teksty do *Chirurgii* pisał Jaślar i cały zespół. *A tam, cicho* być powstawało na scenie, więc z koncertu na koncert się zmieniało. Co było bardzo źle widziane przez cenzorów. Przed tym monologiem Czerski i Baszkiewicz jako pielęgniarze przywozili mnie na scenę, leżącego na łóżku. I długo tak leżałem, nikt się już nie spodziewał, że coś powiem. Nie wiadomo było, czy to chłopiec czy dziewczynka. Siadałem na łóżku w piżamie i zaczynałem mówić. Bardzo cicho.

A do kogo to mówiłeś?

Do siebie, po cichu. Na widowni cisza była jak makiem zasiał. Każdy chciał usłyszeć, co ja tam mówię. To było niby do jakiejś zjawy, do kogoś wyimaginowanego. Tak jakby chłop z PGR-u mówił do na przykład świni:”Choś tu, choś tu... a nie bede cie szukać, jeszcze cie radiowozem dowiozą. Ty cholero jasna, ty zgago pierońska. By cie szlak trafił. Musiałś się ujawniać? Taki karabin mi zabrali. Ile by to spraw teraz rozwiązało”. Czy ten tekst był zapisany? W jakiej wersji podstawowej dla cenzury na pewno. A w całości to chyba tylko na taśmie. A ja mówiłem to, co mi się akurat przypomniało.”A za te czterdzieści lat to mnie nikt, kurwa, nie przeprosi!”.

W tej piżamce nie było zimno?

Niee. Festiwal był latem, a tak to to na powietrzu nie było grane.

Pani garderobiana miała dużo pracy, bo kiedy tam w pewnej chwili protestuję i rozrywam koszulę, guziki lecą sruuuu... Specjalne taśmy wszywała, żeby się to nie rozerwało wszystko.

Można śmiało powiedzieć, że w czasie tych 6 minut kabaretonu opolskiego w 1984 roku - w kwestii dokonań kabaretowych - osiągnąłeś wszystko. Koledzy ci gratulowali? Zenon też?

Gratulowali mi ci, co tam byli. Maria Czubaszek, Daniel Passent. O tym monologu Passent napisał wtedy, że to monolog czterdziestolecia.

A co dziwne, jest tak od jakiegoś czasu, że ten monolog i *Chirurgia zakaźna* są przypisywane kabaretowi”Tey”, były nawet wydane na płycie - *Archiwalne materiały kabaretu”Tey”*. A to z”Teyem” nie ma nic wspólnego. Tak samo jak *Paranonia*. Te teksty nie powstały dla”Teya”, tyle że były związane z Krzyśkiem Jaślarem.

To tworzy fikcję, że twoja twórczość zaczęła się i skończyła na”Teyu”. A przecież ten tekst jest twój. Nie znalazłam go nigdzie zapisanego, podaję więc za nagraniem z 1984 roku, z

Opola:

Chodź tu, chodź tu! A nie będę cię szukać, jeszcze cię radiowozem dowiozą...Ty cholero jasna, ty zgago pierońska. By cię szlak trafił! Musiałaś się ujawniać?!Musiałaś?... Taki karabin mi zabrali... Ile to by spraw rozwiązało.A co ja mam teraz... Mam rzucać tymi kulkami?! Kulomiot jestem czy co?A dziadkowi granat też wzięli. Nie wiem czemu. On był tylko zaczepny!Dziadek rzucał i wiedział, jakie wojsko idzie. A teraz kto mu powie?Wszystko tajemnica... Aaaa tam, cicho być!Teraz z dziadkiem kupiliśmy se”Młodego Technika”. I na podwórzu perschinga stawiamy.Mówię ci. Jak pieprznę, to się mogę tylko o jedno biurko pomylić.Jak zdążą, to coś o tym napiszą... Aaa tam! Cicho być!Nie oglądaj telewizji, bo będziesz miała w głowie glizdy.Oni tam są porąbani! Oni wojnę pokazują, a o pokój walczą...Mówię ci. Tak się porąbało... Z jednych rakiet mam się cieszyć, przeciw drugim protestować.A to wszystko jedno, czy spadnie z tej strony czy z tej. Tak samo boli. Bomba jest bomba.Aaaa tam! Cicho być!A oglądałaś *Czterech Pancernych*?Jakbyśmy dwa takie czołgi mieli, to byśmy se sami tę wojnę wygrali.A tam! Cicho być...Oni sobie dwa programy zrobili teraz, jeden dla wojska, drugi dla rolników.Jeszcze będzie oświatowy. Dla głupków.Aaaa tam... Cicho być...A jeden to się chwalił, że se sam doktorat napisał. A gównu mnie to obchodzi!Jedni piszą, innym dają. Takie jest zbójeckie prawo.A teraz mają te... Noble odbierać.No! Reymontowi wezmą. A Skłodowskiej nie. Dzwonili z Kurii.Ty! A ten Reagan to jest świnia. On miał mnie żywić i jak ja wyglądam?!No co on? Łaskę robi, czy co? Eśśś... taką gospodarkę rozwalić! I to w szesnaście miesięcy!Aż nie będę na niego głosował! No chyba, że się dogadają i z ramienia PRON-u będzie występował.A ci Amerykanie, oni nie są wcale tacy źli. Oni napadną, a później przeproszą.A mnie, za te czterdzieści lat, to nikt, kurwa, nie przeprosi! A tam... Cicho być!Czy ty naprawdę tyle tego masła zresz? Czy ktoś się dosiadł?A w gazecie napisali, że zginął pudel podpalany. No, jakby mnie podpalali, to też bym uciekł!A tam... Cicho być! Ty pindo jedna!Bo ci drugie oko wybiję, tylko dokładnie! A odejdz! No odejdz! Gdzie z tym ryjem?!Coś ty żarła? Trociny czy co? Mówiłem ci, żebyś się wypchała, ale nie do końca!Aaaa tam... Cicho być!*Ten monolog został wyróżniony pozytywnie i negatywnie.*

To była Kabaretowa Noc Opolska, czyli kabareton pod tytułem *Ostry dyżur*. W ramach tego występowały różne kabarety i my z *Chirurgią*. Nie przyznali wtedy pierwszej nagrody w ogóle. Ja dostałem Nagrodę Specjalną, Nagrodę Dziennikarzy i skierowanie do kolegium. Ale wojewoda opolski dał mi honorowe obywatelstwo i nie można mnie było ani zamknąć w izbie wytrzeźwień, ani ukarać w kolegium.

A za chwilę dostałem zakaz wykonywania zawodu. O tym nawet wspomina Rakowski

w swoich pamiętnikach, że to była nadgorliwość jego pracowników. Cenzor wysłał pismo do Komitetu Centralnego PZPR do Warszawy, że szkaluję ustrój i godzę w mocarstwa. Chciałem się dowiedzieć koniecznie, którym słowem godzę i szkaluję, bo nie chciałbym więcej takich słów używać, szczególnie przy dzieciach moich. Ale nie mogłem się od nikogo dowiedzieć. Zakaz pracy to oczywiście zakaz zarabiania, utrzymania rodziny. Staralem się dotrzeć do samej góry, wysyłałem pisma różne. W końcu dzięki Oldze Lipińskiej udało mi się dotrzeć do premiera Rakowskiego. Ustaliłem z nim wtedy, że zadowolony naród nic nie robi, a wkurwiony może zacząć rewolucję. Sam stwierdził, że to przesada, że mam zakaz.

Na czym polegał ten zakaz? Gonila cię milicja, jak wyszedłeś gdzieś na scenę?

Nie, wtedy to było dużo łatwiejsze. Nad wszystkim była tak zwana koordynacja. Do danego województwa żaden artysta nie wjechał, dopóki jakaś rada się nie spotkała. To nie byli cenzorzy, tylko Urząd Wojewódzki, Wydział Kultury, ubecja. Oni mówili, czy Pietrzak może wjechać w kwietniu do Poznania. O to, kto ma wystąpić, występowała Estrada, bo wtedy wszystko było przez Estradę robione. A Estrada wiedziała, że ze mną pracować nie można. Po prostu dowiadywałem się, że nie ma zapotrzebowania na moje koncerty.

Czyli po Chirurgii zakaźnej zainteresowanie organizatorów twoimi występami spadło do zera?

Tak.

I wtedy powstał nowy program? To była próba obejścia tego zakazu?

Kiedy pojawiły się te cenzorskie kłopoty z *Chirurgią*, Krzysztof Deszczyński, specjalista "od dzieci", zaczął pisać spektakl *6 dni z życia kolonisty*. Pod patronatem Marka Szpendowskiego, który wtedy założył poznański oddział ZAKR-u.

Ponieważ zakaz nie mówił nic o występach dla dzieci, więc powstał dziecięcy program kabaretowy. Na pierwszych koncertach byli sami dorośli, bo nikt nie przypuszczał...

A to było naprawdę dla dzieci?

No tak! Dla dzieci. A tymczasem o ósmej rano pijane autobusy pełne dorosłych przyjeżdżały do Łodzi. Wszyscy myśleli, że to będzie takie coś jak *Chirurgia zakaźna*. A to było naprawdę dla dzieci. Zawsze się staraliśmy, żeby chociaż w pierwszym rzędzie jakieś maluchy siedziały. One się świetnie na tym bawiły, śmiały się.

Jeśli chodzi o sprawy organizacyjne, to kto produkował te występy?

Produkował to Marketeam. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych, czy raczej już pod koniec, zaczęło się to zmieniać. Estrada, ZPR były powoli przekształcane. Zaczęły powstawać takie jakby agencje. Marketeam przejął częściowo Estradę Łódzką. Dokładniej księgową i żonę dyrektora. I oni robili imprezy, bazując na kontaktach Estrady. Pracował tam też

Krzysiek Jaślar. Robiliśmy z nimi dużo imprez, dobrze płacili. A pani Ewa, księgowa, potrafiła w głowie mnożyć przez siebie pięciocyfrowe liczby. Co mnie fascynowało.

A mnie raczej fascynuje, jak ta "prywatyzacja" firm państwowych, mających ogromne zaplecze, monopol na organizowanie imprez, przebiegała.

Powstawały małe firmy, które świetnie sobie radziły, bo nie musiały dzielić się zyskiem z administracją. Robili je ludzie, którzy wcześniej w nich pracowali, więc mieli świetne kontakty, wszystkich znali. Do prowadzenia agencji koncertowej wystarczył jeden faks, telefon i biurko, a nie cały wieżowiec pań i panów z biurkami, telefonami i szklankami z kawą. Można było z tego świetnie żyć. Gorzej, jak ktoś tracił umiar.

Nie dowiem się od ciebie, kto i na jakiej zasadzie przejmował budynki, ośrodki wypoczynkowe i całe to dobro?

Nie. Tego nie wiem. Część budynków została sprzedana, ale najpierw zostały odkupione przez prywatne osoby i jako prywatna własność zostały odsprzedane dalej. Ale to działo się poza mną.

A co z cenzurą? W latach osiemdziesiątych, już po zakończeniu stanu wojennego, nadal byliście kontrolowani?

Oczywiście. Jeszcze pamiętam taką przygodę. Kiedy występowaliśmy w Monachium, to po powrocie do Polski dowiedziałem się od panów specjalistów "od kultury", że całe Radio Wolna Europa było na występie. Mówię, że pewnie tak, bo tam nie ma zwyczaju, że się komuś bilet daje. Tam każdy może sobie bilet kupić. Nawet jak ichni Pierwszy Sekretarz chce przyjść na koncert, to sobie musi kupić bilet."A czemu się tak serdecznie witałem z Kaczmarem?", pytają. A z Kaczmarem widzieliśmy się: Baszkiewicz, Czerski, Zaorski i ja. I żadnego ubeka nie było. I jeszcze wiedzieli, że poszliśmy później na bankiet. Tylko nie wiedzieli, o czy tam rozmawialiśmy, bo to było w prywatnym domu. Więc im odpowiedziałem, że rozmawialiśmy o patriotyzmie. Tylko widzianym z drugiej strony.

Obok działalności scenicznej czy estradowej masz też doświadczenia na planie filmowym. Niezbyt często, ale brałeś udział w produkcjach telewizyjnych i kinowych.

Filip z konopi - komedia, rok produkcji 1981, reżyseria: Józef Gębski, dialogi: Maria Czubaszek. Film, który z czasem staje się coraz śmieszniejszy, ale chyba tylko dla tych, którzy rozumieją aluzje PRL-owskie. Film o życiu w wielkim bloku.

Kręcone to było w Warszawie na Wawrzyszewie. Grał pan Zenon, Tadek Osipowicz, Schubert i ja. Mieszkaliśmy w "Forum". Jeździliśmy elegancko taksówkami do pracy.

Improwizowaliście na planie?

Tak, to było kręcone w 1981 roku. Ludzie na Wawrzyszewie, jak widzieli nas w tych

kufajkach łączących wkoło bloków, to się śmiali. A to spozieranie do kieliszka nie jest przecież wcale śmieszne. To jest poważna sprawa.

Na planie filmowym?

No nie, przecież są przerwy.

Film był puszczony dopiero w 1983?

To był film telewizyjny. Puścili go jeszcze w stanie wojennym, dla niepoznaki w poniedziałek jakiś, w styczniu.

Następny film - Kochankowie mojej mamy, 1985 rok, reżyseria: Jarosław Piwowarski. Jak to się stało, że zagrałeś w takim poważnym filmie?

Tak jakoś reżyser sobie wymyślił, żeby zobaczyć, czy ja coś potrafię poza kabaretem. Pasowałem mu do postaci. Grałem takiego absztyfikanta Krysi Traczyk, czyli Krystyny Jandy - pana Stasia.

Z panią Jandą pracowało się bardzo miło, nie była zbyt wymagająca. Widać, że też ma duże zdolności kabaretowe.

Wpadłem wtedy na taki pomysł: przygotowałem u nas w sklepie w Poznaniu specjalne akwarium dla Jandy i tak to dopasowałem do roli, że jej to akwarium - na planie - po pijaku przyniosłem. Było w kształcie takiej kolby okrągłej z wąską szyjką. Posadziliśmy tam roślinki, wrzuciłem rybki. Wszystkim się podobało, nie widzieli nigdy takiego akwarium i cieszyli się, że taki miałem pomysł. Smutny film, ale bardzo życiowy. Ja go tylko raz widziałem.

W każdym razie partnerowałeś Krystynie Jandzie.

Tak, może jeszcze urosnę i coś ze mnie będzie?

Ale twoja kariera filmowa utknęła w latach osiemdziesiątych.

W 1988 zagrałem jeszcze w filmie *Pan Kleks w kosmosie*. Koprodukcja polsko-czechosłowacka, reżyserował Krzysztof Gradowski. Miałem tam sporą rolę, gubernatora Manuela Karmella de Bazara. I w tym samym filmie druga rola, właściwie epizod kierowcy Jarzábka. Grał też Piotr Fronczewski, Maryla Rodowicz, Henryk Bista. I taka przygoda wtedy była: w napisach na czołówce napisali moje imię przez "g". Wymiana tej literki na wszystkich kopiach była podobno droższa niż cała moja gaża. I jeśli chodzi o filmy fabularne, to byłoby na tyle.

Zdecydowanie najmniej kontrowersyjny politycznie i najbardziej słaby artystycznie eksperyment w twojej karierze to disco polo.

Przesłuchałam te twoje piosenki disco. Nie było łatwo. Nie bardzo rozumiem, po co ci to było? Mając dorobek, mając osiągnięcia w sztuce kabaretowej?

No wiadomo po co. Mogłem pojechać do studia nagraniowego, przez tydzień nagrywać spokojnie kilka piosenek, a pieniądze takie jak za koncerty.

Ale najdelikatniej rzecz ujmując, były to bardzo banalne i mało wyszukane rytmy i rymy.

Namawiało mnie parę osób. Pan Sokołowski, pan Deszczyński. Żeby to zrobić, bo to niczym nie grozi. Nie myślałem o konsekwencjach natury artystycznej! To miała być jeszcze jedna płyta, którą można na półce ustawić. A potem się to obróciło przeciwko mnie zupełnie. A ja wtedy naiwnie myślałem: Czym to się różni od normalnej piosenki kabaretowej?

Kiedy to jest żart czy pastisz, to chyba nie wrasta w parodiowany świat. A te piosenki stały się znakomicie rozpoznawalne wśród publiczności discopolowej. Można powiedzieć, że ten projekt wymknął się spod kontroli.

Teksty pisał Krzysiek Deszczyński, muzykę Sławomir Sokołowski, on miał wejścia do tych Wołominów, Żurominów. Wydaliśmy trzy płyty, to się dobrze bardzo sprzedawało. Za to były jakieś platynowe płyty, a pieniędzy z tego nie było wielkich. Owszem, zarabiałem coś, ale na kupeczkę nie było czego odkładać.

Ja nadal tego nie rozumiem. Z jednej strony Piwnica pod Baranami, Kabaret "Pod Budą", "Tey", monolog czterdziestolecia. Wrażliwy człowiek, mający mnóstwo znajomych, ciekawy świata, życia, na bieżąco z polityką, gospodarką, a tu nagle śpiewa o dupie Maryny i mokrym podkoszulku. To są dwa różne światy. Proszę bardzo, próbka możliwości:

Widziały gały, co brały, Choć jestem może mały. A jak mi kto podskoczy, Dostanie między oczy. Albo to:

Ani be, ani me, ani kukuryku! Lew się tak wyraził, problemów bez liku. Ani be, ani me, ani kukuryku! Owca, krowa, kogut - jaki tego powód? Penetracja i lustracja, I kościelna agitacja, Pajęczyny, żuki, muchy, Prusakolep na komuchy. Jedni grają na parlament, Drudzy sieją tylko zamęt, Trzecich działań cała kupa: I tak wyjdzie z tego... figa. Pominę już te piosenki o jajach, zagładaniu "za kolana", dwóch nabojach... Przecież to jest strasznie słabe!

Ale ja to traktowałem jako żart! Nie jako piosenkarz! Jako aktor kabaretowy. To było zadanie sceniczne, pastisz. Śpiewałem nierówno, z interpretacją. Nakręcili do tego wideoklipy. To było nadawane w programach z muzyką disco polo - typu *Disco Relax*. No i poszłoooo! Publiczność odebrała to jako prawdziwe disco polo i nie było już mowy, że to żart. Nigdy nie brałem udziału w żadnych koncertach disco polo czy jakichś festiwalach. Na weselach czy dyskotekach nigdy nie śpiewałem. A było mnóstwo takich zaproszeń, ludzie mylili pojęcia.

Ale jeśli była to tylko piosenka w takim rytmie, tylko interpretacja, to dlaczego tak do

ciebie to disco polo przyłgnęło? Wiesz, że ludzie do dziś mówią: "Smoleń? On był fajny, ale potem zaczął śpiewać disco polo".

Wszyscy zaczęli mnie posądzać o to, że ja jestem discopolowcem. I to z dwóch stron. Z jednej strony koledzy czy dziennikarze, że to źle i wstyd, a z drugiej ludzie z branży disco polo zaczęli bać się konkurencji - na przykład Sławek Sokołowski. Kiedy się przebrałem za Pelagę, to nikt nie posądzał mnie o to, że jestem naprawdę kobietą. Jak zaśpiewałem piosenki w prząsnym rytmie, to zostałem discopolowcem. Krzysiek Jaślar wymyślił *Piosenki biesiadne*, ale jakoś nikt mu tego nie wypomina.

A ja zostałem królem straganów. Takich obwoźnych - z muzyką disco. Tylko nagle się okazało, że ja wydałem trzy płyty, a na straganach jest ich z dziesięć rodzajów. I na wszystkich okładkach ja!

To znaczy, że nie wszystkie te płyty są twoje? Że ktoś się pod ciebie podszył?

No tak. To była mistyfikacja. Ja tych wszystkich piosenek ani nie nagrałem, ani nie wydałem. Te kasety wszędzie sprzedawali, grali. Nie można było przejść przez jakieś targowisko, żeby nie usłyszeć tego. Wytoczyliśmy proces. Ktoś to przecież nagrał, poprzerał piosenki, dał moje zdjęcie na okładkę i wydawał kasety: *Przyśpiewki weselne Smolenia* czy coś takiego.

Tylko że myśmy przegrali ten proces, bo podobno nie można było udowodnić, że to nie ja śpiewam. Te kasety sprzedawały się jak świeże bułki. Ale to nie był mój głos, tylko na okładce moje zdjęcie. Ten człowiek, który to nagrał, twierdził, że jemu ktoś ukradł taśmy i opublikował bez jego zgody. Że on, owszem, to śpiewał, ale tego nie wydał i nie sprzedawał. A pani sędzina nie mogła stwierdzić, czy to mój głos czy nie na tych taśmach.

W 2010 roku, bez większego wysiłku, dzięki internetowi znalazłam te wydawnictwa. Przyśpiewki Smolenia w trzech częściach. Wydań prawdopodobnie było dużo, bo pojawiają się różne wersje okładek. Wykonawcą tego był pan Wiesław Kubis alias Cienty Walenty z tarnowskim zespołem "Rytmy" alias „Szczęka Teściowej”. Myślę, że przy miksowaniu zostały trochę zmienione obroty, dzięki temu głos pana Wiesława był nieco podobny do twojego. Bez szczególnego skrępowania pan podpisał się na kasecie jako autor tekstów. Aktualnie występuje z zespołem "Tarnovia Band" w Chicago. Byłoby niezwykle miło, gdyby teraz zechciał wpłacić na konto Fundacji kilkaset dolarów jako pomoc dla dzieci.

No, byłbym zobowiązany!

W ramach przygód z piosenką nagrywałeś też z Krzysztofem Krawczykiem?

Nagrywaliśmy: *Dziewczyny, które mam na myśli, Po czterdziestce*. Teksty napisał Andrzej Kosmala, menedżer Krzyśka:

Jak bardzo nam się zmienił świat. Przybyło nam za wiele lat, Wspomnienia porwał wiatr I człowiek rad nierad Po uszy już w kompleksy wpadł. Mam to samo. Na głowie już i włosów mniej, Wieczorem wcześniej spać się chce I w kościach strzyka gdzieś, I wzrok już też nie ten, I wolniej w żyłach krąży krew. Dziewczyny, które mam na myśli, Powychodziły za mąż już. Jedynie my, recydywiści, Trzymamy wciąż samotny kurs. Nawet miałem iść wtedy na jakiś kurs piosenki, żeby jakoś podszkolić głos. Ale to umarło śmiercią naturalną.

To zresztą miał być większy projekt. Wymyśliliśmy kiedyś z Deszczyńskim, że nagram duety z różnymi piosenkarzami. Miałem śpiewać z Violetą Villas, z Krawczykiem. Nagrałem z Hanią Banaszak *Daj mi ten koc* do słów Andrzeja Czernieckiego i właśnie te duety z Krzyśkiem, z czego dwie piosenki były z wizją.

Wideoklipy?

Tak. Ja zawsze traktowałem to jako żart. Nagraliśmy to w studio. A z Krzyśkiem dobrze się znaliśmy z Ameryki. Mówiłem: Ty śpiewaj jak najpiękniej, ja resztę zrobię.

Z panią Villas się nie dogadaliśmy. Ona chyba źle to zrozumiała, że może to jest naśmiewanie się z niej.

Życie zawodowe jakoś się kręciło, były nowe pomysły, nawet eksperymenty, jak te z piosenkami. A w domu? Jak się układało twoje życie rodzinne wtedy? Po śmierci Teresy miałaś drugą żonę. Kto to?

Jola, znajoma z Bielska-Białej. Historycznie rzecz biorąc, była moją pierwszą dziewczyną. Jej mama była przyjaciółką mojej mamy.

Chodziłeś z nią do szkoły?

Nie, raczej do altanki, całować się. Jej mama nas przyłapała i taki był koniec pierwszej miłości. Ale później, jak już została moją teściową, to była moją najlepszą koleżanką.

Jak wspominasz to małżeństwo? Jak wspominasz Jolę?

Świetnie malowała. Chciałbym od niej wycyganąć jakiś obraz na pamiątkę, bo nie mam nic.

Mieliście plany, mieliście budować dom. Nie wyszło?

Było trudno.

Okazało się, że pierwsza miłość nie jest ostatnia?

Nie pasowaliśmy do siebie.

Ona była pierwszą kobietą, która do mnie przyjechała, kiedy zostałem sam po śmierci Tereski. I wydawało się, że będzie dobrze. Synowie ją znali z wizyt w Bielsku-Białej, pamiętali, że to jeszcze babci znajomej córka. Pamiętali ciotkę Jolę. A później już mówili do niej Jola. Ona mi pomagała z synami, a ja jeździłem po świecie i zarabiałem. Ale nie udało się

nam wspólne życie.

Utrzymujecie jakieś kontakty towarzyskie?

Nie, uważam, że jak się rozstajemy, to jest koniec, a nie połowicznie.

Jola podróżowała z tobą, jeździła na tournée?

Tak, byliśmy w RPA. Tam był mój najmłodszy syn Bartek chrzczony, bo miałem znajomego księdza misjonarza.

Była ze mną w Kanadzie, w Stanach.

A Jola mi kiedyś wyprasowała faks... Po tym Opolu z *A tam, cicho być* siedzieliśmy prawie do rana na sali bankietowej z Danielem Passentem. I stwierdził, że napisze dla mnie tekst. Faks, na którym przysłał słowa, wpadł do wody. I moja druga żona chciała to wysuszyć i wyprasowała. I wtedy to wszystko zniknęło, została tylko pierwsza strona. Nie zrobiłem tego tekstu nigdy.

A jak się wam układało tak ogólnie?

Ale o tym małżeństwie nie będziemy rozmawiać. Nie wszystko było dobrze, a nie minęło jeszcze dość czasu, żeby o tym mówić.

Nie pasowaliśmy do siebie.

Dobrze, to wróćmy do życia zawodowego. Firma Smoleń-Deszczyński powstała w 1990 roku. Zajęliście się produkcją, organizacją występów twoich, ale nie tylko.

No, różne imprezy robiliśmy, promocje na targach. I wielkie imprezy dla dzieci z takiego cyklu *Dziecko potrafi w poznańskiej "Arenie"*. To były gigantyczne przedstawienia. Masa wykonawców, ponad sto osób na scenie!

W 1995 roku powstaje Zespół Kabaretowy Bohdana Smolenia. Gracie trzy premiery: Polskie bla, bla, bla, Jubileusz, czyli 50 lat wątroby Bohdana Smolenia i Nowy rząd - stara bida. Z kim występowałeś?

Kabaret Bohdana Smolenia to byli: Grzegorz Rekliński, Józef Romek, Marcin Samolczyk, Krzysiek Deszczyński. Byliśmy w Australii, RPA, Stanach, Kanadzie i w Niemczech, Szwecji, Anglii. Grzesiek Rekliński był ze mną jeszcze w "Pod Budą" - ściągnąłem go z Krakowa, Romek był w "Tropicale Thaiti Granda Banda", później w "Mortalesach", a Marcin Samolczyk był takim "grającym na wszystkim".

Teraz nie wiem, co się z nimi dzieje, nie dzwoniemy do siebie zbyt często. Grzegorz jest w Krakowie, tam coś robi.

Krzysztof Deszczyński był twoim wspólnikiem, menedżerem?

Tak, on strasznie dużo pracy i energii w to wszystko wkładał. Myśmy bez przerwy gdzieś jeździli. "Wczoraj Floryda, jutro Człuchów" - takie było hasło.

Mam rozpiskę z czerwca 1997 roku, dzień po dniu:

Poznań, 2 czerwca - próba od 10 do 14 i od 17 do 20. 3 czerwca - próba 10-14, a po południu wyjazd do Kołobrzegu. Kołobrzeg: próba przed południem, 20 - koncert. 5 czerwca - koncert 16.30-21. 10 i 11 czerwca - nie wiem, gdzie koncert, bo tu jest niewyraźnie zapisane. 13 czerwca - Mielno. 15 czerwca - Rewal. Jeździliście busem, tak?

Tak. Ja prowadziłem.

Ty?!

Tak.

Przez całą taką trasę?

Cały czas.

Tu mamy w lipcu: Mielno, Rewal, Międzyzdroje, Kołobrzeg, Dźwirzyno, Hel, Cetniewo lub Łeba. Dzień po dniu. I przerwa. 21 lipca - Kostrzyń. 25 - Łeba. 26 - Międzyzdroje. 27 - Rewal. 28 - Mielno. 29 - Ustka. 30 - Kołobrzeg. I w sierpniu mamy to samo plus wylot na tournée do Australii i RPA. To może teraz coś o Polonii australijskiej?

Emigracja australijska była głównie ze stanu wojennego. Młodsza niż w Stanach, pamiętająca mnie z Polski.

W Australii spotkałem też znajomych z Krakowa. Kiedyś jedna koleżanka ze studiów, Krystyna, miała mnie przewieźć na bankiet, gdzie byłem zaproszony. Tam są wszędzie niewyobrażalne odległości. Byłem u niej w odwiedzinach, gdy wrócił jej mąż. Zastał nas, jak piliśmy kawę, a oni akurat czekali na jakiegoś fachowca z Polski, więc on mnie spytał, czy to ja mam u nich malować ściany. Krystyna mu wytłumaczyła, że ja inną profesję reprezentuję. A na drugi dzień zawiozła mnie do połowy drogi, a tam nic, pustynia i więzienie. Więc czekałem na następny samochód pod tym więzieniem. Wszedł strażnik: "O co chodzi?". Powiedziała mu, że mam być przekazany dalej.

Na tym tournée kłótni o pieniądze nie było?

Nie. W Australii jest tak, że związkom zawodowym aktorów australijskich płaci się za wykorzystanie aktora, obojętnie, czy australijskiego, czy nie. Dlatego my występowaliśmy tak, że tylko ja byłem aktorem, a reszta w roli zespołu muzycznego.

Polonia w RPA jest inna niż ta z Australii?

Ci, co nie dostali azylu w RPA, dostawali w Australii albo w Kanadzie. RPA było najlepsze, bo najbliżej Polski, można było samolotem dolecieć na raz, bez przesiadki. Na widowni byli starzy bywalcy z Krakowa i sympatycy "Teya". Bankiety takie same jak wszędzie. Cały świat się niczym nie różni. Wszyscy nas dokarmiali, wszyscy chcieli się napić.

Wasz projekt z Krzysztofem Deszczyńskim był skupiony na zarabianiu, nie na rozwoju artystycznym.

Tak. Miałem takie powiedzenie: rzygać mi się chce, chyba będzie próba. Krzysiek zawsze opowiadał, że ja się tekstów nie chcę uczyć, że musi się ze mną męczyć.

To było ponad siły: kilka koncertów dziennie i dojechać wszędzie na czas, robić próby, dobrze zagrać.

W tych czasach nie było już przygód z cenzurą, z aluzjami politycznymi?

O! Mieliśmy różne przygody. Nawet zabawniejsze niż z cenzurą. Była na przykład interwencja Stowarzyszenia Rodzin Katolickich z Łosiny Dolnej.

Ktoś się rozebrał na scenie?

Nie! To zupełnie o coś innego chodziło. Protestowały te Rodziny Katolickie, Stowarzyszenie Młodzieży i ksiądz proboszcz dlatego, że: "Panowie dali Kabaret *Polskie bla, bla, bla* i rozpoczęli go słowami modlitwy: *Pije Kuba do Jakuba*, a potem włączyli do swojego kabaretu Sakrament Spowiedzi Świętej. Stowarzyszenie Rodzin Katolickich, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży w Parafii Łosina Dolna wnosi protest, aby z rzeczy świętych nie czynić przedmiotu kabaretu. Na taki sposób postępowania nie pozwolą sobie wyznawcy judaizmu, wyznawcy religii Mahometa i na taki sposób postępowania nie godzą się katolicy. Jesteśmy tolerancyjni dla innych i chcemy, aby nasze przekonania religijne uszanować. Mamy nadzieję, że panowie w przyszłości tego czynić nie będą. Do powyższego protestu przyłącza się także proboszcz parafii Łosina Dolna".

Przysięgam, że gdybym nie widziała tego pisma i tych wszystkich pieczętek i podpisów, to nigdy bym nie uwierzyła, że to prawda.

No... były jeszcze problemy z *Sumieniem Narodu*. O to się też zawsze jakiś ksiądz obrażał. Byłem przebrany za Sumienie i śpiewałem taką jakby kościelną piosenkę *Polski święty*, napisał to Sobczak:

O świecie do pracy Jak inni rodacy, W pociągu cuchnącym od brudu. O czwartej nad ranem W deszczowy poranek Do fabryk, warsztatów i budów... Dwie pajdy w gazecie, Zmęczony, bo przecie Do późna dzieciaki nie spały. I kleją się oczy, I żal mu tej nocy, I świata, co miał być wspaniałe. Polski święty, polski święty Nie przywdzieje aureoli, nie przystroi mirtem głowy polski święty... Polski święty, polski święty z codziennością się mozoli, Pospolity szary człowiek, polski święty. [...] Jak wierzba i sosna W krajobraz tu wrosła Codzienna kolejka po życie. W niej wszyscy jednacy, Po prostu - rodacy, Przed każdym to samo nakrycie. Spokojnie i godnie, Miesiące, tygodnie Na swoją kolejkę czekają, A Ziemia się kręci, A oni - wyklęci - Nie trafią stąd nigdy do rajy... Polski święty, polski święty... Ciężko mi

się tę piosenkę śpiewało, bo ludzie byli przyzwyczajeni do czegoś innego i wybuchali zniechęcią śmiechem. Myśleli może, że nie dosłyszeli jakiejś puenty. Musiałem ich uwagę skupić, żeby posłuchali tekstu.

Koledzy, z którymi występowałeś wtedy, bywają dość sceptyczni w ocenie waszej wspólnej przeszłości. Były kontrowersje na temat podziału dochodu.

Na to kiedyś, w czasie jakiejś dyskusji, Krzysiek Deszczyński odpowiedział komuś: "Powiedz, ile biletów było sprzedanych na ciebie, a ile na Smolenia?!". Po pewnym występie w Belgii koledzy się bardzo zagniewali. Mówili, że jestem stary, że nic nie umiem, ale biorę kasę. I koniec. Wsiadłem w samochód, wróciłem do Polski.

Ale zanim rozwiązałeś kabaret, były już jakieś zgrzyty. W "Super Expressie" z 2003 roku jest artykuł o tym, że nie dostałeś wizy do Stanów.

I nie pojechałem. Ale pojechał za to Kabaret z Krzysztofem Deszczyńskim, który wystąpił zresztą w moich rolach. Tylko raz nie dostałem wizy. Właśnie wtedy. To chyba była czkawka po pistolecie.

No właśnie. Nie jesteś wcale taki grzeczny, masz w życiorysie wątki sensacyjne.

Jestem bohaterem afery kryminalnej w Stanach Zjednoczonych. To bardzo głupia historia, wcale nie śmieszna. Mówiłem publicznie, że mi nikt nie sprawdza bagaży na lotnisku, takie przechwałki na imprezie. I pewien człowiek - on wie i ja wiem kto, i niech tak zostanie - postanowił mi zrobić kawał. Może chciał na złość zrobić, może miał nadzieję, że będzie zabawnie?

Było się chwalić? Dzięki swojej pewności siebie trafiłeś do kryminału. 11 maja 1992 roku na lotnisku Newark koło Nowego Jorku.

Lecieliśmy z Chicago do Warszawy, przesiadka w Newark. Mieliśmy lecieć do Polski liniami British Airways, a oni stosowali bramki. Prześwietlili mi bagaż i okazało się, że mam schowany pistolet. Przeszukali walizkę, był schowany w pudełku po ciastkach. Mały, damski pistolet, zaklejony, brudny, bez magazynku.

Skandal, policja, kajdanki. Koledzy wszyscy się rozproszyli, zostałem sam. A ja przecież nie znam angielskiego. Udało się znaleźć kogoś z obsługi lotniska mówiącego po polsku. Zadzwoiłem do Anny i Tadeusza Pyzów. To była dentystka, którą tam poznałem. Oni mieszkali blisko tego lotniska. Wpłacili kaucję, tysiąc dolarów, i poleciałem następnym samolotem do Polski. W domu afera, bo już w *Dzienniku* zdążyli podać, że znany i lubiany satyryk Bohdan S. został aresztowany za przemyt broni. Ojciec mój widział w telewizji, że jestem aresztowany, a ja stoję koło niego w domu. Takie były rzetelne informacje. Po trzech tygodniach miałem rozprawę w sądzie, w Stanach. Zostałem uniewinniony, ponieważ

powiedziałem, że nie pakowałem swojej walizki sam. Byłem później w Stanach jeszcze nieraz. A mój wkład w sprawy międzynarodowe jest taki, że teraz podobno pytają na lotnisku: "Czy pani / pan osobiście pakowała / pakował swoją walizkę?"

Skądinąd wiem, że to prawda, że sam się nie pakujesz.

No, mam zawsze mnóstwo zajęć towarzyskich i nie mam czasu się przygotować na czas. Kiedy więc zespół chce zdążyć na samolot, to zawsze ktoś mnie pakuje. Wiesz, że jestem leń.

Ale mimo afery międzynarodowej fascynuje cię broń.

Tak, mam pozwolenie na broń sportową, myśliwską i osobistą.

Ale dlaczego? Boisz się czegoś?

Nosiłem broń osobistą, ale tylko wtedy, kiedy jechałem na strzelnicę albo do rusznikarza. Dla ochrony, jakby się komuś zachciało zabrać mi broń sportową czy myśliwską, ale nie nosiłem nigdy broni, żeby nosić i kusić. Kiedy byliśmy na występach w RPA, to się okazało, że tam każdy miał broń. Tam też dostałem taki nabój do przestrzeliwania kamizelek kuloodpornych. On jest bardzo cienki. Przywiozłem go i dałem chłopakom z policji, żeby sobie zobaczyli. Teraz już mnie to nie pasjonuje. Strzelby, pistolety muszą być zabezpieczone, zadbane.

A nie lepiej jakoś przerobić te pistolety? Tak żeby nie były potencjalnie niebezpieczne?

Nie. Ja nie lubię kaleczenia broni. To tak jak z kobietą. Żeby z gumy mieć? To lepiej nie mieć w ogóle. To taki wymysł jak piwo bezalkoholowe.

Miałem kiedyś taką przygodę. Spotkałem parkę, mamusię z synkiem. I ten synek bardzo niegrzecznie mówił do mamusi swojej. Powiedziałem mu: Jak będziesz tak brzydko mówił do mamy, to cię Bozia pokaże! A ten mały się rozpędził i sruu mnie z głowy w brzuch. A miałem pod marynarką broń. Mały tak walnął w ten pistolet z czoła, że aż świeczki zobaczył, guz mu wyskoczył, a ja musiałem szybko zmykać, żeby nikt nie zobaczył, że mam broń.

Nadal masz tę broń?

Nie, teraz jest w depozycie.

Ja jakoś wolę twoje strzelanie dowcipami niż zabawy z bronią. Wspominałeś kiedyś o swoich występach "Pod Egidą".

Pietrzak zaprosił mnie do siebie. Tam grałem z Piotrem Fronczewskim. Strasznie lubiłem z nim grać. Taką lekkość miał jak Zenek, ale kojarzenie inne. Niekoniecznie wprost. Robiliśmy sobie różne numery. Kiedyś było tak, że podnosiliśmy sobie mikrofony do góry po dwa, trzy centymetry. Potem musieliśmy stać na palcach, ja wyciągałem stółek, klęczałem na

nim i mówiłem. Ludzie się śmiali, a Pietrzak nie wiedział, co się dzieje, bo on stał z tyłu i nas nie widział. Piotr był taki miękki w dialogu, tak po prostu opowiadał żart. A Pietrzak to się musiał tak nawdychać powietrza najpierw:”Już, już, za pięć słów, za dwa słowa! Będzie żart, puenta będzie, kurde, uwaga! I dup! Jest, jest żart!”. Wiem na trzy słowa przedtem, co on chce powiedzieć.

Z Fronczewskim rozumiałem się genialnie. Jedno kiwnięcie palcem i ugotowałem Fronczewskiego w każdej chwili. Pietrzaka to nie rozśmieszało wcale.

Pietrzak był taki... Jak był w *jury* i się śmiał, to znaczy, że program do dupy. A jak groźną minę miał, to znaczy, że jest wszystko dobrze. A w każdym razie - na dobrej drodze. Myśmy występowali na różnych festiwalach. On z racji tego, że już jest najstarszy, to w różnych *jury* zasiadał. Kiedyś na festiwalu opolskim powiedział, że ja dzięki niemu istnieję artystycznie. Bo on był kiedyś w *jury* i dzięki niemu coś w czasach studenckich wygrałem, i gdyby nie on, to by mnie nie było. Więc wszedłem na krzesło i go w czoło pocałowałem: Tato! Nareszcie cię spotkałem!

Z Piotrusiem mieliśmy jeszcze taką przygodę w Estradzie Łódzkiej. Graliśmy *Fronczewski kontra Smoleń, Smoleń kontra Fronczewski*. To był duży program estradowy. Zapraszał nas dyrektor Estrady, pan Sikora.

Był numer, jak pamiętam, w Chrzanowie. Śnieg zaczął padać. Widzowie pozostawiali swoimi autami na parkingu nasze samochody. Organizator sprzedał trzykrotną pojemność tej sali widowiskowej, bo chciał zarobić. W pewnej chwili ludzie w połowie sali zaczęli stawać na krzesłach, żeby coś zobaczyć. A jak zaczęli wstawać ci, co byli w pierwszym rzędzie, to już nikt nic nie widział. Orkiestra Górnego nie miała na czym siedzieć, bo im ludzie krzesła zabrali. Organizatorzy wykombinowali jeszcze jeden zestaw stołków, żeby orkiestra sobie usiadła. Jak skończyli grać i wyszli, to ci, co stali pod sceną, zabrali im znowu krzesła i orkiestra znów nie miała na czym siedzieć. Myśmy chcieli z Piotrem stamtąd uciekać, ale fizycznie się nie dało, bo mieliśmy te auta zastawione. Piotr jest świetnym kierowcą rajdowym, mówi:”Ja ci przebiję ścieżkę”. Ale nie dało się, musiałby górą frunąć.

Grałem wtedy takie imprezy, które reżyserował Krzysiek Jaślar. W halach, aulach dla zakładów pracy. Ale on później pokłócił się z Estradą Łódzką i skończyło się występowanie. Grał w tym też Andrzej Zaorski, ”Elita”, ”Pod Spodem”, Krzysztof Daukszewicz, Krzysztof Piasecki, orkiestra Górnego. Do tego zawsze jakiś pokaz mody był, żeby czasu nabić. Jechało się na tydzień, dwa. Dziennie dawaliśmy nawet kilka koncertów. Wtedy mówiłem: do trzech razy sztuka, czwarta chałtura.

W 1999 rozpocząłeś współpracę z Polsatem. Zagrałeś rolę listonosza Edzia w serialu

Świat według Kiepskich. Kiedy zaczynałeś tę pracę w Kiepskich, to miał być epizod?

Postać listonosza rokowała nadzieje. Na dłużej. Jak się okazało, gram tam do dziś. Jedenaście lat.

A czy to był zbieg okoliczności? Listonosz? Bo korelacja z Laskowikiem jest dość duża.

Zbieg okoliczności. Nic to nie ma wspólnego z panem Zenkiem, ktoś wymyślił taką postać. To tak jak mnie wplątano w disco polo. Tak samo tutaj, że ja parodiuję Laskowika. W życiu - nie!

Do mnie autentyczni listonosze mówili: "Od razu widać, że w tej torbie nic nie masz. Jakbyś prawdziwą torbę niósł, tobyś się przewrócił".

Na planie filmowym zaprzyjaźniłem się z panią Krysią Feldman. I to było autentycznie najlepsze, co mnie spotkało w tym serialu. Że mogłem taką osobę poznać. Parę razy przywoziłem ją z Wrocławia do Poznania. A jeśli nie jechała ze mną, to przyjeżdżała po nią taksówka, żeby było cicho, bez dymu. Krystyna Feldman grała rolę babki. To było wygodne, jechało się na tydzień i nagrywało pięć odcinków. Mówiła do mnie: "Ty, mały, strasznie dużo palisz", a za chwilę: "Dajże jednego". Była mniejsza nawet ode mnie. Bardzo poręczna dziewczynka. Poznałem też pana Kotysa. Znakomity aktor, grał chyba najwięcej po Leonie Niemczyku epizodów w polskich filmach.

Często jeździsz do Wrocławia?

Różnie. Czasami co kwartał jest sesja, czasami raz na pół roku. Plan jest wybudowany tylko dla *Kiepskich*. Bywa tak, że mówię w odcinku tylko coś typu: "Mam pana w dupie, panie Ferdku", taka rozwijająca rola, ale płacą jak za dzień zdjęciowy. Trzeba szanować pracę. Ja się z niej cieszę.

Brałeś udział w takim koncercie życzeń - Ludzie listy piszą, programie TVP Polonia emitowanym w latach 1997-2002. Z pozdrowieniami od Polaków z zagranicy dla rodziny, przyjaciół w kraju.

Tam nie było scenariusza, nic nie było wcześniej przygotowane, takie wszystko na szybko, słabe... Też kiepskie recenzje z tego miałem.

Dlaczego nie masz takiego własnego barometru, wskaźnika, który by ci mówił: to jest dobre, robimy to, a to jest słabe, więc tego lepiej nie dotykać?

No... Szkoda spalać się gdzie indziej... Nie ma kogoś takiego koło mnie, kto mówiłby: "Rób to, tego nie rób - za żadne pieniądze".

Masz jakiś pomysł, jak mógłbyś dotrzeć do Polonii teraz? Byliby szczęśliwi.

To nie jest proste. To jest ponad siły. Raz, że nie mam siły jechać i grać, a dwa - nie

mam już siły się spotykać po koncercie.

Ale twoi koledzy, nawet starsi, są nadal na scenie. Jeżdżą na tournée, nawet do Stanów!

To już nie to co kiedyś. Zresztą czy mnie by ktoś chciał oglądać jeszcze?

Następny program telewizyjny z twoim udziałem: Bigosowa i Szwagry, 2005 rok, produkcja TVP. Talk show Zofii Bigosowej - gaźdżiny z Głodówki koło Zakopanego, która przepytowała subiektywnie polityków. Między innymi Donalda Tuska, Zytę Gilowską czy Zbigniewa Wassermanna.

Z panią Zosią Bigosową robiliśmy program razem z Wiesławem Ochnią. My udawaliśmy głupków, zadawaliśmy jakieś dziwne pytania, a Bigosowa to tuszowała, jakoś rozluźniała. Był taki odcinek, do którego byli zaproszeni Renata Beger i Lech Kaczyński. I pani Begerowa dostała ode mnie pytanie takie: Czy może Pani wytłumaczyć, jaka jest interpretacja takiego powiedzenia, że chłop ze wsi wyjdzie, a wieś z chłopca nie, i jak się to ma do kobiet w Samoobronie? Była bardzo zdziwiona i bardzo zawiedziona, że jej takie pytanie zadałem, bo jak twierdziła: ona mnie bardzo lubiła. A pana Kaczyńskiego - był wtedy prezydentem Warszawy - zapytałem, czy przy wjeździe do Warszawy postawiłby taki billboard ze swoim zdjęciem, gdzie byłoby widać, że pisze hasło: "Narodzie, nie kradnij, władza nie znosi konkurencji". Był strasznie oburzony, w końcu się tak zdenerwował, że kazał wyłączyć kamery i nie nakręciliśmy tego odcinka.

A Zofia Bigosowa ma wielu przyjaciół. Między innymi Jan Paweł II, zanim został papieżem, degustował jej nalewki, a miała różne. No i jadał u niej, bo doskonale gotowała. A później pokradli jej ludzie wszystkie sztuczki, bo być może akurat którymś tych widelców jadł papież. Ona jest bardzo fajna, taka niezniszczalna. Opowiadała, jak miotłą przegoniła niedźwiedzia ze swojego podwórka. Mogła go zabić tą miotłą, ale nie zabiła, tylko przegoniła, bo bardzo kocha przyrodę.

Spotykałeś się zawodowo z masą osób, z indywidualnościami, z osobami z branży kabaretowej, estradowej. Kogo wspominasz serdecznie?

Bardzo lubiłem kolegów z Wrocławia. To byli znakomici ludzie. Mieli potencjał. Jasiu Kaczmarek i chyba Leszek Niedzielski układali rymy do słów. Chodziło o rym do słowa "poczta". I Niedzielski wymyślił: "Tam jest napis - poczta, zaraz przyjdzie facet i tam mocz da". To taki wolny rym był. I Kaczmarek zwał się ze śmiechu.

Jan Kaczmarek to bardzo fajny człowiek. Słynne były na przykład jego próby wymigiwania się z udziału w koncertach, których bardzo nie lubił. Kiedyś zadzwonił do chłopców z "Elity", a to były czasy, kiedy nie wszyscy mieli telefony, że na koncercie nie

może być, bo jest chory. A ktoś go podpuścił:”Jak to, Jasiu, przecież ty telefonu nie masz?!”.”Aaa, leżę u kolegi”.

Miło wspominać też Zbigniewa Wodeckiego. Przy okazji jakichś występów siedzieliśmy sobie w restauracji, w Gdańsku, jedliśmy śniadanie późne. A tu nagle z dwóch stron nadbiegają dwie kolonie, dzieci w ilościach okrutnych. Restauracja była na pierwszym piętrze. Zdążyliśmy się ewakuować, skacząc przez okno.

Sporo występowałem z Krzysztofem Daukszewiczem. Byliśmy kiedyś w Stanach, na trasie. Pewnego razu siedzieliśmy w hotelu i oglądaliśmy telewizję. I nagle widzimy, że będzie *Rambo*. Krzysztof mówi:”Szkoda, że po angielsku”. Mówię mu: Nie szkodzi, wszystko ci będę tłumaczył. I cały film mu przetłumaczyłem, każde słowo. Więc się oburzył, że w sklepie czy kawiarni to sam nic nie powiem, a tu wszystko rozumiem:”Ty chuju, ty znasz angielski”. A ja po prostu ten film widziałem wcześniej z pięć razy!

W 2004 roku przeprowadziłeś się do Baranówka. Nowa przestrzeń, nowe życie. Także osobiste. Pojawia się stajnia, konie a w konsekwencji Fundacja Stworzenia Pana Smolenia. Postanowiłeś zostać filantropem, bo...

To nie była jakaś prosta decyzja, jednego dnia. Było kilka powodów. Takie szukanie drogi, co dalej. Miałem nowe miejsce, dom, stajnię. Jak już powstała idea hipoterapii, zacząłem szukać, które konie będą najlepsze. Kupiłem highland pony. To mocne, niskie, szerokie konie. Bardzo odporne, spokojne. Nadają się i dla dzieci, i dla starszych.

Ale co chciałeś osiągnąć? Chciałeś coś udowodnić, poczuć się lepszy?

Może tak naprawdę chciałem jakoś uczcić pamięć mojej mamy? Teresy, Piotrka? Że nie żyję dla siebie, że rozumiem, jak to jest żyć w cierpieniu? Moja mama - tak jak ja ją pamiętam - nie mogła się ruszać. A gdyby miała rehabilitację dobrą, gdyby ktoś o to zadbał, mogłaby żyć dłużej i lepiej.

Chciałbym, żeby to po mnie zostało. Teraz jest Fundacja Stworzenia, a później może być Fundacja imienia...

Reprezentując Fundację, pojawiaasz się w różnych miejscach związanych z dziećmi i niepełnosprawnymi dorosłymi.

Jak daję radę, to jeżdżę, zapraszają mnie na festiwale, zawody. Najważniejsze jest zbieranie pieniędzy na działalność Fundacji, bo to, że się zakłada fundację, to nie znaczy, że się ją samemu utrzymuje. A ludzie sobie myślą: jak jest taki głupi, że daje konie, daje stajnie i dopłaca do zajęć, to niech się martwi sam. A ja nie mogę pracować, nie ma skąd brać pieniędzy, żeby ciągle samemu to utrzymywać. Więc szukamy sponsorów, szukamy ludzi, którzy mogą pomóc dzieciom. Robimy bale karnawałowe, dzieci biorą udział w zawodach.

Chcemy, żeby jak najwięcej osób mogło ćwiczyć.

To są dzieciaki z ośrodków, ze szkół specjalnych. Od trzech lat do czterdziestu. Mają różne choroby, większość jest upośledzona umysłowo, z deficytami rozwojowymi. Rodzice są z małych miasteczek, wsi. Nie mają pieniędzy na wizyty w specjalistycznych ośrodkach, szpitalach. Niektóre dzieci jeżdżą konno same, inne tylko leżą na grzbiecie, głaszczą konie, czują ich ciepło.

Ile osób przyjeżdża na terapię?

Koło stu. Marzę o tym najbardziej, żeby Fundacja przetrwała, żeby były pieniądze na działalność, żeby nie trzeba było odbierać radości tym dzieciakom. Ja nie jestem hipoterapeutą. Nie mam ani takiej wiedzy, ani siły. Z podopiecznymi pracują zawodowcy. Do terapii przy jednym dziecku musi być kilka osób. W miasteczku niedaleko jest szkoła specjalna, jest internat dla dzieci z zaburzeniami, są stowarzyszenia chorych dzieci i ich rodziców. Oni wszyscy do nas przyjeżdżają. Objeżdżają na konikach łąkę, las. Ćwiczą, słuchają ptaków, czują zapach powietrza wiejskiego.

Moją rolą jest szukanie pieniędzy, pukanie do różnych drzwi, pytanie ludzi, czy pomogą. Mogę najwyżej rozśmieszać dzieci, rodziców, babcie i dziadków. Jeśli akurat mam siły wyjść sam na padok.

Póki nie odzyskasz sprawności, nie pokażesz się na scenie. Ale masz wiedzę, jak być doskonałym aktorem kabaretowym. Którzy koledzy - aktorzy kabaretowi - są według ciebie na dobrej drodze do tego, żeby krótko trzymać wodze publiczności?

Fronczewski jest świetny, Gajos też, w monologach genialnie wygrywa niuansę. A Grabowski już jest twardy jak jasna cholera w kabarecie. Albo się jest na scenie, albo nie. Na przykład Pazura robiący monologi... No, to można go zabić! Beton. Nie ma melodii, nie ma lekkości.

Za rozśmieszanie ludzi można nawet medal dostać.

Złoty Krzyż Zasługi. Dostałem go od Kwaśniewskiego w 1997. Zaskoczył mnie strasznie. Powiedziałem wtedy, że to dziwne, bo dostałem krzyż za sługi, a ja niczym sługą nie byłem. A już na pewno nie jego. Brawa otrzymałem. A drugi mój medal to Zasłużony Kulturze Gloria Artis - od ministra Zdrojewskiego. Pojechałem do Warszawy. Wtedy razem ze mną dostali jeszcze te medale Krzysiek Daukszewicz, Jerzy Skoczylas, Andrzej Poniedziałki i dużo innych ludzi. Po wszystkim dali nam jakiegoś szampana, więc mówię: Nigdy za kołnierz nie wylewam, ale dzisiaj tak!, i chlup tego szampana za kołnierz. Szybko wyszło, bo ciepło było.

Czy ktoś proponował ci, żebyś uczył młodzież sztuki estradowej? Miałeś jakieś

pomysły pedagogiczne?

Nie mam powołania do tego.

Ale twoje ciocie, twoja mama miały takie talenty!

Nie przekazały mi tego. Mam za to nazwisko - mały leń. Small Leń. Nawet języków się nie nauczyłem, mając mamę o wielkiej cierpliwości, o wielkim talencie. Później, na wyjazdach, najbardziej tego żałowałem.

A co do uczenia innych, to nie mam takiej cierpliwości, nie umiem tak dyplomatycznie powiedzieć: Musisz ćwiczyć, jeszcze coś z ciebie będzie. Musiałbym powiedzieć: Nie widzę cię na scenie. Nie masz tego czegoś w sobie.

Ale mógłbyś poradzić, powiedzieć, co trzeba mieć, żeby stać na scenie.

Tego się nie wyćwicz, nie nauczy. Trzeba mieć charyzmę, coś, co jest szczere, autentyczne. A skoro ja widzę, że ktoś tego nie ma, a stoi jednak na scenie, to co mam zrobić? Powiedzieć: To nie twoje powołanie? Przecież nie zrobię tego.

Mógłbyś uczyć, jak się skoncentrować, jak zapanować nad publicznością.

Najpierw wyczuwasz energię ludzi, wybierasz kilka osób z widowni i sprawdzasz, jak reagują. Ze sceny widać ludzi - nawet w Opolu czy Sali Kongresowej. Wybierasz parę oczu. Jak słyhać śmiech, to musisz przeczekać, aż przejdzie cała fala, aż wszyscy się wyśmieją. Nie szarżować, nie walczyć z nimi, nie przekrzykiwać. Jak coś się stanie - krzesło się wywróci, ktoś się kręci, wstaje, coś powie - musisz natychmiast zareagować.

Co, jeśli żart nie dociera?

Można zacząć mówić szybciej albo ciszej, żeby widz się skupił, naciągnął uwagę. Nie wolno tłumaczyć żartu, przeciągać, zapowiadać, że za chwilę będzie żart albo mówić: "O! Tu właśnie był żart".

Można zacząć nagle mówić bardzo cicho, żeby musieli się uciszyć, żeby dosłyszeć. Nigdy nie wolno zacząć panikować. Ale każdy ma swój sposób pracy, inną drogę. Zenon potrafił bezpośrednio rozmawiać z kimś z publiczności. Ja bym się nie odważył, stojąc sam na scenie, na zaczepianie publiczności.

Może to absolwenci AWF-u mają takie zdolności do zaczepiania ludzi? Pewna przewaga sprawności fizycznej pomaga w panowaniu nad ludźmi?

Nie wiem, to jest inna droga, nie moja. "Tykanie" - ja tego nie stosuję, nie umiem. To Zenek w żarcie brnął do końca. Jeden się zaśmiał, to drugi też zaczął. Bo jak to, on zrozumiał, a ja nie? I tak każdy się obśmiał w końcu.

Każdy, kto występuje publicznie, ma trudną drogę. Szczególnie ktoś, kto ma zawodowo bawić ludzi. Uzależnienie od kolegów, raczej mało altruistycznych, od kaprysów widowni.

Można powiedzieć, że artysta kabaretowy jest jak saper. Myli się tylko raz.

Tłumaczyliśmy zawsze, że to działa tak jak u sportowca. Jest na olimpiadzie, zdobywa medal. Wszyscy go podrzucają w górę, wiwatują. Ale z czasem się rozejdą. I zostawią go w powietrzu. I dlatego trzeba sobie przygotować miękkie lądowanie. Ale nie zawsze się to uda. Nagle widzisz, że wisisz w przestrzeni. I strach, że za chwilę spadniesz. Albo jak się ockniesz, to już leżysz na ziemi. Sam.

W waszym środowisku każdy lubi mówić o sobie: ja byłem świetny, ale koledzy... Jeden za dużo pił, drugi był leniwy, trzeci był mało zdolny i dlatego wyszło, jak wyszło, rozeszliśmy się.

No jest tak. Każdy z nas ma pamięć wybiórczą.

Kilka dni temu, po twoim wywiadzie w telewizji, znów pojawił się wątek "Zenon Laskowik i Bohdan Smoleń wracają na scenę!", "Smoleń wyciąga rękę na zgodę", "Laskowik mówi: »nie przeproszę«,... Tłucze się w brukowcach, jakby to miało jakiś sens.

Jak małżeństwo się rozwiedzie, to nikt za nimi nie chodzi, nie namawia. Pogadajcie chwilę ze sobą, bo chcielibyśmy was posłuchać albo zrobimy wam parę zdjęć razem, bo fajnie wspólnie wyglądacie. Wszyscy rozumieją, że rozwód to jest rozwód. My z Zenkiem nie musimy się za nic przeproszać, bo nie pokłóciliśmy się z jakiegoś jednego powodu. Możemy sobie zawsze podać rękę i powiedzieć: fajnie, że się kiedyś spotkaliśmy, że udało się nam. I to trzeba pamiętać.

Ale widownia chce was widzieć razem. Teraz pytanie, czy takich, jakimi jesteście teraz? Ty z laską, po wylewie, Laskowik z brzuchem i świadectwem łaski. Rozmawiacie o kupowaniu buraków z tyłu sklepu albo o tym, jak działa mały fiat. Co to miałyby być? Kącik wspomnień? To by dopiero było rozczarowanie!

Niektórzy chcieliby tego jeszcze raz posłuchać. Albo w ogóle nigdy wcześniej na żywo tego nie słyszeli. A tu stoi dwóch dziadków i opowiada. Wspominki. Tragedia. Na pewno na widowni znalazłby się ktoś, kto na dwa zdania przed puentą już by ją głośno powiedział.

Albo ktoś lepiej pamiętałby tekst niż ty...

No oczywiście... Krzyczeliby: "Zapomniał pan o tym!"

Można byłoby konkurs zrobić: kto najlepiej pamięta dany skecz! Albo tak jak na koncertach popularnych piosenkarzy, gdzie publiczność śpiewa refren, stalibyście i otwierali usta, a ludzie by mówili:

„Czy może nam pani powiedzieć, na terenie jakiego zakładu się obecnie znajdujemy?

Tego nie mogę powiedzieć, bo to jest tajemnica państwowa! Mogę tylko powiedzieć, że

mam pięć złotych od bombki!

Jak pani ma na imię?

Pelagia! Jestem starszą pracownicą w tym zakładzie. Pracuję tutaj hoo, hoo, a może i dłużej! Mój mąż i dzieci tu też pracują, a ich zdjęcia są za zakładem!”.

Gdybym się lepiej czuł, to może byłoby śmieszne?

Mnóstwo jest teraz takich artystów, którzy są w wieku emerytalnym i są w strasznym położeniu.

Autorzy jednej piosenki, jednego tekstu. Ale też znakomici aktorzy teatralni, którzy nie zostali gwiazdami kina czy telewizji. Nikt ich do reklamy nie weźmie, nie ma tantiem od puszcanych filmów. Jest tylko malutka emerytura. A chcą żyć dalej. Jak?

Ojciec opowiadał, jak to było z wielkim aktorem Solskim. Kiedy występował w Bielsku, w Teatrze Polskim. Jak jego nie było, to było pusto. Jak Solski był, to była pełna widownia. Każdy chciał zobaczyć Solskiego. Może ducha wyzionie na scenie. Na deski nikt go nie chciał wnosić. On już robił pod siebie. Ale musieli go na krzeselku transportować, bo sam po schodkach nie wszedłby. Podpowiadali mu wszyscy, z prawej i z lewej. A po śmierci ktoś podpierdolił jego pieniądze, nie miał kto zapalić mu świeczki na grobie.

Publiczność potrafi być empatyczna...

Pamiętam, jak papież zmarł i mieliśmy grać koncert. Jeszcze nie było ogłoszonej żałoby. Wchodzę na scenę i mówię: Ludzie, ja wam dzisiaj nic nie powiem. Przełożmy to na jakiś inny czas, by nasze myśli nie były gdzie indziej. Dostałem brawa i ludzie wstali i wyszli. Nikt nie oddał biletu. Pojechaliśmy potem za dwa miesiące i zagraliśmy tę sztukę.

Ale publiczność bywa też okrutna.

W szpitalu: w piżamie, w papciach, ledwo łączę z zamontowanym rozrusznikiem, dosłownie wyczołguję się z kibla i jakaś pani robi mi zdjęcia. To jest coś, czego sobie nie wyobrażasz. Jestem satyrykiem, aktorem kabaretowym, nie kukłą, pajacem. Nie mogę dwadzieścia cztery godziny na dobę z uśmiechem wszystkich karteczek, jakichś pogniecionych śmieci, udartych z gazety pasków czy tacek od kielbasy podpisywać.

Za czasów kabaretu „Tey” byłeś więźniem imprez, teraz jesteś więźniem kanapy.

Naprawdę wolę zamiast w szpitalu czy sanatorium być w domu, nawet jeśli to gorzej dla zdrowia. Nie chcę, żeby ktoś na mnie patrzył, robił zdjęcia czy klepał, kiedy nie mam już sił.

Rozmowa VI

Lato było ciężkie. Bohdan z kolejnym wylewem w szpitalu, do tego upały, ogólny brak optymizmu w powietrzu. Ale się nie dajemy. Byliśmy nawet na grzybach. Bohdan słabo chodzi, więc pierwszy raz w życiu zbierałam grzyby, jeżdżąc kosiarką-traktorkiem po drózkach leśnych. Bohdan za kierownicą, ja uczepiona maski jak wielka meduza. Mamy cały koszyk prawdziwków. Jeśli ktoś widział nasz objazd, to chyba do teraz śmieje się w kułak. Czas na ostatnią rozmowę. Na podsumowanie wspomnień.

Gdybym teraz poszła na twoją wywiadówkę, to co bym usłyszała: "Zdolny, ale leniwy"?

Na pewno tak, już samo nazwisko...

Ale nie o nazwisko mi idzie, tylko o twoje wybory.

Po Kabarecie "Pod Budą", który miał ambicje literackie, miałeś robić monodram, duże samodzielne przedsięwzięcie. Zamiast tego jeździsz przez kilka lat na występy objazdowe ze skeczami po prowincji. Później - kabaret "Tey". Ogromna popularność, pieniądze. Następnie teatr: Paranoia. Inicy, żadnej kontynuacji. A tam, cicho być - własny tekst, nagrody. I znowu - dla pieniędzy: Hurtownia Polska, współpraca z panem Krzysztofem Deszczyńskim, disco polo, występy na rynkach w małych miasteczkach, zarabianie. Tym razem już bez żadnych pretensji do sztuki. Przez chwilę nadzieja - film Marka Piwowskiego. I potem: 50 lat wątroby Bohdana Smolenia. Nie trafiłeś na swojego menedżera, który utorowałby ci drogę na spokojne wody prawdziwej sceny?

Często trafiałem na osoby mało twórcze. Wszyscy chcieli zarabiać. Sztuka nie miała znaczenia. Ja miałem być do przyciągnięcia publiczności, jako znane nazwisko.

Miałeś umożliwiać zarabianie pieniędzy.

Tak, zespołowi, organizatorowi. Oczywiście sobie też. Bilety będą sprzedane i się zarobi. Takie są reguły gry.

Jesteś tak bierny, że pozwalasz wszystkim decydować o sobie, czy tak naiwny, że za każdym razem wierzysz w czyste intencje ludzi?

Dlaczego mam psuć czyjeś wyobrażenia wiadomością, że wiem, jak się to skończy? Ja już wiem, jak się to zawsze kończy, ale chcę, żeby współpraca jak najdłużej trwała. Praca jest ważna, a ja lubię pracować.

A jeśli od razu powiesz im jasno, że nie tylko sprzedaż biletów i pieniądze na bułkę z szynką się liczą, ale też sztuka, poziom? Idealne połączenie: sztuka, na której można zarobić. Nie do zrobienia?

W moim przypadku to chyba jedynie w "Pod Budą" tak było. I może w "Teyu".

Oprócz tego? Nic?

Nie udało się stworzyć zespołu ludzi, którzy mogliby razem pracować na takim poziomie.

Dajesz się łatwo wykorzystywać.

Wierzę, że organizator ma uczciwe zamiary. Ale kiedy masz grać jednego dnia w czterech miejscowościach oddalonych od siebie o sto dwadzieścia kilometrów, w każdej masz być godzinę przed występem i jeszcze masz dobrze zagrać... To się zaczyna człowiek zastanawiać, jaka jest jego rola. Kim się staje. Nieważne, jak się czuję. Mam wykonać sto procent założeń organizatora.

No to trzeba przerwać to błędne koło.

Tak. Ale jak zerwę umowę, nie ma koncertów. Nie mogę zarabiać. Bardzo chciałem być artystą kabaretowym, nie estradowym. Grać w kabarecie co wieczór, nie jeździć z taborem. Ale się nie udało. W Polsce na razie udało się przetrwać teatrom, kabaretom nie.

Po "Teyu" nie myślałeś o powrocie na południe, do Krakowa?

Zostałem w Poznaniu, bo w Krakowie bym musiał znowu zaczynać od zera. A tu była nadzieja, że się jakiś fajny zespół zawiąże, że coś będzie.

Ale sieroty po "Teyu" nie dały rady się skrzyknąć.

Nie, po wyjeździe do Stanów w 1989 już było wiadomo, że każdy musi sam, że nie można, jak się już zostało liderem, wejść z powrotem w zespół... Rudi Schuberth, Janusz Rewiński, Zenon Laskowik.

Ludzie z twoich następnych zespołów, z grup, z którymi pracowałeś, mieli do ciebie pretensje. Nie wytrzymaliście ze sobą.

Ani oni ze mną, ani ja z nimi. Ci z "Pod Spodem" mieli do mnie pretensje.

O to, że jesteś leniwy, że kiedy udzielasz wywiadów, mówisz tylko o sobie, że "role pisze ci życie", a nie koledzy.

Największe pretensje mieli o to, że na plakacie moje nazwisko jest napisane grubszymi literami.

Polska specjalność - wszyscy równo, w dół?

Tadeusz Drozda mówił zespołowi, że jedynym, który może wypić przed i w czasie spektaklu, jest on. Jak się to komuś nie podoba, to może odejść. I od razu była zdrowsza atmosfera. Ten, kto akceptował taki układ, zostawał i nie mógł mieć później żalu, pretensji.

Cale życie pracowałeś w zespole. To wymaga umiejętności.

No tak, ale kiedy ja mówiłem: rzygać mi się chce, chyba będzie próba, to nie dlatego, że nie chciało mi się brać udziału w próbie, tylko dlatego, że te próby były źle prowadzone. Na próbę człowiek przychodzi przygotowany, z przemyślaną rolą, a nie może w nieskończoność

dopiero na scenie szukać, jak zagrać.

Niezgodność charakterów doprowadzała do twoich rozwodów zawodowych?

Trudno pracować razem, jeśli na pracę ma się różne poglądy. Zespół nie może zagłuszać lidera. W "Pod Spodem" Jacek Baszkiewicz był zagłuszany przez chłopców. Chciałem z nim samym coś zrobić. Mówiłem mu: Czemu masz być pod spodem, jak możesz być na wierzchu?

Ale on się bał ich zostawić. Wolał być najlepszy w swojej grupie niż zmierzyć się ze mną. W zespole trzeba przede wszystkim szanować wszystkich. Nie decydować o życiu innych, ważne jest to, żeby być punktualnie na próbie, na występie. Żeby dobrze zagrać. Co się robi prywatnie, jak się spędza czas, gdzie się chce jechać z dziećmi na wakacje, to już nie jest sprawa zespołu. Każdy ma swoje nazwisko i dba o nie. Najbardziej mi przeszkadzało, kiedy ktoś zapominał o tym i chciał panować nad życiem innych.

Na początku drogi kabaretowej, w roku 1970, w wywiadzie dla "Gazety Krakowskiej" na pytanie o rolę kabaretu odpowiedziałeś: "Ludzie przychodzą do kabaretu, żeby się pośmiać, a przez to jakoś lepiej posłuchać prawdy o sobie", w roku 1986 na to samo pytanie odpowiedziałeś: „Kabaret nie jest wentylem nastrojów społecznych, jest zwierciadłem społeczeństwa. Gdyby słuchali nas parę lat temu uważnie - może uniknęliby paru błędów w historii". W młodej kapitalistycznej Polsce, na początku lat dziewięćdziesiątych, mówisz: "Nic się nie zmieniło prócz nazwisk, nadziei i cen. Władza ciągle pomaga kabaretowcom robić karierę, chociaż uważam, że aktualnie kabaret jest w kryzysowej, patowej sytuacji. Finansowo jest trudniej. Ale ludzie żyją w takim stresie, że szukają jakiegoś rozwiązania, jakiegoś leku na stres, jakieś recepty". Czy w 2010 nie ma już szansy na to, żeby pokazać ludziom sztukę, wysoki poziom i żeby tłumy na to waliły? Bez gołej pani, bez słowa „dupa”, bez przasnanych żartów?

Wszystko się porąbało, zdewaluowało. Ideały zniknęły. Zniknął wspólny wróg. Teraz się nalatuje na pojedyncze osoby. To już jest bez sensu.

Od 1947 do 2010 najważniejsze wydarzenia w twoim życiu. Takie decydujące.

Powstanie Kabaretu "Pod Budą", przeniesienie do "Teya".

Ale to życie zawodowe. A mnie chodzi o całe życie.

Moje życie prywatne było związane z zawodowym. Wszystko było zależne. Najważniejsze to chyba było przeniesienie do Poznania rodziny, wejście w całkowicie nowe środowisko.

No i odejście mojej mamy. Straciłem wtedy najlepszego przyjaciela. Mogłem zawsze do niej przyjechać, o każdej porze dnia i nocy. Zawsze na mnie czekała. I zawsze coś fajnego

doradziła. Trzecie wyjście znalazła zawsze moja mama.

A następny taki ważny czas to borykanie się z moją rodziną. Śmierć.

Później ten etap, kiedy się zastanawiałem, co robić: czy uruchomić się zawodowo, jak wrócić na scenę. Grać mi się wtedy chciało najmniej. Jasne, że wówczas pomógł mi Krzysiek Deszczyński. Ale naprawdę nie był najważniejszy. Żeby wyjść na scenę wtedy i teraz, najistotniejsza jest życzliwość wszystkich bliskich ludzi, też w domu. Musi być dobra atmosfera. Jak tego nie ma, to trudno żyć. Nie jest najważniejsze, żebym zarabiał. Ja bardzo mało jem i nie potrzebuję dużo pieniędzy. Najbardziej mi żal, że teraz muszę się prosić, żebym mógł sobie paczkę papierosów kupić.

Popularność przed trzydziestu laty miała inny wymiar. W gazetach, telewizji nie było żadnych informacji o życiu prywatnym artystów. Może gdzieś jakaś plotka szeptana, że któraś piosenkarka ma porsche albo romans. Nawet w wywiadach nikt nie miał tyle odwagi czy bezczelności, żeby pytać o tę sferę życia. Aktor to zawód, więc odpytywało się go na okoliczność życia zawodowego, nie prywatnego. Jak tworzył rolę, jak ocenia film, jak interpretuje wydarzenie artystyczne.

Nawet sobie nie wyobrażam, żeby widownia rozważała w czasie audycji radiowej czy telewizyjnej, czy Jan Łomnicki nosi bieliznę wyszczuplającą, Irena Kwiatkowska pije w nocnym klubie z nieznanym brunetem, a Bronisław Pawlik ma na sobie czerwone buty za tysiąc pięćset złotych. Pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęły się pojawiać pierwsze gazetki plotkarskie. Na naszych oczach świat oszalał. Ceną tego jest to, czego się najbardziej boisz. Utrata prywatności.

Mówiłeś, że z popularnością jest jak z olimpijczykiem: kiedy zdobędzie medal, wszyscy go podrzucają w górę. Ale zawsze może przyjść moment, że rozejdą się i delikwent zostanie sam w powietrzu. Na jakim ty jesteś etapie?

To może być jeszcze inaczej. Ktoś odejdzie sam, wcześniej. I ludzie nie będą mieli kogo podrzucać.

Stoisz koło tych, którzy podrzucali, czy siedzisz z boku?

Siedzę z boku. To jest nawet coś więcej niż ławka rezerwowych. To jest ławka pańska. Łaska pańska.

Rozumiem, że nie przeszkadza ci to, że jesteś z boku? Że nie tęsknisz do tych tłumów, które były wokół ciebie?

Nie. Nareszcie mam coś podobnego do spokoju. Osiągnąłem to, czego podświadomie zawsze pragnąłem. Jestem z boku.

Zawodowo zapewne masz spokój, ale wewnątrz?

Nie tęsknię za wyjazdami. Wiem, że nie dam rady nawet jednego koncertu wykonać samodzielnie, bo jest mi trudno chodzić i utrzymać równowagę. Wewnętrzny spokój staram się łapać. Dużą radość mam, jak patrzę, że ktoś mi przesadza drzewka. Wymyślam sobie, jak byłoby dobrze, jak będą pasować do siebie kolorystycznie i gatunkowo. To jest moja uciecha na co dzień. Chcę mieć bezpieczne miejsce, gdzie nikt nie będzie decydował za mnie. Gdzie sąsiad jest na odległość strzału, nikt nie wtrąca się do wszystkiego, nie krytykuje. Najgorzej, jak ktoś nie szanuje mojego zdania, nie akceptuje moich decyzji.

A dlaczego z synami tak rzadko się odwiedzacie?

Każdy ma swój dom. Swoje życie. Jak mają potrzebę: "Tato, przyjeźdź", to jadę. Tak samo ja mogę ich zawsze o to poprosić. Ale każdy z nas idzie swoją drogą. Akceptujemy swoje wybory. Oni mają swoje rodziny, o które dbają. Zawsze się chwalamy, że jesteśmy zadowoleni i dumni z siebie. Oni poszli swoją drogą i za Chiny nie chcieli, żebym im w czymkolwiek pomagał. Żaden nie chciał podążać w takim kierunku, jak ja. Pokończyli szkoły, do których się nie wtrącałem, każdy znalazł swój zawód. A oni akceptują moje wybory. To jak i z kim żyłem, jaki dom zbudowałem. To, że założyłem Fundację. Jak człowiek jest młody, to bardziej mu zależy, żeby mieć blisko do pracy, żeby dzieci do szkoły szybko dowieźć. A jak się starzeje, to rozumie, że najważniejszy jest spokój. Ucieka się od ludzi. Ja muszę mieć dużą przestrzeń wokół siebie i dlatego mieszkam na wsi. Z czasem też człowiek rozumie, że ważne jest to, co po nim zostanie. Chciałbym, żeby po mnie został jakiś ślad, stąd Fundacja. Marzę, że jak umrę, to po mnie zostanie. To miejsce.

Czujesz się wolny teraz?

Tak. Nie przyjeżdża nikt, nie każe mi się pakować, bo mam być jutro w Kaliszu, Katowicach i Olsztynie...

Do pełni szczęścia potrzeba jeszcze jednego ogniwa.

No tak. Niestety ZUS-y i inne organizacje, na które się płaci całe życie, nie dają na starość nic sensownego. Wprost przeciwnie. Trzeba z nimi walczyć o każdy grosz, przypominają sobie, że to ja mam zaległości, nie oni. Zawsze się starałem, żeby nie mieć nic na czarno, wszystko popłacone na czas. I co z tego? Artyści mają bardzo niskie renty, emerytury. Nie możemy przejść na wcześniejszą emeryturę, ale nie mamy też możliwości pracy.

Ministerstwo Kultury też nie może pomóc artystom, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji.

Jest kilka tysięcy złotych na cały rok, żeby pomagać ludziom, którzy mają nagłe potrzeby. Na całą Polskę, na wszystkich: malarzy, aktorów, piosenkarzy.

Czyli nie ma wyboru? Musisz wrócić do pracy?

Wiek nie świadczy o artyście. Świadczy o nim to, co potrafi jeszcze powiedzieć. Ja muszę jeszcze poczekać. Może parę miesięcy? I wyjdę sobie na scenę i może będę szczęśliwy nawet? Nie potrzebuję żadnych przeprosin, wybaczeń, podawania ręki. Bo nie ma powodu, to ludzie wymyślają w gazetach. To są źle użyte słowa. Artysta, tak jak wojskowy, musi znać swoje miejsce w szeregu. Musi znać swoje możliwości. Jeśli nie ma zwartych szyków, to nie ma o czym gadać.

Ale masz świetne poczucie humoru, jesteś szybki, błyskotliwy.

Czyli jeszcze nie wszystko we mnie umarło. Wiesz, kiedy byłem w związkach z kobietami, to było tak, że to, co na początku było brane za dowcip, później uważane było za złośliwość. Mówiłem: Jedz, jedz, bo źle wyglądasz. Najpierw się z tego śmiała, a po jakimś czasie zaczyna roztrząsać: "Ale dlaczego źle? Gruba? Stara?". Ten sam żart już nie jest żartem.

W poczuciu humoru ważna jest złośliwość, refleks?

W ciętym humorze tak. Umiejętność odbierania, rozumienia żartów. I przekazywania ich. Ironia, znajdowanie nielogiczności, skojarzenia - nawet odległe.

Kiedy sprawdzałam nazwiska ludzi, o których opowiadałeś, tych z czasów Estrady Lubelskiej, tych, którzy występowali z "Teyem", to zaczęłam popadać w depresję. Kiedyś oklaskiwani, znikają w jakimś niebycie, nikomu niepotrzebni.

Każdy się boi tego momentu. Kiedyś często grywałem w pokera. I wiem, co znaczy słowo "czekam". Czekam na lepsze rozdanie.

A co z tymi, którzy nie mogą już grać?

Zgubili karty.

Mają emeryturę poniżej tysiąca złotych, a brakuje im już siły, żeby malować, występować, stać na scenie.

To jest tragedia. I tu żadna zmiana ministra nic nie da. Urodziliśmy się w złych czasach. Pomysł, żeby zamiast na armaty dawać pieniądze na kulturę, jest dobry. Kupując broń, mówimy innym narodom - "Szykujcie się!". I oni też kupują. I to nie ma końca. Albo ile pieniędzy marnuje się na ochronę dla polityków. Najpierw ich naród sam wybiera, a później trzeba im organizować przed tym samym narodem ochronę. Oczywiście finansowaną przez lud pracujący. To coś jest nie tak. To oni się znaleźli chyba nie w tej bajce.

Jeśli chodzi o starszych wykonawców w Polsce, to chyba dopiero wtedy towarzyszy im jakieś, niezdrowe zresztą, zainteresowanie, gdy pojawiają się informacje, że znany artysta popada w tarapaty finansowe czy życiowe. Tak było na przykład z Violetta Villas czy Jerzym

Połomskim. A tymczasem w Czechach Karel Gott czy Helena Vondráčková przeszli z jednego ustroju w drugi i nadal są wielkimi gwiazdami, wielbionymi przez publiczność. U nas jest duża podejrzliwość co do artystów "starego reżimu". Chyba tylko Maryla Rodowicz dała radę. Jesienią tego roku Karel Gott skończył siedemdziesiąt jeden lat i ma tournée po Czechach i Słowacji. Wypełnia szalenie publicznością dwanaście sal, hal czy auli. A o jego występach mówią w głównym wydaniu Wiadomości. I wszędzie go wielbią, bo jest ich Złotym Chłopcem. Helena Vondráčková - twój rocznik, 1947 - gra miesięcznie po dziesięć koncertów. Pełne sale.

Niestety... U nas artyści przyzwyczaili się, że ktoś za nich wszystko załatwiał. Był etat w Estradzie, pensja. Mieli swoje pięć minut, ale nie budowali wokół siebie żadnych zespołów. Zawsze "brali udział", nie umieli brać spraw we własne ręce, samemu czegoś organizować. I teraz... to jest tragedia.

Lubisz się?

Tak, nadal się lubię, nie zrobiłem nic złego w życiu.

Ale palisz, nie dbasz o siebie.

Gdybym był przekonany, że to coś zmieni, to pewnie bym rzucił. Ale nie ma takiej możliwości. Jak rzucę palenie, nie ozdrowię, nie zacznę chodzić sprawnie, biegać.

Mnie ciągle ktoś chce matkować. Niech pan zje jeszcze kromeczkę, pan tak źle wygląda. A ja nie mam ochoty. I wtedy zaczynają przesadzać. Aż trudno wytrzymać.

Wzbudzasz takie emocje, bo jesteś słaby, chudziutki.

Malutki...

Malutki, biedny i trzeba cię przytulić, pobujać. Za ciebie podjąć decyzję. A ty przecież jesteś dorosłym mężczyzną. Samodzielnym.

W pewnym momencie trzeba trzasnąć pięścią i powiedzieć "stop". I wtedy się obrażają. Ale dość tego, jesteśmy dorośli, szanujmy się.

Tak tęsknisz do tego szacunku, spokoju.

A tego wkoło nie ma. Ja nie chcę nikomu w życiu przeszkadzać i chciałbym, żeby mnie też tak traktować.

Wiesz, że wielu ludzi jest zawiedzionych, że nie jesteś duszą towarzystwa? Liczą, że jak będziesz przy stole, to się zsikają ze śmiechu po 10 minutach, a tu nic. Poważny pan siedzi i nie odzywa się.

Nie jestem maszyną do bawienia ludzi. Przeszedłem zbyt dużo w życiu. Myślę, że jeśli usiądę z ludźmi, którzy mieli podobne losy do moich - a tego nikomu nie życzę - i którzy będą mieli czas, żeby przemyśleć to wszystko w sobie, jeśli będziemy równi, to możemy

sobie dowcipy opowiadać. Możemy sobie nawet dogryzać. Ale jeśli nie ma równości w tragediach, w tym, co nosimy w sobie, to nie damy rady się zrozumieć. Nie mogę spełnić ich oczekiwań. Jestem na takim etapie, że mogę przeczekać, przemilczeć.

Kiedy wiosną tego roku występowałaś w Auli UAM z okazji obchodów roku chopinowskiego, jak czuleś się na scenie?

Ledwo wszedłem, pomagali mi ludzie dyskretnie, żebym się nie przewrócił. Żeby nie spłoszyć widowni, że jestem w okrutnym stanie, po jakimś przeżyciu alkoholowym. Bałem się jeszcze wejść na scenę. Bałem się, że się przewrócę.

Fizycznie nie lubię, jak mnie wnoszą na scenę. Chyba że wymaga tego sztuka. Tak było w *A tam, cicho być* - wwozili mnie na scenę na łożku.

Boisz się tego, że nie panujesz nad ciałem?

Że mnie nogi nie niosą.

Ale nie ćwiczysz systematycznie.

Bo nie lubię, kiedy ktoś mi coś karze. Przychodzi rehabilitant i mówi: "Niech pan pokaże, jak pan jeździ na rowerku". A ja teraz nie chcę jeździć. I czemu ja jemu mam pokazywać, jak jeżdżę na rowerku?! Jak będę chciał, to mogę sobie sam pojeździć. A jeśli ja nie mogę nawet wsiąść na niego, to nie będę tego używał! Jest taki wiek, że nie można komuś na siłę nakazywać - teraz zrób to, teraz to. Ja mam sześćdziesiąt trzy LATA, a nie trzy LATKA. Nie może mi ktoś kazać jeździć rowerem! Wała! Chociażby na złość jemu nie będę tego robił. Kiedyś taki znajomy, który miał paraliż, tłumaczył mi, że ćwiczył zawsze, kiedy miał ochotę. Nawet w nocy. Bo to wtedy ma sens, kiedy czuję, że mam taką potrzebę.

Czyli dorosłym nie narzucać? Nie kazać im odpoczywać ani ćwiczyć? Babciu kochana, poleż sobie, a my jedziemy na spacer.

Ona też może chcieć. Iść na spacer albo tysiąc innych rzeczy robić.

Dorosłym nie można nic kazać. Znam ogrodników, którzy chcą jeszcze popracować, zrobić sadzonkę, a synowie zabierają im łopatę i mówią: idź leżeć, masz nic nie robić. A jak on nie będzie nic robić, to od tego umrze.

Jak powinno być w twoim raju? Z kim byś się chciał spotkać?

Z mamą. Z pierwszą żoną, z synem. Tak, żeby sobie wyjaśnić parę spraw. Teraz ludzie mnie pytają: "Dlaczego?". A ja nie wiem.

Co byście robili w tym raju?

Rajcowali się. Jeszcze nie byłem w raju, więc nie wiem dokładnie jak, ale byłoby fajnie.

A raj na ziemi?

Tego nie będzie, bo czasu się nie wróci.

Chciałbym się fizycznie dobrze czuć. To jest tragedia, jak człowiek nie panuje nad własnym ciałem. W każdej chwili mogę się przewrócić i to nie jest moja wina. Nie mogę uciec z domu, nie mogę pracować. Wiem, że jeszcze mnie scena nie woła. Ale będzie moment, że powie:”choś tu, choś tu...”. Może zbierze się grupa ludzi, którzy będą mieli dobry pomysł? Nic na siłę.

Wiesz, co byłoby najpiękniejszego dla osób, które cię spotykają i mówią:”Niech pan powie coś śmiesznego”? Żebyś wyciągnął z kieszeni chustkę, zarzucił i powiedział:”Jestem starszą pracownicą w tym zakładzie”.

To samo jest w szpitalu, w każdym urzędzie, w restauracji. Albo ludzie zaczepiają mnie fragmentami tekstów moich. I co mam zrobić? Odpowiedzieć? Dlatego wolę te niepełnosprawne dzieci, bo one nie mają pojęcia o mojej przeszłości, ich śmieszy to, co jest. One nie oczekują ode mnie, że będę ciągle opowiadał stare skecze.

Ich przeszłość nie dotyczy?

Każda śmieszna rzecz powiedziana wywołuje ich pozytywną reakcję. Był kiedyś na zajęciach taki chłopiec, który nie chciał współpracować, nie chciał rozmawiać, cały czas mówił:”Dupa, dupa, dupa...”. I powiedziałem do niego: Małymi dupami naprzód marsz! Zaczął się tak śmiać, że padł na piasek... ze śmiechu.

Energia dowcipu. Dawaliście ludziom tyle radości, pozytywnych emocji, przydałoby się to teraz tobie.

W Warszawie był taki jeden pan, który przychodził na koncerty do Kongresowej. Siadał zawsze w pierwszym rzędzie. A widownia była jakieś sześć metrów od sceny. Więc jak on zrozumiał żart, zaczynał się tak śmiać, że wstawał i biegł do sceny, chwycił za rampę i tłukł głową. W końcu uspokoił się, wracał i siadał. Następny żart zrozumiał i znowu leciał walić w scenę. I tak kilkanaście razy w czasie spektaklu. Taką energię wyzwalał w człowieku.

Chciałbym, żeby trwała pamięć tego. Ale nie chcę nic więcej. Ludzie przychodzili oglądać mnie, żeby sobie odpocząć. To była moja praca. Żeby ich zadowolić żartem, słowem pogodnym. Żeby zeszło z nich to, co im tłuczono do głowy w pracy, w radio, w telewizji, żeby poczuli się normalnie. Ale ja jestem zawodowcem. Czyli kiedy jestem na scenie, bawię. Ale kiedy zejdem ze sceny, już nie. Chcę wtedy żyć normalnie. Bilety są na godziny. Spektakl jest od do. A później jest koniec, rozchodzimy się do domów. Wtedy już jest normalne moje życie. Nie wolno się oddawać do końca widowni. Kto nie umie tego rozdzielić, jest amatorem.

Wczoraj miałem takiego gościa. Opowiedziałem żart, a on po 5 minutach opowiedział ten sam żart, że go właśnie wymyślił. Dobrze, że byli świadkowie i mu powiedzieli: "Ty, kurwa, sklerotyku, przecież Boguś przed chwilą ten żart mówił". Tak się przejął, że siedzi blisko mnie, że wszedł w moją rolę.

A jaki to był żart?

Facet poszedł do notariusza, żeby testament spisać. Notariusz mówi: "To wie pan co, niech pan weźmie kartkę, usiądzie sobie w pokoju obok, tam jest spokój, i niech pan napisze ten testament, a jak pan nie będzie czegoś wiedział, to pan przyjdzie i ja panu powiem, jak ten problem rozwiązać". Faceta nie ma jakiś czas, w końcu puka. "No i czego by się pan chciał dowiedzieć?". "Panie mecenasie, jak się pisze: »ni chuja«?!".

KONIEC

Baranówko, Mosina; styczeń-październik 2010

Przypisy

1 Był ponoć rzeźbiarzem, ale potwierdzenia tej informacji nigdzie nie znalazłam.

2 Tadeusz Ruebenbauer.

3 Osiem.

4 Nyrol - skąpy, nieużyty.

5 Osiedle willowe w Poznaniu.

6 Zdawał i zdał egzamin reżyserski.

7 Średnia pensja w 1977 roku to 4 384 złote (według GUS).

8 Dyrektor Estrady Poznańskiej.

9 Z telewizji.

10 Rocznik 1974.

11 Cena dolara według kursu oficjalnego w roku 1978 to 31-33 złote; uśredniona cena czarnorynkowa - 126 złotych 64 grosze. Rocznie zarabiano więc średnio około 460 dolarów. Dla porównania w grudniu 1988 roku czarnorynkowy kurs dolara doszedł do 3 800 złotych. Podaję za Jerzym Baczyńskim - "Polityka" numer 34 z roku 1984 i numer 20 z 1989 roku.

12 Ja byłam. O spotkaniach nie ma ani słowa.

13 Eleni.